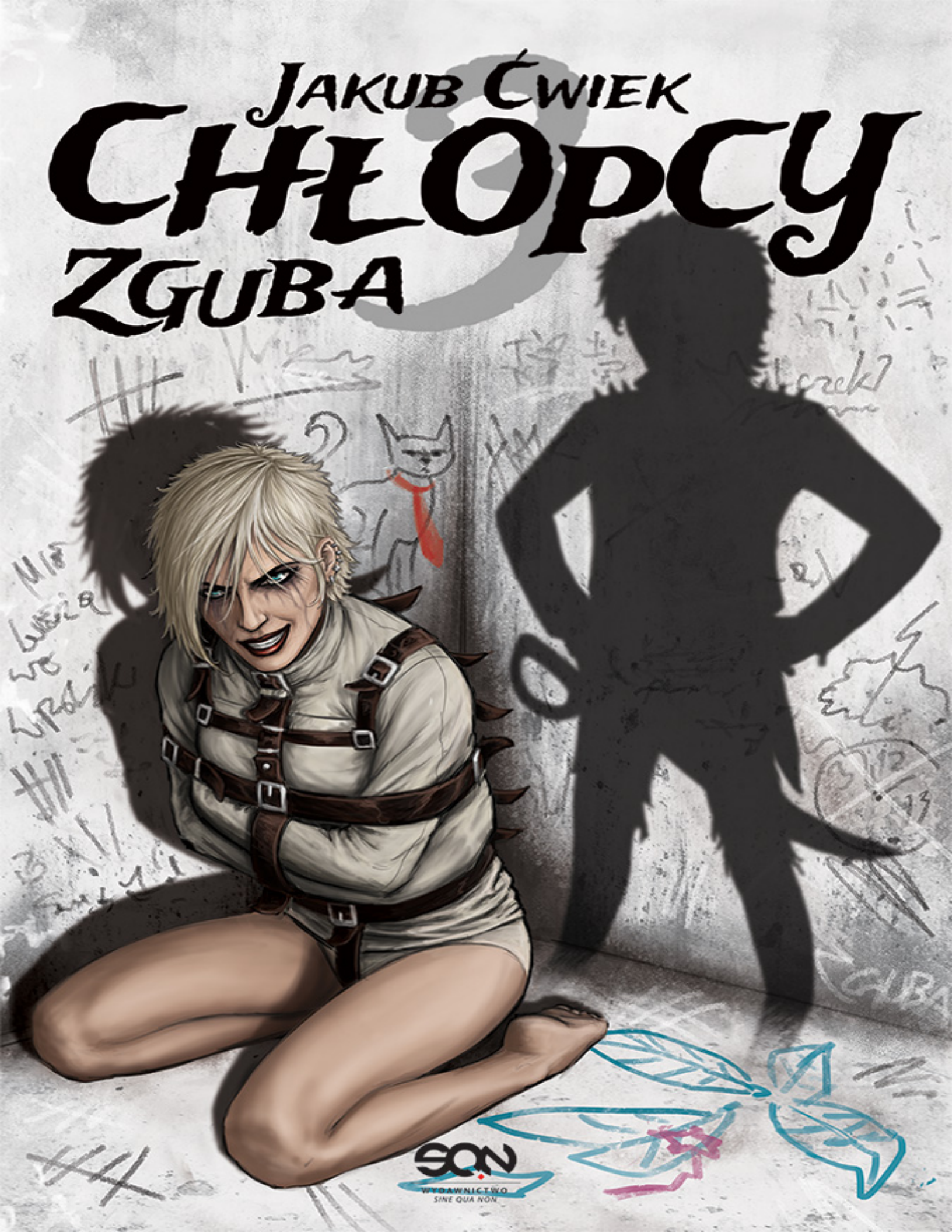
Jakub Ćwiek
Chłopcy
Zguba
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

CHŁOPCY 3
ZGUBA

JAKUB ĆWIEK

KRAKÓW 2014

Pamięci Robina Williamsa. Pana.

RAZ

Nie mogła przestać tańczyć. Ostygły po nocy bruk był wytchnieniem dla zmęczonych stóp, w kałużach mieniły się kolorowymi rozbłyskami neony klubów Barcelony. Chłodny wiatr muskał jej uda coraz śmielej z każdym powiewem, niczym napalony chłopak badający na pierwszej randce, jak daleko może się posunąć. Tym razem nawet nie zbliżył się do granicy, bo dziś królowa nocy zamierzała pozwolić na wiele. Dziś zwiewna, letnia sukienka barwy śnieżnej bieli miała wirować do świtu, a potem zsunąć się na ziemię niczym porzucona wężowa skóra. To była ostatnia noc, gdy roztańczona dziewczyna mogła nie być mamą. Potem, gdy już się przebudzi, gdy wytrzeźwieje, sen o roztańczonej Katalonii skończy się w jednej chwili i…

Zacznie się nowe życie, pomyślała, nie przestając wirować w szalonym tańcu. Na biodrach czuła delikatne palce młodego Hiszpana; chwiała się, traciła równowagę, więc partner ubezpieczał ją przed upadkiem. A może wahał się, wyczekiwał momentu, by wreszcie zacisnąć dłonie na jej talii, przycisnąć ją do siebie i wpić usta w jej usta? Niewykluczone…

Zachichotała i zatrzymała się nagle, a potem położyła na jego dłoniach swoje i wspięła się na palce, jednocześnie zadzierając nieco głowę. Była niższa od niego, wciąż brakowało paru centymetrów, ale zrozumiał sygnał i z uśmiechem dopełnił rytuału nocy. Poczuła jego język wodzący najpierw pieszczotliwie po jej wargach, a potem wsuwający się delikatnie między nie. Czuła ciepły oddech z jego nozdrzy na swoim policzku, serce pragnące wyrwać się z piersi, napierający wzwód, zapowiedź tego, jak to wszystko się skończy…

Ostatnia noc przed powrotem. Woda z kałuży niczym rosa, blask neonów jak najpiękniejsza zorza. Śmiechy, pijackie śpiewy gdzieś w oddali i on, jego ciało i każdy pulsujący mięsień. Czuła, że przyzwyczaja się do tego rytmu, że staje się jego częścią. Pocałunek rwał się i strzępił, ale trwał i było cudownie. Tak bardzo, że chyba mogła to wreszcie powiedzieć: była szczęśliwa…

* * *

Poranek nie był za to tak magiczny. Właściwie nie był też wcale porankiem, bo słońce wspięło się już wysoko na niebo; wdzierało się blaskiem i żarem przez niedomknięte, drewniane żaluzje hotelowego pokoju, tnąc jego wnętrze na czarno-białe pasy. W rozgrzanym powietrzu wirowały drobinki kurzu.

Westchnęła. Odrzuciła satynowe, przyjemnie chłodne prześcieradło i usiadła, opuszczając brudne stopy na podłogę. Obejrzała się za siebie. Jej nocny kochanek leżał na brzuchu, z obiema rękami pod ściśniętą poduszką. Na jego plecach dostrzegła świeże rany, wąskie linie biegnące skośnie po obu stronach kręgosłupa. Uśmiechnęła się na ten widok z lekkim zawstydzeniem. Stanowczo za dobrze się tu przez ten czas bawiła. Tak dobrze, że zupełnie przestawała być sobą, a stawała się…

No właśnie, kim?

Leniwie podniosła się z łóżka i nago przeszła przez pokój. Na moment przystanęła przed wielkim lustrem i przyjrzała się sobie. Jedną rękę oparła na biodrze i zadarła głowę, a potem przechyliła ją lekko na bok. Wciąż miała ciało dwudziestoparolatki i nawet rozliczne drobne blizny nie potrafiły odebrać jej uroku. Przeciwnie, dodawały tajemniczości, czyniły bardziej zagadkową. Pamiętała jak przez mgłę, jak ten Hiszpan za nią – za Boga nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię – wodził po nich wczoraj palcami i pytał, pytał, pytał, aż zamknęła mu usta po gorącym całunkiem, a potem sprawiła, że brakło mu oddechu na bycie ciekawskim.

Był miły, pomyślała, przechodząc do łazienki i wślizgując się przez uchylone drzwi do kabiny prysznicowej. Ciekawe, co

powiedzieliby chłopcy, gdyby postanowiła go sobie zatrzymać. Nie na zawsze, rzecz jasna, ale…

– Nie – powiedziała na głos, kręcąc jednocześnie głową. Nie zwozi się świata do domu, bo wtedy… po co wracać? Nie żeby chciała wracać do tego tutaj, ale…

Pozwoliła, by letnia woda zmyła z niej podobne myśli wraz z porannym potem. Poddała się mocnemu, szumiącemu strumieniowi, zamykając oczy i podstawiając pod niego głowę. A gdy wspomnienie nocy przyszło skuszone hałasem kaskady rozbijającej się o prysznicowy brodzik, gdy odsunęło przeszklone drzwi i stanęło za nią, by władczo pochwycić ją za biodra, by twardą męskością naprzeć na jej kształtne pośladki… grzecznie, acz stanowczo kazała mu się zbierać. Wakacje się skończyły i wiedziała dobrze, że ma niewiele czasu, by przypomnieć sobie, jak znowu być mamą.

Wyglądało jednak na to, że śniada, kruczowłosa pokusa nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

– Nie bądź taka – mruknął przystojniak po hiszpańsku, łapiąc za krawędź przeszklonych drzwi. – Przecież nie powiesz, że było ci źle.

Nie, zdecydowanie nie mogła tego powiedzieć, dlatego westchnęła i powtórzyła swe wcześniejsze słowa:

– Powinieneś już iść, Miguel.

– Nie nazywam się… – zaczął, ale nie dała mu dokończyć.

Zmniejszyła strumień wody, by mógł usłyszeć ją wyraźniej:

– Jeszcze raz dziękuję, ale naprawdę chciałabym teraz zostać sama.

Zawahał się, cofnął rękę i przez moment wydawało się, że odpuści. Zaraz jednak złapał za drzwi i odsunął je gwałtownie. Uśmiechnął się przy tym rozbrajająco chłopięcym uśmiechem i lewą ręką wskazał sterczący penis.

– Nie zostawisz mnie chyba w takim stanie? – zapytał. – Naprawdę nie możesz.

Pokręciła głową lekko rozbawiona.

– W zasadzie już tu skończyłam, więc myślę, że znajdziemy sposób, jak na to zaradzić – stwierdziła, uśmiechając się półgębkiem.

Złapała go za rękę, wciągnęła do kabiny i oparła o ściankę naprzeciw drzwi. Następnie wspięła się na palce, pocałowała go w kącik ust i… położyła jego dłoń na nabrzmiałym członku.

– Góra, dół – powiedziała, cofając własną rękę. – Pomyśl o wczoraj, to pójdzie szybciej.

Odwróciła się, by wyjść, ale tym razem to on złapał ją za przedramię. Mocno, stanowczo za mocno i zdecydowanie nieprzyjemnie.

– Ej – warknął – to nie jest zabawne.

Dzwoneczek wywinęła się gwałtownie i uderzyła go w splot, aż jęknął.

– Było – odparła, patrząc, jak powoli osuwa się po ścianie, by wreszcie klapnąć tyłkiem w brodzik. – Ale niestety wszystko zepsułeś.

Wyszła z kabiny na chłodną, mokrą posadzkę i udała się do pokoju. Nie kłopocząc się szukaniem bielizny, szybko włożyła krótkie szorty i luźną koszulkę, a potem zeszła na śniadanie.

Tak jak się spodziewała, gdy wróciła, nocnej przygody już nie było. Przebrała się więc spokojnie w motocyklowy kombinezon i dopakowała maleńki plecaczek. Wsunęła stopy w motocyklowe buty i sięgnęła po kask leżący na fikuśnej, ozdobnej komodzie i wyglądający tam jak nietypowa współczesna rzeźba. Raz jeszcze omiotła wzrokiem pomieszczenie, jakby upewniała się, czy nie zapomniała o niczym, ale tak naprawdę wyłącznie, by zachować to miejsce jak najdokładniej w głowie. Wszak poza tym całkowicie drobnym porannym epizodem świetnie się bawiła przez ostatnie dni.

Wreszcie wyszła na korytarz, windą zjechała do podziemnego garażu i pewnym krokiem udała się do miejsca, gdzie zaparkowała motocykl. Ze schowka pod siedzeniem wyjęła telefon, ale po namyśle nie zdecydowała się go jeszcze włączać. Idąc za namową i prośbą Stalówki, trzymała się z dala od domowych spraw, ograniczając swój kontakt do poinformowania chłopców, gdzie się zatrzymała. Gdy wróci, czekać ją będą przeprawy z Lubym, mniejsze i większe spory z innymi klubami, zwłaszcza z BattleSnake’ami, którym mimo zawartego pokoju ani myślała ufać. Wreszcie sam odwyk od magii, który wcale jeszcze się nie skończył, bo przecież

uzależnienie od podróży Skrótem czy ułatwiania sobie życia za pomocą syrenich łez mogło jeszcze wrócić, wystarczyłby jeden większy kryzys. Jak to mawiają? Raz w nałogu, na zawsze w nałogu…

– Tak, dziewczyno – mruknęła pod nosem. – Czas wrócić do własnej bajki.

Ale jeszcze nie w tym momencie, uznała w myślach. Teraz, choć wakacje miały się ku końcowi, zamierzała cieszyć się powrotem, drogą i wszystkim, co się z tym wiązało. Nie była jej potrzebna ścieżka na skróty. W żadnym znaczeniu.

Wrzuciła aparat z powrotem do schowka, wsiadła na maszynę, odpaliła ją i gwałtownie, z rykiem i wizgiem, od którego przechodziły ciarki, wyrwała podziemną drogą ku powierzchni. Akurat ktoś wyjeżdżał samochodem, więc szlaban nie zdążył jeszcze opaść. Wykorzystała ten moment, by przejechać koło stróżówki bez zatrzymania, a potem w ciasnym korytarzu śmignęła obok drugiego pojazdu – o mało nie urywając mu lusterka. Wyskoczyła na ulicę.

Do zobaczenia, Barcelono! – pomyślała i uśmiechnęła się smutno. – Jeszcze tu wrócę!

Dwie przecznice dalej zatrzymała się na światłach i wyprostowała na siedzeniu. Kilku chłopców w koszulkach FC Barcelony przeszło tuż przed nią, przyglądając się jej uważnie. Z wyraźnym przejęciem skomentowali albo motocykl, albo jej figurę. A może kombinację obu? Nie miała nic przeciwko temu, nawet jeśli komentowali tak, jak zwykle robią to chłopcy. Pomachała im nawet, ale żaden nie odpowiedział podobnym gestem.

Z prawej strony wyjechał srebrny van, ale ponieważ skręcał w lewo, zatrzymał się na środku skrzyżowania i przepuścił fioletową corsę. Kierowca vana również zagapił się na Dzwoneczka i puścił do niej oko. Jego twarz wydała się wróżce w jakiś sposób znajoma.

W tym momencie usłyszała ryk, a potem coś z całej siły uderzyło w tył jej motocykla. Czerwone ducati wierzgnęło do przodu i w bok, a potem runęło, przygniatając nogę Dzwoneczka. Z ust wróżki dobył się jęk, który niemal natychmiast przeszedł we wrzask, gdy wciąż rozpędzony pojazd wepchnął ją wraz z motocyklem na środek skrzyżowania, niemal pod samego vana. Przez ten krótki moment,

ułamek sekundy, chwilę wyjętą z czasu i zatopioną w zastygającej żywicy szoku, miała wrażenie, że jej nogę ktoś polał benzyną i podpalił. Czuła smród palonego mięsa, słyszała dźwięk pękającej skóry. W głowie jej szumiało i dudniło, jak gdyby coś od środka skrobało pazurami w czaszkę. Ramię i bark również zapiekły, ale nie aż tak jak noga. Usłyszała krzyki, kątem oka dostrzegła też, że otworzyły się drzwi srebrnego samochodu. Ktoś przyklęknął przy niej, dotknął jej ramienia i – mogłaby przysiąc! – urwał je, tak bardzo, niewyobrażalnie wręcz zabolało. To była ostatnia rzecz, którą poczuła, nim zapadła w ciemność.

* * *

Martyna Tarkowska miała dwadzieścia cztery lata, dyplom jednego z pomniejszych uniwersytetów ze słowem „pielęgniarka” wpisanym w odpowiedniej rubryce, piękne dołeczki w zaróżowionych policzkach i figurę, która zagwarantowała jej podwójny tytuł Miss Foto lokalnej gazety – wygrała w głosowaniu zarówno jury, jak i czytelników. Nie była też głupia. Doskonale wiedziała, że o ile to dyplom załatwił jej pracę w tej klinice, to właśnie swojej figurze, tym uroczym dołeczkom dodawanym w bonusie do rozsyłanych na lewo i prawo uśmiechów oraz graniu przed męskim szefostwem słodkiej idiotki, która do słowa „nie” zawsze dodaje „wiem”, zawdzięczała wszystkie swoje przywileje. Należały do nich na przykład dwa wolne weekendy w miesiącu oraz to, że nigdy, niezależnie od trudności w ułożeniu grafiku, nie dostawała dyżurów innych niż poranne, od szóstej do czternastej. Kto inny mógłby uznać to za nierozsądne, wszak za nocki i niedzielne dniówki płacono więcej, ale Martynie nie zależało aż tak na dodatkowych pieniądzach. Dużo bardziej ceniła sobie zyskany czas, który mogła przeznaczyć na rozwijanie swoich rozlicznych pasji, a szczególnie jednej – fotografii.

To właśnie dokształcanie się w tym kierunku, nie dla przyszłej pracy, lecz ot tak, dla frajdy i świadomości, że jest w czymś coraz lepsza, zajmowało jej niemal wszystkie wolne chwile. W weekendy szkoła zaoczna, codziennie ćwiczenia realizowane według

internetowego kursu. Po roku osiągnęła już rzeczywiście pewne efekty, miała nawet jedną lokalną wystawę opisaną w gazecie. Tak, tej samej, w której dwa lata wcześniej prezentowała się w kostiumie kąpielowym z celowo nieco za małą górą, co kupiło jej głosy niezdecydowanych.

Tego dnia zjawiła się w pracy za kwadrans szósta. Kiedyś, w ogólniaku czy nawet na pierwszym roku studiów, taka godzina byłaby dla niej nie do pomyślenia, jeśli miałaby być choć odrobinę przytomna, dziś jednak Martyna, wzmocniona raptem jedną kawą, czuła się rześka i wypoczęta. Bez pośpiechu przebrała się w szatni na dole, a potem przyjęła raport od koleżanki schodzącej z nocnej zmiany. Następnie, już w dyżurce pielęgniarek, nalała wody do czajnika elektrycznego, wyciągnęła z torebki swoją ulubioną herbatę z jaśminem i migdałami i wsypała trochę do metalowego zaparzacza. Miała teraz około trzech minut, nim woda się zagotuje, więc szybko wyjęła z tej samej przepastnej torebki aparat fotograficzny. Schowała go za plecami jak dziecko ukrywające niedozwoloną zabawkę i dyskretnie przemknęła korytarzem do pokoju 1408.

Pierwsza cyfra w numerze jednego z najbadziej luksusowych pokoi w klinice oznaczała, że jest jednoosobowy, z osobną łazienką, porządnym telewizorem, a nawet minilodówką. Dobór wystroju – mebli, wykładziny czy obrazków na ścianach – a także delikatny zapach z elektrycznego odświeżacza tworzyły złudzenie przebywania raczej w czterogwiazdkowym hotelu niż placówce leczniczej. Oczywiście, by owo złudzenie było kompletne, pacjent musiałby spełnić dwa wymagania. Po pierwsze, zlekceważyć stojącą obok łóżka skomplikowaną aparaturę medyczną, a po drugie… musiałby być przytomny.

Zgodnie ze stanem wiedzy Martyny młoda kobieta leżąca w 1408 ostatni raz była przytomna przeszło pół roku temu. Przywieźli ją cztery czy pięć tygodni po wypadku motocyklowym. Wedle dokumentacji medycznej dziewczyna przeszła kilka skomplikowanych operacji, a tylko dzięki heroicznej walce najlepszych specjalistów – i zapewne ogromnym nakładom finansowym poniesionym przez rodzinę – udało się uratować

złamaną w kilkunastu miejscach i gdzieniegdzie obdartą aż do mięsa nogę. Potem, gdy jej stan się ustabilizował, na życzenie bliskich przeniesiono ją tutaj.

Martyna, która pracowała wtedy w klinice ledwie kilka miesięcy, wtedy właśnie po raz pierwszy użyła triku z jednym dodatkowo rozpiętym guzikiem, by załatwić sobie przeniesienie z oddziału geriatrycznego. Zadziałało, przydzielono ją na czwarte piętro i pośród innych obowiązków przypisano jej – a także trzem innym koleżankom – opiekę nad pechową motocyklistką.

Pamiętała dobrze, gdy po raz pierwszy zjawiła się w jej pokoju sama. Mimo lawendowego odświeżacza, wyraźnie poczuła intensywny zapach środków odkażających, jakich użyto przy przemywaniu śrub spinających teraz nogę dziewczyny, okładów wspomagających regenerację skóry i innych rozlicznych medykamentów. Ostra, a zarazem w jakiś sposób słodka woń choroby przedzierała się przez aromat kwiatów, zupełnie jakby ten drugi był tylko kurtyną, za którą kotłowało się coś nienasyconego, wręcz przerażająco żarłocznego i wściekle dzikiego.

Martyna poczuła wówczas falę gorąca idącą od przepony i prącą ku górze niczym niestrawiony posiłek wracający z żołądka falą wymiocin. Falę zupełnie niezrozumiałą, zważywszy na jej zawód i odbyte praktyki oraz czas spędzony w innym skrzydle kliniki, gdzie starzy ludzie robili pod siebie w łóżkach, a potem, gdy nikt nie patrzył, umierali ze wstydu. W porównaniu do tamtej kakofonii aromatów, smrodliwego jarmarku staroci, to co czuła tutaj, wydawało się wręcz sterylne, czyste i… bezduszne, nieludzkie.

Czy o to chodziło? Czy właśnie to wrażenie sprawiło, że zrobiło jej się słabo? Uczucie, jakby już nikogo tu nie było, tylko ta czystość, jałowość okładów, odkażaczy, detergentów, sztucznych woni. Czy tak właśnie pachniała śmierć?

Martyna nie miała pojęcia, skąd wzięły się w jej głowie takie myśli, zupełnie jakby ktoś szeptał jej do ucha z cienistego kąta pokoju przy drzwiach łazienki. Raz nawet odwróciła się wiedziona odruchem, by tam spojrzeć, ale oczywiście w kącie nikogo nie było. Ten ruch jednak wystarczył, by na nowo obudzić w niej normalną siebie – zdecydowaną, ambitną, prącą do celu pielęgniarkę. Teraz

miała sprawdzić stan pacjentki i niech ją szlag, jeśli jakieś głupie myśli jej w tym przeszkodzą.

Gdy jednak podeszła do łóżka, po raz kolejny w odstępie paru minut przystanęła całkowicie zdumiona i zaskoczona, tym razem widokiem leżącej na łóżku dziewczyny.

Nie chodziło o to, że była piękna, chociaż była, zwłaszcza gdy promienie słońca zza okna padały na jej krótkie złocistorude włosy, sprawiając wrażenie, jakby jej głowa była otoczona świetlistą aureolą. Największe wrażenie robił fakt, że choć była poturbowana, połamana, choć jej cudem ocalała noga była zdruzgotana, twarz prócz paru niewielkich siniaków – przypominających nieco miłosne ukąszenia, czyli malinki, jak je nazywano – była niemal nieskazitelna. Wrażenie potęgowała nałożona na nią odżywka przypominająca nieco cienką warstwę wosku na dojrzałych owocach oraz niebywała wręcz bladość. Zupełnie jakby cała krew odpłynęła jej z czoła i policzków, by zgromadzić się w pełnych ustach. Wyglądała przez to trochę jak wampirzyca, ale bardziej jak… Disneyowska księżniczka z bajki. Taka Śnieżka czy ta… Śpiąca Królewna.

– Nie – powiedziała na głos Martyna – jednak Śnieżka.

Widok ten był tak niezwykły, że pielęgniarka, już wtedy myśląca o fotografii i swych pierwszych tematycznych wystawach, następnego dnia przyniosła do pracy aparat i zrobiła pierwsze z serii zdjęć zatytułowanych już wtedy w jej głowie *Księżniczka śpi*. Potem fotografowała ją już codziennie, w tajemnicy przed wszystkimi, zwykle o tej samej porze, z wyjątkiem tych kilku wolnych weekendów, gdy nie było jej w pracy. Stało się to jej małym rytuałem.

Teraz, gdy zmierzała do pokoju 1408 z aparatem za plecami, przeszła jej przez głowę myśl, że gdyby księżniczka motocyklistka, od jakiegoś czasu nabierająca kolorów, kiedyś się przebudziła, Martynie byłoby z tego powodu naprawdę przykro.

Poszło raz-dwa, jak zawsze, zupełnie jakby światło i nieruchoma modelka postanowiły ją wesprzeć w tym małym występku na rzecz sztuki. Dwa strzały migawki, mała korekta ustawień i jeszcze raz.

– Dziękuję – szepnęła pielęgniarka i wymknęła się z pokoju, by zacząć właściwy dyżur.

* * *

Tym razem zjawił się wcześniej, na szczęście już po tym, jak Martyna zrobiła zdjęcie i odniosła aparat do dyżurki. On również był swego rodzaju rytuałem, pewną stałą każdego dyżuru, odkąd zjawiła się tutaj śpiąca księżniczka.

Dojrzały mężczyzna w trudnym do określenia wieku, szczupły, dobrze zbudowany, do tego w garniturze, który należycie podkreślał jego zalety, jednocześnie tuszując wady. Był raczej małomówny, ale gdy się odzywał, mówił zawsze uprzejmie, cicho i uspokajająco, acz władczo. Można było odnieść wrażenie, że jest tu lekarzem, a nie gościem odwiedzającym pacjentkę w śpiączce. Czasami, zawsze niespodziewanie, bo bez szczególnej okazji, przynosił do dyżurki kwiaty albo czekoladki, dziękując tym samym za zaangażowanie zespołu w opiekę nad pacjentką. Nazywał się Grzegorz Luby i podobno był dla śpiącej księżniczki partnerem w interesach, ale z jego zachowania dało się wyczytać, że było między nimi coś więcej.

Każdego ranka mężczyzna zjawiał się najpierw pod drzwiami pokoju, lekko zbliżając do nich ucho, ale nigdy go nie przykładając, a potem odwracał się i szedł pewnym krokiem do dyżurki pielęgniarek. Poruszał się bezgłośnie, bo w przeciwieństwie do większości wizytujących miał nie zwykłe buty obleczone w niebieskie worki ochronne, lecz lekkie mokasyny, które zawsze przywoził na zmianę w czarnej, skórzanej teczce. To właśnie dzięki owej bezszelestności niemal każdego dnia udawało mu się zaskoczyć i nieco przestraszyć Martynę. Dziś, ponieważ zjawił się wcześniej niż zazwyczaj, udało mu się to tym bardziej.

– Puk, puk – powiedział, stukając jednocześnie we framugę. – Dzień dobry.

Martyna, która właśnie wyciągała zaparzacz z kubka, podskoczyła, ochlapując uniform gorącą herbatą. Kilka kropelek spadło na odsłonięty dekolt i zakłuło niczym maleńkie igły. Syknęła.

– Przepraszam – powiedział Luby, spiesząc w jej kierunku; w jego głosie słychać było autentyczną troskę. – Nie chciałem

przestraszyć.

Martyna się uśmiechnęła.

– Nie, nic się nie stało, to tylko ja… chyba jeszcze nie do końca się dzisiaj obudziłam i…

Odłożyła zaparzacz i machnęła ręką, jakby chciała strząsnąć z fartucha małe wilgotne plamki.

– A cóż to pan dzisiaj tak wcześnie? Herbaty?

Luby kiwnął głową, że owszem, a następnie odsunął sobie krzesło przy niewielkim, trójnożnym stoliku i usiadł.

– To będzie intensywny dzień i niestety zaczyna się dość wcześnie – wyjaśnił. – Myślałem, że może wpadłbym po pracy, ale mógłbym nie zdążyć.

– Rozumiem.

Wytrząsnęła fusy z zaparzacza i wsypała nową porcję herbaty. Z szafki wyjęła kubek Anki, ze złośliwą satysfakcją myśląc o tym, co powiedziałaby jej nielubiana koleżanka, gdyby tu była. Nie ucieszyłaby jej myśl o dzieleniu kubka z nieznajomym, to pewne. Nalała wody, włożyła zaparzacz i nakryła całość spodeczkiem.

– Proszę – powiedziała, stawiając napój przed Lubym.

Usiadła obok mężczyzny. Kiedyś zdała sobie sprawę, że to niezwykłe, bo nie zachowywała się tak wobec nikogo innego. Dziś traktowała to już jako coś normalnego.

– A co to, jeśli można spytać, za zamieszanie dzisiaj?

Luby objął kubek dłońmi. Wyglądały na zadbane, ale i spracowane, jak to często zdarza się u ludzi, którzy ciężką pracą doszli do fortuny, a potem zaczęli korzystać z jej dobrodziejstw. Martyna złapała się na myśli, że chciałaby je kiedyś sfotografować, najlepiej splecione jak do modlitwy, ostre, z rozmytym drugim planem. Jaki tytuł mogłoby mieć takie zdjęcie?

– Inkwizytor – powiedział Luby i to słowo tak dziwacznie pasowało do jej ciągu myślowego, że przez moment aż się zlękła. Zaraz jednak odwiedzający rozwinął myśl i dziwne wrażenie minęło.

– To nowa atrakcja, montują ją dzisiaj. Jest trochę upiorna, jeśli mam być szczery, i na pewno będziemy mieli przez nią kłopoty z prasą i… pewnymi środowiskami. No ale Matylda bardzo się upierała i… zwłaszcza teraz nie umiem jej odmówić.

Martyna pokiwała głową. Matylda Blaszka, tak nazywała się śpiąca księżniczka. Nazwisko zupełnie do niej nie pasowało i wręcz zgrzytało w połączeniu z obrazem – jak źle dobrany dubbing.

– A jak wygląda ten cały inkwizytor? – zapytała.

Luby pokręcił głową i uśmiechnął się jakby nieco zażenowany. Następnie zdjął ręce z kubka i rozłożył je niczym wędkarz pokazujący rozmiar swej ostatniej zdobyczy.

– Trochę jak zwykła karuzela – powiedział – z tym, że pasażerowie nie kręcą się w kółko, ale zasuwają po takiej wstędze z coraz większą prędkością. – Ręce zaczęły krążyć, naśladując opisany ruch. – Wszyscy siedzą na miotłach, na takich specjalnych siodełkach, dodatkowo w uprzężach, żeby nic im się nie stało, gdy spadną, co ostatecznie musi się zdarzyć każdemu, zależy tylko od prędkości. Wtedy natychmiast są ściągani na bok i wpadają na platformę na środku, gdzie się szamoczą, aż wreszcie, gdy są tam wszyscy, klatka się zamyka.

Klasnął tak nagle, że zabrzmiało to jak wystrzał. Martyna podskoczyła – już drugi raz tego dnia za jego sprawą – i zachichotała nerwowo. Luby uśmiechnął się na ten widok, po trosze przepraszająco, ale bardziej łobuzersko, i dokończył:

– A wtedy przez pręty z włókna szklanego zaczynają lecieć wiązki przypominające ogień, a spod ziemi wynurza się na specjalnym podeście Inkwizytor i ogłasza, że nie będzie więcej wiedźm! – Ostatnie słowa powiedział, modulując głos i najwyraźniej się tego zawstydził, bo zaraz machnął ręką i lekko odwrócił wzrok. – Takie tam…

– Brzmi fantastycznie – stwierdziła Martyna. – Czy sądzi pan, że gdy to zainstalują, będę mogła przyjechać i porobić parę zdjęć?

Luby znowu na nią spojrzał, tym razem wyraźnie rozbawiony.

– Oczywiście! – powiedział. – A czy ja aby nie zapraszam pani do naszego miasteczka od początku sezonu?

– No tak, ale…

– Bez żadnego ale!

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej gruby portfel, a z niego mały plik złotych kart wyglądających jak kredytowe.

Położył jedną na stole, po czym z drugiej kieszeni wyjął wieczne pióro.

– Przepraszam, pani Martyno, ale zupełnie wyleciało mi z głowy pani nazwisko – powiedział, pochylając się z piórem nad rewersem karty, gdzie pod napisem „VIP Card” było miejsce na podanie jej właściciela.

– Tarkowska – powiedziała. – Ale naprawdę, panie Grzegorzu, nie trzeba zupełnie.

Luby zdążył już jednak wpisać jej imię i nazwisko starannymi literami. Machnął kartonikiem kilka razy, a następnie wręczył go Martynie z uprzejmym, miłym uśmiechem.

– To uprawnia do wejścia i korzystania z dowolnych atrakcji bez kolejek przez cały najbliższy sezon – powiedział. – Oczywiście z robieniem zdjęć również nie będzie kłopotu pod warunkiem, że będę mógł je później przynajmniej zobaczyć. Jestem przekonany, że będą świetne, widać w pani oczach tę pasję.

Martyna zaczerwieniła się i już miała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie przeraźliwy, metaliczny skrzek zmusił ją do spojrzenia na znajdującą się po prawej tablicę pełną kontrolek. Każda z nich odpowiadała jednemu przyciskowi „Alarm” umieszczonemu przy poszczególnych łóżkach, tak by bez trudu można się było natychmiast rozeznać, który z pacjentów potrzebuje pomocy. W tym momencie tylko jedna kontrolka świeciła jasną, intensywną czerwienią. Oznaczała łóżko w pokoju 1408.

* * *

Ostatni sen wyparował z pamięci Dzwoneczka niemal w jednej chwili. To, co jeszcze przed momentem było jej jedyną rzeczywistością, rozwiało się nagle, rozmyło niczym obraz wyświetlany z rzutnika na dymie, a następnie za sprawą mocnego podmuchu wracającej świadomości rozproszyło na wszystkie strony. Została tylko ta ciepła, rozmemłana imitacja ciemności, jakiej każdy doświadcza, gdy zamknie oczy w słoneczny dzień.

Przez moment miała w głowie zupełną pustkę, jałową pustynię bez choćby krzaczka myśli czy wspomnienia, ale wystarczyło, że spróbowała unieść ciężkie powieki, że ledwie promień przedarł się przez ich zasłonę, a natychmiast syknęła z bólu i podjęła próbę zasłonięcia oczu. Ale i to się nie udało. Ręka, wyraźnie osłabiona i tak odrętwiała, że praktycznie obca, uniosła się nieco, ale zaraz opadła bezwładnie na poduszkę, a ciało przeszył ten nieprzyjemny dreszcz, jakby przez wnętrze żył przebiegł właśnie milion małych pająków. W dodatku ta pozornie błaha czynność nad wyraz ją zmęczyła. Jej serce zaczęło bić szybciej, oddech skrócił się i również nabrał tempa.

Wtedy przypomniała sobie o wypadku, o tym, jak upadła, jak zaraz potem samochód pchnął ją wraz z motocyklem prosto pod koła vana. Przypomniała sobie smród, własny krzyk i to, że bolało ją tak, jak jeszcze nic nigdy w życiu, choć samego bólu na szczęście jej umysł nie potrafił już odtworzyć.

Dzwoneczek spróbowała w pierwszej chwili uspokoić kołaczące serce. Metoda małych kroczków, powtarzała sobie w duchu, to zawsze działało i teraz też się uda. Tylko zacznij od tego, co potrafisz, od tego, z czym na pewno dasz sobie radę od razu. Dopiero potem powoli podnoś poprzeczkę.

Oddech był akurat dobry na start. Wdech… głębszy… jeszcze… O tak. Teraz wydech. Wdech… i wydech. Świetnie. Gdzieś z tyłu głowy przemknęła jej myśl, że zachowuje się jak jedna z tych instruktorek fitness, które nieustannie mówią podczas ćwiczeń. Brakowało jeszcze tylko, by dopingowała samą siebie. „Na pewno dasz radę! Nie poddawaj się!”

Uśmiech spowodowany tą myślą również przyszedł z trudem i nie całkiem się udał. Miała wrażenie, że aby się poruszyć, mięśnie jej twarzy musiały skruszyć jakąś zastygłą skorupę pokrywającą policzki i czoło.

To środki przeciwbólowe, pomyślała przytomnie, to na pewno przez nie. Musiałam dostać ich sporo, skoro nie czuję żadnego bólu w nodze czy żebrach. Wszystko jest w porządku i najważniejsze, że żyję…

Udało jej się wreszcie zapanować nad tym przeklętym oddechem, podjęła więc kolejną próbę poruszenia ręką. Tym razem ostrożniej, delikatniej uniosła ją na parę centymetrów, odsunęła odrobinę od siebie i opuściła na materac. A potem jeszcze raz. Po trzeciej próbie jej palce opadły na plastikowy przedmiot o dziwnym kształcie, który po szybkim obmacaniu uznała za przycisk do wzywania pielęgniarki.

Upewniła się, że pamięta jeszcze, jak powinno zabrzmieć po hiszpańsku to, o co chciała zapytać, i chwyciwszy mocniej – ale wciąż zaskakująco słabo – plastikowe urządzenie, wcisnęła gumowany guzik. Z oddali dobiegł ją cichy, skrzekliwy dźwięk alarmu.

* * *

Alarm wciąż brzęczał. Lampka mrugała do nich jaskrawą czerwienią i zdawać się mogło, że robi to coraz szybciej, jakby zniecierpliwiona, ale mimo to zajęło chwilę, nim Martyna czy Luby zareagowali na nią inaczej niż pełnymi zdumienia spojrzeniami i bezgłośnym poruszaniem ustami.

W końcu ciszę przerwał Luby.

– Czy to możliwe, żeby kto inny… albo przez pomyłkę…

Pielęgniarka wzruszyła ramionami. Z jednej strony szanse na którąś z tych opcji były bliskie zera, zwłaszcza w przypadku jedynek. A z drugiej jak wielkie było prawdopodobieństwo przebudzenia się motocyklowej księżniczki? Czy naprawdę tak dużo większe?

– Nie wiem, proszę pana – powiedziała i wstała.

Podeszła do telefonu i połączyła się z gabinetem lekarskim.

– Nie, niech pan tam jeszcze nie idzie… – rzuciła, zasłaniając mikrofon, gdy zobaczyła, że i Luby podniósł się z krzesła. – W pierwszej kolejności lekarz, a dopiero…

– Dość się naczekałem – stwierdził.

Nie bacząc na jej niezbyt stanowcze protesty, ruszył korytarzem w stronę pokoju 1408. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie biec, ale gdy już dotarł do właściwych drzwi, odczekał chwilę. Uspokoił

oddech, przyczesał włosy i przećwiczył uśmiech, zanim ostatecznie złapał za klamkę i wszedł do pokoju.

Gdy znalazł się w środku, odwróciła głowę w jego stronę i próbowała zerknąć, jednocześnie mrużąc oczy.

Wychrypiała też coś po hiszpańsku, co rozbawiło go tak, że gdyby mógł, parsknąłby śmiechem i zgięty w pół tłukłby się po udach pewnie z godzinę. Zamiast tego jednak, nie przestając się uśmiechać, przemierzył pokój i zasłonił żaluzje. Następnie zbliżył się do łóżka, wygładził kołdrę i usiadł. Ujął w ręce jej dłoń, wciąż jeszcze spoczywającą na przycisku alarmowym.

– Już dobrze, Matyldo – powiedział głosem tak pełnym troski, ale i ulgi i radości, że jego samego to zdziwiło. – Wróciłaś do nas. Trochę się martwiliśmy…

Uniosła głowę z wyraźnym wysiłkiem, a następnie podjęła kolejną próbę otworzenia oczu. Teraz w pokoju panował półmrok, więc było nieco łatwiej, ale i tak jej organizm, pamiętający poprzednią próbę, stawiał opór. Powieki wydawały się jeszcze cięższe, mięśnie twarzy jeszcze bardziej zesztywniałe. Tak bardzo jednak chciała zobaczyć tego, który siedział teraz koło niej, który trzymał ją za rękę i który nawet ubrał garnitur. Kto to był? Już kształt dawał do zrozumienia, że nie mógł to być ani Kędzior, ani Kruszyna. Milczek też nie i raczej nie Stalówka. Bliźniacy? Tylko jakim cudem nie poznała swoich Chłopców po głosie?! I dlaczego ktoś nazwał ją Matyldą?!

W końcu jednak udało jej się spojrzeć i nieprzyjemnie zaskoczona natychmiast spróbowała cofnąć rękę. Poczuła, że niczym elektryczna wiązka przeszywa ją dreszcz, który rozlewa się zaraz potem po ręce i plecach falą bólu i bezwładności. Gdzieś w mózgu ktoś odpalił fajerwerki, a teraz popiół powidoków opadał na wnętrze gałek ocznych.

– Ty? – wysapała. – Ty!

Luby wydawał się niemile zaskoczony jej reakcją. Cofnął ręce, a radość w jednej chwili spełzła mu z twarzy zastąpiona szczerym, bezbrzeżnym zdumieniem. Wyprostował się i przez chwilę przyglądał uważnie Dzwoneczkowi, aż wreszcie pochylił się znowu. Uśmiech na jego twarzy był teraz niepewny, płochliwy jak płomień świeczki w pokoju z przeciągiem. Jak wystraszone zwierzątko…

– To pewnie przez ten uraz, Matyldo – szepnął.

Po chwili dodał już nieco głośniej, odważniej:

– Nieźle nas wystraszyłaś, powiem ci. Co poniektórzy lekarze to nawet nie dawali ci już szans, ale ja się uparłem. Zobaczysz, wrócisz jeszcze do siebie i wtedy…

Drzwi do pokoju otworzyły się nagle i do środka wkroczył energicznie cały pluton ludzi w białych kitlach, pod wodzą niemal całkowicie łysego mężczyzny z wydatnym brzuchem i nosem jak orli dziób. Luby znał tego człowieka, profesora nauk medycznych Zdzisława Maśleckiego; kilka razy urządzili sobie nawet krótkie pogawędki. Teraz jednak wyczytał z oczu lekarza, że najlepiej będzie do tej znajomości nie nawiązywać, nie prosić o nic, tylko wyjść jak najszybciej. Wstał.

– Pogadamy później, Matyldo – szepnął, wciąż się uśmiechając. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wróciłaś.

Nie odpowiedziała, więc ruszył w stronę drzwi, przeciskając się między zespołem lekarsko-pielęgniarskim. Gdy jego wzrok napotkał spojrzenie Martyny, Luby wzruszył ramionami. Dziewczyna uśmiechnęła się i skinęła głową na znak, że rozumie.

* * *

– Nie wiedzieć czemu, ona nie chce pana widzieć – powiedziała Martyna.

Wróciła właśnie z pokoju 1408 prosto do dyżurki, gdzie – jak się spodziewała – zastała wciąż czekającego Lubego.

– Zapytała nawet z oburzeniem, gdy już udało jej się odzyskać głos, kto miał czelność pana tu wpuścić i gdzie są jej chłopcy.

Usiadła i objęła rękami zimny już kubek.

– Swoją drogą sprawdziłam i nie mamy o tym żadnej informacji w jej dokumentach. Ona ma synów?

Luby przejechał ręką po twarzy i westchnął głośno. Następnie potrząsnął głową.

– Nie ma synów – powiedział. – Nie ma żadnej rodziny. Ale wzmianka o chłopcach… Cóż, wydaje mi się, że coś jest nie tak z jej

pamięcią. Coś, co tłumaczyłoby jej reakcję także i na mnie.

Zrobił pauzę akurat na dwa łyki zimnej herbaty, po czym powiedział:

– Muszę wykonać jeden telefon. Pozwoli pani?

Nie czekał na jej zgodę, tylko wyszedł na korytarz i przez chwilę rozmawiał z kimś po angielsku. Gdy wrócił, minę miał poważną, surową wręcz i groźną.

– A teraz, pani Martyno, proszę mnie połączyć z gabinetem profesora Maśleckiego.

Coś było w jego oczach, jakiś stalowy chłód, który sprawił, że nie odważyła się ani pytać, ani tym bardziej się sprzeciwiać. Po prostu wstała i sięgnęła po telefon. Odczekała chwilę, następnie przedstawiła sprawę i wysłuchała krótkiej odpowiedzi. Wreszcie podała Lubemu słuchawkę. Wziął ją, ale tylko zasłonił mikrofon i czekał, patrząc na Martynę bez słowa, póki nie wyszła z dyżurki. Dopiero wtedy zza zamkniętych drzwi pielęgniarka usłyszała jego bardzo stłumiony głos.

Ale chociaż przykładała ucho, nie była w stanie wychwycić więcej niż kilku słów, bez kontekstu pozbawionych większego sensu.

* * *

Profesor Maślecki siedział w fotelu i w skupieniu zasysał parę z e-papierosa. Z uwagą słuchał dwóch mężczyzn znajdujących się po drugiej stronie gabinetu, ale przyglądał się wyłącznie temu młodszemu, ostrzyżonemu po żołniersku – góra najwyżej na centymetr, boki niemal do skóry – mówiącemu wyborną polszczyzną, choć z lekkim obcym akcentem. Ten drugi, znany już Myśleckiemu lokalny biznesmen, niejaki Grzegorz Luby, nie chciał usiąść. Krążył nerwowo od drzwi do krzeseł i co jakiś czas dorzucał do opowieści swoje trzy grosze.

Bo tak, myślał Maślecki, to, co mu serwowali, to rasowa opowieść, i to w dodatku jedna z takich, które na pewno spodobałyby się jego żonie i synowi. Mocno sensacyjna, pełna zwrotów akcji historia jak z Ludluma, ale podszyta romansem

i mocnym wątkiem obyczajowym. A co najważniejsze, niezwykle trudna do uwierzenia nawet mimo kompletu dokumentów i legitymacji, jakimi chwilę temu zamachano profesorowi przed nosem.

Raz jeszcze zaciągnął się aromatyzowaną parą i chrząknął, jakby chciał zabrać głos, ale tak naprawdę zależało mu tylko na tym, by pan Żołnierska Fryzura na chwilę umilkł. Maślecki potrzebował zebrać myśli, cofnąć się o krok i ogarnąć całość, zupełnie jak z tymi puzzlami na dwa tysiące elementów, które kiedyś kupowała mu żona, a których on szczerze nienawidził do czasu, aż się wciągnął i teraz nie potrafił się bez nich obyć żadnego wieczoru. Historia dziewczyny z 1408 wydawała się właśnie takimi puzzlami. Dopóki profesor nie ułoży tego, co już ma, dopóty nie będzie wiedział, czego mu brakuje.

Więc tak – myślał, wypuszczając kłęby pary niczym jakiś wiktoriański robot z powieści, jaką mógłby napisać Welles czy Verne – zaczęło się od wypadku motocyklowego, strasznych obrażeń i źle rokującej śpiączki, z której jednak pacjentka najwyraźniej wyszła. Teraz jednak mamy dodatkowo program ochrony świadków, brytyjskie gangi motocyklowe, gwałty i głębokie psychiczne traumy, które wróciły pod wpływem wstrząsu i być może wymazały wszystkie doświadczenia od tamtego momentu do teraźniejszości, a być może – zdarzały się przecież i takie przypadki – przestawiły umysł na inny tor.

Pierwsze słowa pacjentki, jakie Maślecki od niej usłyszał, skonfrontowane teraz z opowieścią tych dwóch – jej partnera biznesowego oraz inspektora Interpolu – sugerowały bardziej tę drugą opcję. Niczym w kalejdoskopie drobinki wspomnień, wyobrażeń i lęków wymieszały się wstrząśnięte i dały zupełnie nowy obrazek.

– Czyli jeszcze raz – powiedział wreszcie profesor – żebym to sobie dobrze poukładał. Pani Matylda Blaszka była żoną…

– Kochanką – poprawił Luby.

To jednak nie wystarczyło, bo Żołnierska Fryzura skorygował powtórnie, dużo bardziej dosadnie, choć nadal subtelnie, zważywszy na inne możliwości:

– Dziewczyną do towarzystwa. I naprawdę nazywa się nie Blaszka, a Davies. Mathilda Davies. Urodziła się jako obywatelka Wielkiej Brytanii.

Profesor machnął ręką na znak, że to niuans bez znaczenia.

– W każdym razie była z jakimś szefem dużego motocyklowego gangu, tak?

– Dokładnie to…

– Mniejsza o dokładnie, panie inspektorze. Chcę sobie tylko poukładać w głowie najważniejsze fakty. Jak zrozumiałem, pani Bla… Davies popadła w niełaskę i skrzywdzona zdecydowała się zeznawać przeciwko temu gangowi, tak?

Chciał sprawdzić, jak ten Luby zareaguje na nazwanie „popadnięciem w niełaskę i zrobieniem krzywdy” zbiorowego gwałtu dokonanego w akcie zemsty przez sześciu mężczyzn. Tak jak się spodziewał, biznesmen przystanął i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

Tych dwoje coś łączy poza biznesem, pomyślał z satysfakcją profesor. Kolejny kawałek układanki wskoczył właśnie na właściwe miejsce. Zanotował na żółtej karteczce, by zlecić ginekologiczne badanie pacjentki.

– Jakiś czas spędziła w Hiszpanii pod nadzorem i opieką – podjął, odkładając pióro – aż stwierdzono, że zagrożenie zostało wyeliminowane… Właśnie. Jak właściwie to stwierdzono?

– Prezydenta gangu zamordowano w więzieniu, a reszta jego rady zginęła jeden po drugim w wojnie ulicznej – wyjaśnił Żołnierska Fryzura. – Interesy przejęli konkurenci, którym Mathil… znaczy panna Davies właściwie oddała przysługę. To wtedy stwierdziliśmy, że przy zachowaniu niezbędnych, acz minimalnych już środków ostrożności, może wrócić do normalnego życia poza programem.

– I tak ją po prostu zostawiliście, tak?

W głosie profesora nie było słychać wzburzenia, jakie sugerować mógł dobór słów. Z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem owa sugestia zdawała się jednak wyraźniejsza.

– Z informacją, że może żyć, gdzie chce, zacząć od nowa mimo traumy i wieku niespecjalnie sprzyjającego, by…

Po raz pierwszy od dłuższej chwili do rozmowy wtrącił się Luby:

– Miała środki, finansowe znaczy. Wzięła je z…

– Były niewiadomego pochodzenia – ostro wszedł mu w słowo Żołnierska Fryzura – ale rzeczywiście dość znaczne. Ponadto, według naszej wiedzy, pani Davies nie zaprzestała terapii, zmieniła tylko prowadzącego ją terapeutę. Pan Luby jest z nim w kontakcie. Zresztą, jeśli mogę to ocenić – tu zerknął wymownie na Lubego, jakby szukał potwierdzenia, że rzeczywiście może – aż do wypadku radziła sobie świetnie, prawda? Dopiero teraz…

Rozłożył ręce w geście bezradności. Wszyscy wiedzieli, co dopiero teraz.

Maślecki pokiwał głową w zadumaniu i pyknął parą niczym z fajki.

– Co to za minimalne zagrożenie, o którym pan wspomniał? – zapytał. – Bo, jak rozumiem, to ono tu pana sprowadza. Inaczej nie byłoby przecież potrzeby mówienia mi o tym wszystkim, czyż nie?

Tak, te elementy też już wkomponował w obrazek i z satysfakcją dostrzegł, że młody inspektor uśmiecha się z szacunkiem.

– Tak, panie profesorze, ma pan rację. To dlatego pan Luby mnie tutaj ściągnął z Wrocławia, dlatego z panem rozmawiamy. Jak powiedziałem, w niczyim interesie nie jest teraz szukanie pani Davies, ale gdyby się pojawiła… Cóż, motocykliści to specyficzna grupa. Mogą się nienawidzić, mogą zwalczać nawzajem, ale gdy przychodzi co do czego, to są oni kontra reszta świata. A przynajmniej takie chcą zachować pozory. Gdyby wypłynęła osoba, która zakablowała jednego z nich policji…

– Omerta – westchnął Maślecki.

Tak się to chyba nazywało w *Ojcu Chrzestnym*. Święte prawo milczenia.

Żołnierska Fryzura uśmiechnął się pod nosem.

– Powiedzmy, że coś takiego. Rozumie pan teraz, dlaczego chcemy przywrócić pani Davies pamięć? I dlaczego wolimy być przy niej do momentu, gdy to nastąpi?

– Tak.

Profesor Maślecki odłożył e-papierosa i wstał, dając do zrozumienia, że według niego wszystko zostało już powiedziane. Najwyraźniej rzeczywiście tak było, gdyż Żołnierska Fryzura również się podniósł i wyciągnął rękę ponad biurkiem.

– Dziękuję za zrozumienie, profesorze, i mam nadzieję, że nie przysporzymy specjalnie kłopotów. Jak mówię, ryzyko w zasadzie nie istnieje, ale lepiej dmuchać na zimne, czyż nie?

– Tak – mruknął lekarz. – Ma pan rację. Pozostańmy w kontakcie, muszę przemyśleć tę rozmowę i dalsze działania.

– Oczywiście.

Profesor uścisnął wyciągniętą dłoń i przeciągnął ten gest, zerkając jednocześnie na Lubego.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, panie…

Zapędził się w to zdanie, zanim sobie przypomniał, że nie zapamiętał nazwiska policjanta. Mimo to inspektor Żołnierska Fryzura nie wydawał się specjalnie obruszony, a jedynie lekko rozbawiony.

– Gretzki – przypomniał. – Jak ten hokeista, ale z „i” zamiast igreka na końcu.

– No właśnie. – Profesor skinął głową, jakby właśnie sobie przypomniał. – Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, inspektorze Gretzki, jakich chłopców miała na myśli pani Davies. Czy ten jej kochanek miał może jakichś synów?

Policjant potrząsnął głową i westchnął.

– Czasem jest tak – wyjaśnił – że kobieta szefa klubu zachowuje się trochę jak matka dla całej reszty. I ona mówiła właśnie o nich. O członkach gangu.

– Czyli tych, którzy ją potem zgwałcili – dopowiedział Luby, to, co było już oczywiste.

Wtedy profesor dostrzegł jeszcze jeden element układanki. Być może jeden z najważniejszych w tym obrazku. Wypowiedź panny Davies wskazywała na to, że wypadek cofnął ją we wspomnieniach do wydarzeń sprzed… tamtej traumy. Ci dwaj tutaj nie obawiali się, że gangsterzy znajdą jego pacjentkę. Bali się, że to ona zacznie ich szukać.

* * *

Szli ramię w ramię, ale nie odzywali się do siebie aż do chwili, gdy opuścili klinikę. Dopiero wtedy, przy metalicznoniebiskim oplu Gretzkiego Luby pozwolił sobie na pełen zadowolenia uśmiech.

– Myślę, że poszło dobrze – powiedział. – Spisałeś się.

Gretzki skinął głową zadowolony z pochwały. Sięgnął do kieszeni po kluczyk i wcisnął guzik z otwartą kłódką na breloczku. Błysnęły światła samochodu.

– Rozumiem, że teraz czekamy, aż porozmawia z psychiatrami, psychologami i całym sztabem specjalistów, aż wreszcie się do nas odezwie, tak?

– Zgadza się.

Luby wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował towarzysza. Zapalili.

– Czyli, rozumiem, nie wyrzucać telefonu. A co będzie, jeśli ona pozbiera się w międzyczasie i, bo ja wiem… ucieknie?

– Wątpię, by miała siły. Po pół roku leżenia w śpiączce atrofia mięśni musiała dać się jej we znaki. Ale nawet jeśli… – Luby rozłożył ręce i wyszczerzył się w paskudnym, pełnym złośliwej satysfakcji grymasie. – Przecież nie będę jej trzymać na siłę. Niech ucieka, niech wraca…

Zaciągnął się dymem i puścił w górę obłok, który ułożył się w niemal ludzką sylwetkę czy też bardziej rozciągnięty ludzki cień.

– Niech się przekona.

* * *

Nikt Dzwoneczka nie słuchał. Wszyscy byli uprzejmi, pytali, co u niej, uśmiechali się wyrozumiale, gdy coraz bardziej wściekła podnosiła głos. Ale najwyraźniej ani myśleli przejmować się tym, co miała do powiedzenia. Jakby liczyły się tylko wyniki badań, reakcja źrenic, odruchy, barwa moczu, ciśnienie i gęstość krwi, a nie to, co działo się w jej głowie.

A to tam, w środku, panował teraz prawdziwy, wymagający interwencji chaos. Przede wszystkim Dzwoneczek nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Na pewno w Polsce, nie w Hiszpanii, co

świadczyło o kilku rzeczach. Pierwsza była dobra – ktoś ją, taką nieprzytomną, zidentyfikował i przetransportował. Czyli Chłopcy musieli już wiedzieć o wypadku. Drugi wniosek jednak był niepokojący. Skoro po całym tym wypadku mogła już zostać przeniesiona, znaczyło to, że leżała nieprzytomna wystarczająco długo, aż minęło bezpośrednie zagrożenie życia. Czyli ile? Dni? Tygodnie? Miesiące? Jej noga, porośnięta paskudnym bliznowcem, zupełnie jakby ktoś oblał ją woskiem z różowej świeczki, zdawała się wskazywać na ostatnią możliwość. Podobnie jak jej zwiotczałe mięśnie i żebra rysujące się pod napiętą skórą jak u głodującego afrykańskiego dziecka.

Czyli parę miesięcy, dobrze. Ale gdzie w takim razie są Chłopcy? Pytała już o nich, pytała w pierwszej chwili, ale zamiast nich zobaczyła tylko tego oślizłego drania Lubego, który wpatrywał się w nią jak zakochany szczeniak! Przed kim on grał tę farsę? Przed lekarzami? A może gdzieś tu krążyły media, a on chciał dopilnować swojej nowej inwestycji, swych zdobytych w tak skurwysyński sposób udziałów w Lunaparku?

I gdzie są, do kurwy nędzy, moi Chłopcy?!

Podniosła się trochę, ale zaraz opadła na poduszkę, dysząc ciężko. Powoli zaczęła się przyzwyczajać do tych elektrycznych wiązek przeszywających jej ciało, ale ta była wyjątkowo paskudna. Zupełnie jakby ktoś smagnął ją właśnie elektrycznym biczem po kręgosłupie. Poczuła kropelki potu na czole. Jedna z nich spłynęła na brew, która zdążyła już pewnie zarosnąć jak u leśnego dziada i… Gdzie są Chłopcy?! Dlaczego żaden nie siedzi tu pod drzwiami, dlaczego nie czuwają, dlaczego…?

Zapytała o to salową, pyzatą ciemnowłosą kobietę wyglądającą trochę jak Cyganka, ale ta powiedziała tylko, że się dowie, i zniknęła, by więcej nie wrócić. A lekarz ani badający ją technicy nie mieli pojęcia, o czym mówi. Nie widzieli tu nigdy żadnych motocyklistów. Ani razu przez całe – o bogowie, a jednak! – pół roku.

Jeżeli do tego momentu się niepokoiła, teraz była już naprawdę przerażona. Serce tłukło się jej w piersi, krew łomotała w skroniach, oczy zaszły różowawą mgłą. Chciała krzyczeć, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Nie teraz, nie tutaj, gdy już i tak

podejrzewają, że jej mózg to dymiące zgliszcza Hiroszimy. Nie chciała dać im pretekstu, by zamknęli ją w izolatce. Musiała się stąd wydostać! Ale w pierwszej kolejności…

– Ten mężczyzna… który był tu ze mną, gdy się przebudziłam… – zaczepiła pielęgniarkę, siląc się na nieśmiały uśmiech osłabionej pacjentki. – Czy on… Czy mogę z nim rozmawiać?

– Pan Luby?

Młoda dziewczyna w typie modelki odpowiedziała uśmiechem. Najwyraźniej wystarczyło być dla niej miłym, by jednak coś usłyszała, pyzata kurwa.

– Właśnie wyszedł na chwilę, na spotkanie z dyrektorem szpitala. Ale wróci. On tutaj przesiadywał całymi godzinami, odkąd…

– Dobra, dzięki.

Dzwoneczek opadła na poduszkę i zupełnie straciła zainteresowanie rozmową. Udawana uprzejmość kosztowała ją teraz więcej niż ruchy ręką czy nogą. W głowie zaś coraz mocniej, natrętniej i głośniej huczało pytanie: gdzie się podziali moi Chłopcy?!

* * *

Lubemu nie śpieszyło się specjalnie do pokoju 1408. Dlatego, gdy pożegnał już Gretzkiego, zrobił jeszcze krótką spacerową rundkę po przyszpitalnym parku.

Szedł powoli, jakby umyślnie stawiając stopy na każdym pęknięciu w chodnikowych płytach, w każdej małej kałuży, w każdym zacienionym miejscu. Stąpał lekko, sprężyście, nie tracąc jednak nic z powagi szanowanego biznesmena. Wyglądał po prostu jak ktoś, komu lekko na duszy, kto właśnie otrzymał dobrą wiadomość, może dobrze rokujące wyniki badań, optymistyczną diagnozę po nieprzespanych nocach obaw… Ktoś, kogo radość wręcz niesie tą ścieżką między drzewami i starannie wypielęgnowanymi klombami, ale kto wciąż ma dość taktu i powściągliwości, by nie tańczyć wokół latarni i wśród innych chorych.

Spacerował, palił, uśmiechał się i uprzejmie kłaniał bądź odkłaniał pacjentom na ich krótkich smyczach kwadransowych przepustek. Niektórzy z nich mieli jedynie płaszcze narzucone na piżamy i buty zamiast kapci, inni właściwie nie różnili się niczym od odwiedzających krewnych. No, może prócz chodu – chwiejnego, osłabionego – bądź też sposobu, w jaki palili papierosy – łapczywie, szybko napychając się dymem, wręcz go pożerając. Zupełnie jak dzieci na urodzinowym przyjęciu ciotki w obliczu stołu słodkości. Zagarnij, ile się da jak najszybciej, zanim ktoś powie ci, że nie wolno.

Luby uznał, że to zabawne, bo najwyraźniej załapał się dziś na rolę dzieciaka odmieńca. Tego, który zachowuje się rozsądnie i grzecznie, bo usłyszał, że ostatni będą pierwszymi, a pokorne cielę zawsze może liczyć na podwójną dawkę cycków. Nietrudno bowiem zadławić się okazją, nietrudno poczuć mrożący sopel w mózgu, który w jednej chwili odbierze całą radość z darmowych lodów. Prawdziwy zwycięzca to ten, który wie, czym się różni „już” od „prawie”.

Teraz bowiem, właśnie z powodu bliskości mety, było najniebezpieczniej, najłatwiej o pomyłkę, o drobiazg, który sprawi, że wygrana z innymi nie będzie miała znaczenia. Jeśli przegra z samym sobą, to i tak przegra wyścig.

Zresztą tak naprawdę, myślał Luby delektując się słonym, wędzonym smakiem papierosa, tu jeszcze nic się naprawdę nie zaczęło. Kurtyna wciąż opuszczona kryje to, co na scenie, a wszystko, co wydarzyło się do tej pory, to tylko czasochłonny trening, próby i przygotowania do *show*. Rekwizyty, statyści, ty staniesz tu, ty tam, teraz tabliczka w górę, aplauz lub krzyk grozy, świetnie, jeszcze raz! Jak z pokazem iluzjonisty, gdy prezentuje nowy program – niby wszystko dograne, niby wie, jak zachowają się ludzie, zna ich i ustawił wszystko tak, że raczej nie mają możliwości zachować się inaczej. Tyle że… No właśnie: raczej. Zawsze istnieje ryzyko, że ktoś spojrzy nie w tę stronę, że omsknie się palec, skleją się karty, królik wyżre denko kapelusza, a szarfa zaczepi o guzik rękawa.

Gdy twoja widownia składa się tylko z jednej osoby, jest pozornie łatwiej, ale wtedy nie ma mowy o podziale szans innym niż

pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Uda się albo się nie uda. Osiągniesz cel albo spalisz numer.

Luby kolejny raz zaciągnął się papierosem i zadarł głowę, by spojrzeć na korony drzew. Powoli wypuścił dym nosem. Trik, nad którym pracował większość swego ziemskiego życia, był jednorazowy niezależnie od tego, czy się powiedzie, czy nie. To nie ułatwiało sprawy.

– Przepraszam, może pan poczęstować? – zapytał starszy mężczyzna siedzący na pobliskiej ławce.

Za sprawą swej puchowej kurtki wyglądał troszkę jak piankowy ludzik, ale wyraźnie przeterminowany, bo twarz miał pomarszczoną i do tego porośniętą brodą barwy popiołu na zasikanym śniegu. Uśmiechał się szczerze, acz nieco niekompletnie; jakimś cudem brakowało mu obu kłów.

Luby podszedł do ławki i dobył z kieszeni paczkę papierosów. Podsunął ją mężczyźnie pod nos.

– Zły to czas dla wampirów, co? – zażartował.

Nagle stał się nad wyraz ciekaw reakcji mężczyzny. Obruszy się i nie sięgnie? Podziękuję chłodno? Roześmieje się?

Mężczyzna wybrał czwartą opcję. Wziął papierosa, skorzystał z ognia i dopiero, gdy nasycił się pierwszym mleczno-mglistym kłębem, powiedział poważnie:

– Nie wiem, czy ktokolwiek jeszcze na tym świecie może powiedzieć, że to, co się dzieje, to jeszcze jego bajka.

Luby mało nie parsknął. Ja chyba mogę, pomyślał szczerze rozbawiony. Tyle że nie jeszcze, a już. Nareszcie!

Zerknął na zegarek, cisnął niedopałek pod nogi i ruszył w stronę ośrodka.

Uznał, że coś było nie tak w tej wcześniejszej metaforze. Kurtyna bowiem już się w zasadzie podniosła, pierwszy aplauz, choć jeszcze na kredyt, już się rozległ. Po prostu musiał chwilę poczekać na swoje sceny. Znał je dobrze, wiedział co, jak i kiedy, chociaż miał świadomość, że będzie musiał sporo improwizować. Ale tak to jest, gdy iluzjonista wkracza do teatru. Nikt nie jest bezpieczny, nawet aktorzy. Zwłaszcza aktorzy.

Akt pierwszy, scena druga. Jeśli dobrze przewidywał, zapowiadała się naprawdę gorąco i, gdy spojrzeć z odpowiedniej perspektywy, nawet nieco komicznie.

Ponownie znalazł się w szpitalu, odebrał z recepcji zostawioną tam teczkę i znów zamienił półbuty na lekkie mokasyny. Tym razem zabrał walizkę ze sobą, ale i tak kolejna dyszka powędrowała na stół, skąd recepcjonista zabrał ją, gdy tylko Luby zniknął za drzwiami.

Przed windą zgromadziła się już mała, zniecierpliwiona grupka, więc raczej nie warto było czekać; mógł zabrać się dopiero drugim rzutem. A więc schody i szybka przebieżka po dwa stopnie naraz. Uznał, że dobrze mu zrobi, jeśli się zziaja i spoci – będzie wyglądał bardziej żałośnie i przez to wiarygodniej. Nie przesądzi to o przebiegu czekającej go konwersacji, ale to szczegół, jak wiele innych w całej tej akcji, o który warto było zadbać. Wszak kropla drąży skałę.

Zanim pchnął drzwi i wyszedł na korytarz, zatrzymał się i otarł pot. Zrobił to samo tuż przed drzwiami pokoju 1408. Kątem oka dostrzegł jeszcze wychodzącą z dyżurki pielęgniarkę Martynę, ale zanim ona zdążyła go zauważyć – i być może zaprotestować, kierując się wolą i dobrem pacjentki – zapukał cichutko, po czym wszedł do środka.

Dzwoneczek siedziała w uformowanym z poduszek fotelu. Największą z nich miała za plecami, dwie mniejsze jako podłokietniki. Widać było wyraźnie, że próbuje się trzymać w pionie, i cała ta poza – proste plecy, zadarty podbródek, ręce przylegające do ciała i zgięte w łokciach pod kątem prostym – przywodziła na myśl wychowankę szkoły dla młodych panien albo…

Księżniczkę, pomyślał Luby i się roześmiał. Motocyklowa księżniczka, czyż nie tak nazywała ją ta pielęgniarka?

W pokoju grał głośno telewizor, a w nim powtórka jakiegoś głupawego serialu, któremu Dzwoneczek poświęcała spojrzenie, ale z pewnością nie uwagę. Musiała nie usłyszeć pukania czy otwierających się drzwi, bo dopiero jego parsknięcie sprawiło, że odwróciła głowę. I ponownie napotkał to wściekłe, lodowate spojrzenie, gdy powiedziała:

– Znowu ty!

Wzruszył ramionami, jakby nie miał nic na swoją obronę, a potem wyciągnął przed siebie ręce i powoli postąpił do przodu.

– Matyldo – zaczął, ale syknęła na dźwięk tego imienia, więc zamarł w pół kroku, a potem powoli cofnął się o krok. – Mam cię tak nie nazywać czy nie podchodzić?

– Najlepiej jedno i drugie, dziękuję – powiedziała.

Jej głos był wciąż nieco ochrypły, ale powoli nabierał brzmienia.

– Czego chcesz?

Potrząsnął głową i na chwilę skupił uwagę na telewizorze. Podstarzały, tatusiowaty mąż dawał się właśnie uwodzić swej młodziutkiej sekretarce, co pewnie szykowało fabularną nitkę pod kolejne dwadzieścia, trzydzieści odcinków. Może więcej, jeśli dziewczyna wykorzysta swój moment i stanie się gwiazdą tabloidów.

– Chciałem tylko powiedzieć… – mruknął w końcu. – Chciałem, bo wcześniej mi nie pozwoliłaś… że bardzo, bardzo się cieszę, że wróciłaś, i mam nadzieję, że z czasem…

Zatoczył rękami koło – dość nieporadnie, bo w jednej ręce wciąż trzymał walizkę – i ponownie spojrzał jej prosto w oczy. Spróbował nieśmiałego uśmiechu, ale Dzwoneczek wciąż wydawała się nieprzejednana. Westchnął.

– Wiem, że to będzie trudny czas, i pewnie twoją pamięcią teraz zajmą się specjaliści, tak by wszystko wróciło do normy. Ale chcę, żebyś wiedziała, że jeśli tylko będę w stanie jakoś ci pomóc, jakkolwiek…

Umilkł, a Dzwoneczek przyglądała mu się wciąż tak samo – chłodno, pogardliwie i gniewnie. Trwało to jednak wystarczająco długą chwilę, by na tym monolicie niechęci pojawiła się drobna rysa. Jak mówił sobie na schodach, kropla drąży skałę.

– Nie wiem, Luby, czy to jakieś dziwaczne wyrzuty sumienia, czy co, ale niech ci będzie – stwierdziła w końcu. – Gdzie są moi Chłopcy? I jak to jest, że żaden z nich nie siedzi… Ej, co jest z twoją twarzą? Coś im się stało?! Coś z moimi chłopcami?!

Przy osłabieniu i częściowej atrofii w jednym momencie zrzuciła z siebie kołdrę i spuściła nogi z łóżka z wręcz niebywałą prędkością. Spróbowała też wstać, ale wtedy świat zakręcił się tak gwałtownie,

tak mocno, że klapnęła na tyłek i poleciała na bok. Zdrętwiała ręka nie była dla niej wystarczającym oparciem, ale na szczęście Luby zareagował w porę. Cisnął teczkę na ziemię, doskoczył do Dzwoneczka, podtrzymał ją i pomógł wrócić do łóżka. Dopiero wtedy usiadł na jego skraju, ujął jej wątłą dłoń w swoje ręce i powiedział miłym, uspokajającym szeptem:

– To był naprawdę ciężki wypadek, piękna. Być może zrobił ci w środku spustoszenie większe, niż na zewnątrz, ale cokolwiek by się działo, wyjdziesz z tego, bo jesteś silna. – Pogładził ją po dłoni. – Zobacz, nawet w tym całym kociokwiku nadal pamiętasz, jak się nazywam. Czyż to nie świetny krok?

Dzwoneczek otworzyła oczy i poruszyła sinymi wargami. Przysunął się bliżej, by dać jej do zrozumienia, że koniecznie chce usłyszeć, to, co ma do powiedzenia.

– Gdzie są moi Chłopcy, Luby?

Odsunął się i przestał gładzić jej drobną dłoń. Jeszcze przez chwilę ją trzymał, wreszcie wstał i wziął z szafki butelkę wody. Nalał do szklanki jedną trzecią, wróciwszy na miejsce, wsunął jedną rękę pod głowę Dzwoneczka, a drugą ze szklanką podsunął jej do ust.

– Napij się – powiedział.

Gdy pokręciła głową, dodał:

– Napij się, a wszystko ci wyjaśnię.

To ją przekonało. Pozwoliła, by cieniutka strużka popłynęła jej do rozchylonych ust, i przełknęła. Luby odstawił szklankę, wyprostował się, przejechał rękami po twarzy. A potem zaczął mówić to samo, co nie tak dawno wraz z Gretzkim opowiedzieli profesorowi Maśleckiemu. O gangu, gwałcie i programie ochrony świadków.

Wydawało się, że Dzwoneczek słucha go uważnie, bo wciąż na niego patrzyła, nie przerywała, a nawet czasem lekko potakiwała. W połowie opowieści poprosiła, by pomógł jej znowu wygodnie usiąść, a następnie powoli sięgnęła po szklankę z wodą. Spróbował jej pomóc, ale odmówiła.

– Dam sobie radę – mruknęła. – Ty mów.

– My poznaliśmy się, gdy wprowadziłaś się w okolice Miasteczka i zainteresowałaś zrujnowanym lunaparkiem. Przez jakiś czas rywalizowaliśmy o niego, ale pewnego dnia…

Nie zorientował się. Dał się ponieść swojej opowieści, swojemu talentowi do jej snucia, własnemu ego, które podpowiadało mu, że jest tak dobry, że najtrudniejsze w tej rozmowie już za nim. Mówiąc, zapatrzył się w jej oczy i najwyraźniej zapomniał, z kim ma do czynienia.

Szybko przypomniały mu o tym trzask pękającej szklanki, a potem gwałtowny ruch, jej ręce niczym kobry wystrzeliwujące ku niemu – jedna, by złapać go za włosy i odgiąć głowę, a druga, by przyłożyć do szyi ostry odłamek szkła. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to niemożliwe, by była tak szybka. Dostrzegł jednak na jej twarzy, że od dłuższej chwili zbierała siły na ten właśnie ruch. Gdyby jej nie wyszedł, byłaby bezbronna jak niemowlę… Ale udało jej się i teraz Luby siedział z odchyloną głową i cieniutkim strumyczkiem krwi spływającym po szyi ku kołnierzykowi koszuli.

Dzwoneczek nachyliła się do niego i poczuł jej ciepły oddech. Pachniał trawą i mokrą ziemią – idealnie dla kogoś, kto powstał z martwych.

– Nie wiem, w co ty, kurwa, grasz, Luby – warknęła. – Ale chcę natychmiast wiedzieć, skąd się tu wzięłam, kto przywiózł mnie z Hiszpanii i gdzie, do chuja, są moi Chłopcy. Zrozumiałeś?

Odruchowo kiwnął głową, pogłębiając ranę na szyi.

– T-t-tak – powiedział. – T-t-o znaczy, rozumiem, co mówisz, ale…

Ostrożnie wziął płytki oddech, spróbował też przełknąć ślinę.

– Ale co?

– Ale nie wiem, jak ci pomóc. Jedyni chłopcy, jakich – z tego, co wiem – możesz znać, to ci z Hellhou… auuu!

– Nie łżyj. Chcę natychmiast…

W tym momencie oboje usłyszeli, że otwierają się drzwi do pokoju. Luby poczuł, że Dzwoneczek się waha, i wykorzystał ten moment.

– Zabiorę cię do domu – szepnął. – Jeszcze dziś.

To wystarczyło. Nie miało znaczenia, czy mu uwierzyła, czy po prostu nie chciała zostać zamknięta w izolatce, ale puściła jego głowę i cofnęła rękę ze szkłem. Odłamek upuściła na podłogę.

W tym samym momencie do pokoju weszła Martyna.

– Chciałam tylko zobacz… O mój Boże, panie Luby, pan krwawi!

Podeszła energicznie, ale mężczyzna przetarł ręką po szyi i wzruszył ramionami z nieco zawstydzonym rozbawieniem.

– To musiał być jakiś odłamek – stwierdził. – Matylda próbowała wziąć do ręki szklankę i ścisnęła za mocno.

– Tak – potwierdziła Dzwoneczek. – Chyba zupełnie nie kontroluję własnej siły.

Matylda przyjrzała się im obojgu, a potem szklanym odłamkom i plamie po wodzie, które potwierdzały ich historyjkę. Wreszcie pokręciła głową.

– Jezu, dobrze, że nie trafiło pana w oko – stwierdziła. – Proszę poczekać, pójdę po salową i jakieś opatrunki.

– Jasne – odparł Luby.

– I przepraszam za kłopot – dodała Dzwoneczek. – Naprawdę nie chciałam…

Pielęgniarka rozpogodziła się w jednej chwili.

– Pani, Matyldo, wybaczone będzie dzisiaj wszystko! – zawołała. – Jest pani cudem dla wszystkich, od pana Lubego, przez ten oddział, po lokalną prasę. Zaraz wracam.

Zniknęła za drzwiami. Ledwie to zrobiła, Dzwoneczek znowu złapała za kołdrę. Luby jednak potrząsnął głową.

– Nie tak od razu – stwierdził. – Potrzebuję pół godziny, by skołować ci ciuchy i jakoś to zaplanować. Jak powiedziała ta pielęgniarka, jesteś dzisiaj gwiazdą i wyciągnięcie cię może nie być takie łatwe…

Chciała coś powiedzieć, ale przyłożył jej palec do ust.

– Pół godziny – powiedział. – O tyle proszę.

Wstał i ruszył w stronę wyjścia, przykładając rękę do zranionej szyi. Schylił się, by podnieść leżącą na ziemi teczkę.

– No i może jeszcze o to, byś już więcej nie próbowała mnie zabić, dobra?

Nie odpowiedziała.

* * *

Martyna Tarkowska wyszła z ambulatorium i w progu zdarzyła się z Lubym. Mężczyzna niósł teczkę i wyglądał, jakby nagle bardzo się śpieszył.

– Przepraszam – powiedział.

Wysunął w jej stronę wolną rękę, ale zaraz ją cofnął, gdy dostrzegł, że jest brudna od krwi. Rana na jego szyi wciąż broczyła, ale widać było, że to nic groźnego, ot, trochę jak głębsze zacięcie przy goleniu. Mimo to Martyna uznała, że kto jak kto, ale ten mężczyzna zdecydowanie zasłużył na dodatkową porcję troski. Ten dzień, na który tak czekał, nie potoczył się specjalnie po jego myśli. Złapała go więc za rękę i pociągnęła z powrotem do ambulatorium.

– Proszę, niech pan siądzie – powiedziała, wskazując mu krzesło. – Dużo wygodniej będzie mi opatrzyć pana tutaj.

– Naprawdę nie wiem, czy trzeb… – zaczął, ale położyła mu palec na ustach i się uśmiechnęła.

Kompletnie nie wiedziała, skąd biorą się u niej te gesty, zupełnie jakby coś w głowie nakazywało jej tak właśnie postąpić. Jakby wsuwało jej do umysłu myśli i zachowania, a ona mogła się tylko przyglądać. No ale nie działo się przecież nic takiego, o czym raz czy drugi nie myślała. Wizja, że przychodzi tutaj z mężczyzną, do tego ambulatorium, a potem oddaje mu się na tej właśnie kozetce…

Nie! – pomyślała. – To nie są przecież moje myśli. Co się z tobą dzieje, idiotko?! Cofnęła palec i mocno zaczerwieniona wybąkała:

– Przepraszam, spoufaliłam się troszkę. Chodzi o… Chodzi o to, że może wdać się zakażenie, a poza tym zwyczajnie nie mogę pana tak zostawić. Zawodowo.

Luby skinął głową, uśmiechnął się lekko, złapał ją za nadgarstek i uniósł jej dłoń z wciąż wyciągniętym palcem wskazującym do własnych ust. Wargi ledwie musnęły opuszek, ale nagle Martyna poczuła, że jej kolana robią się miękkie, podbrzusze łaskocze, a krew wybija rytm w skroniach.

– Już nie szepnę słówkiem – powiedział, a potem puścił jej dłoń.

Zdjął marynarkę, rozpiął kołnierzyk koszuli i usiadł na wskazanym miejscu. Przez cały czas ani na moment nie spojrzał na dziewczynę, za to miał pełną świadomość, że ona patrzy na niego.

Choć widywała go tutaj od pół roku, rozmawiała z nim często, niemal codziennie, jeszcze nigdy go takim nie widziała. Jeszcze nigdy cienie na jego twarzy nie czyniły jej tak męską, jeszcze nigdy jego spojrzenie nie było podszyte tym nieuchwytnym, tajemniczym mrokiem. Właściwie dałaby sobie obciąć rękę, że wcześniej miał oczy jasne, a teraz… Czyżby szkła kontaktowe? Reszta też, od budowy po ruchy, prezentowała się niesamowicie i nie wiedzieć czemu, obudziła w Martynie najskrytsze, najmroczniejsze pragnienia. I to w jednej chwili, w jednym momencie. Przecież jeszcze rano się tak nie czuła! Ba, jeszcze przed paroma minutami, gdy weszła do pokoju motocyklowej księżniczki, nic nawet nie sugerowało, że teraz będzie skłonna oddać się temu mężczyźnie w jednej chwili, że jej myśli…

– Nie – powiedziała na głos.

Wtedy na nią spojrzał. Dobroduszny wyraz jego twarzy był niczym maska, za którą kryła się okrutna drwina. Oczy, jego oczy zdradzały wszystko!

– Co nie, pani Martyno? Coś źle zrobiłem? – chciał wiedzieć.

Nie, on doskonale wiedział, co zrobił, a teraz kpił. Kpił z jej zaciśniętych nóg, narastającej między nimi wilgoci, fali ciepła – żaru! – pnącej się w górę i rozlewającej czerwienią na szyi i policzkach. Jezu Chryste! Co się ze mną…?

Zatoczyła się, a nad wszystkimi przedmiotami w laboratorium wyrosły nagle czarne jak smoła cienie, niczym duchy ze starych kreskówek. Rosły i rosły, rozlewały się po ścianach, ogarniały całą możliwą przestrzeń. Tylko Luby nie dorobił się mrocznego bliźniaka. On sam był teraz cieniem, rzeźbą z czarnego lateksu, lśniącą, ale i jednocześnie pochłaniającą światło. Był czernią, królem cieni, mrocznym przerażającym voodoo, którego nie potrafiła pojąć.

– Proszę – szepnęła, a jej zdradzieckie ciało zadrżało w tym samym momencie z rozkoszy. A potem, niczym szmaciana lalka, osunęła się na podłogę.

Luby siedział jeszcze przez moment, po czym potrząsnął głową i wstał. Wyjrzał z ambulatorium na korytarz, zerknął w jedną i drugą stronę, wreszcie zamknął drzwi. Przeniósł Martynę na kozetkę i bez pośpiechu rozebrał.

Przez chwilę przyglądał się jej nagiemu ciału. Przejechał opuszkami po sterczących sutkach. Mógłby wejść w nią teraz, zgwałcić nieprzytomną na tej kozetce, ale nie byłby w stanie spenetrować jej dogłębniej, niż zrobił to do tej pory.

Westchnął, po czym otworzył teczkę i wyjął z niej najpierw koszulę nocną, identyczną jak ta, którą miała na sobie Dzwoneczek, następnie perukę, cienką lateksową maskę i profesjonalny zestaw do makijażu. Od pół roku drążył myśli dziewczyny, by trzymała się diety – nie było to trudne w przypadku dwudziestoparolatki – ale nie mógł przecież sprawić, żeby zmieniła fryzurę, przefarbowała włosy. Gdyby ni stąd, ni zowąd pielęgniarka zaczęła się upodabniać do swojej pacjentki, zaraz ktoś nabrałby podejrzeń. A potem, kto wie, jeszcze by odkrył ten cyrk ze zdjęciami, codzienne rytuały…

Nie, zdecydowanie łatwiej było to zrobić tak jak teraz. Raz-dwa ubrał dziewczynę w piżamę, nałożył na jej twarz maskę z twarzą Dzwoneczka, włosy przykrył peruką, a rękę odzdobił specjalnie zaprojektowaną, mocniejszą niż te dziecięce kalkomanią z tatuażem. Wreszcie, oparłszy dziewczynę plecami o ścianę, sprawnie uporał się z makijażem i poprawił swoją własną sztuczką nakładania na twarz tych prawdziwych cieni.

Cofnął się o krok i przyjrzał krytycznie swojemu dziełu. On by się nie nabrał, ale on przecież patrzył w głąb. Każdy inny mógłby spokojnie ulec złudzeniu, nawet z bardzo bliska.

Zadowolony z siebie wyjął z mundurka pielęgniarki klucz do jej osobistej szafki, z teczki wyciągnął foliową koszulkę, kartkę i taśmę klejącą. Wpisał na kartce godziny, które uznał za wystarczający margines czasu, i wsunął ją do koszulki. Potem wyszedł z ambulatorium, zamknął drzwi na klucz i przykleił na nich informację, że w najbliższych godzinach odbędzie się w środku szkodliwe naświetlanie bakteriologiczne.

* * *

Dzwoneczek zaczynała już powoli wątpić w to, czy Luby zjawi się ponownie. Chociaż nie, wątpliwości miała od samego początku, ale

teraz z każdą kolejną minutą dłużącą się niczym godzina nabierała pewności, że po prostu zwiódł ją i uciekł. Właściwie nawet go rozumiała, nie zachowała się, bądź co bądź, specjalnie rozsądnie. Na pewno nie jak matka. Choć może właśnie przeciwnie, może ta bezwzględna reakcja na wciskane jej głupoty była powodowana matczynym instynktem? To przecież nienormalne, że nie było tu przy niej ani Kędziora, ani Milczka, kłócących się jak zawsze, mimo że jeden z nich uparcie milczał; że w kącie nie siedział Stalówka, a Bliźniacy nie pukali pielęgniarek w schowkach na miotły. Kruszyna pewnie przemyciłby tu Pana Propera pod koszulą, a kot skłoniłby się jej, a potem zabrał za lizanie się po jajach. No i był jeszcze Kubuś…

Zdała sobie sprawę, że to właśnie myśl o chłopczyku napełniała jej serce największym przerażeniem. Reszta sobie poradzi, ale on? Co prawda już raz był w takiej dziwacznej sytuacji, ale od tamtej pory, cóż, wiele się zmieniło. Dzwoneczek spróbowała zbudować chłopcu dom i chyba się do siebie przywiązali. A teraz… Gdy wróci, choć obiecywała sobie, że więcej tego nie zrobi, zafunduje mu całą szklaneczkę syrenich łez. A potem jakoś to wszystko – całe pieprzone pół roku – odrobi.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i do pokoju wśliznął się Luby. Tak, wśliznął się, a nie wszedł. Zupełnie niczym szpieg z filmu dla dzieci. Sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. W ręku zamiast teczki trzymał reklamówkę.

– Żeby nie było wątpliwości, uważam, że to chory pomysł – stwierdził konspiracyjnym szeptem. – Ale jeśli ma ci pomóc, to niech tam. Pytanie tylko, czy będziesz w stanie iść. Bo pchanie cię na wózku…

– Dam radę – ucięła Dzwoneczek, choć daleko jej było do pewności. – Co tam masz?

Rzucił jej reklamówkę.

– Powinno pasować. Nic lepszego nie byłem w stanie załatwić w tak krótkim czasie.

Skinęła głową i sięgnęła do torby. Dżinsy wyglądały normalnie, podobnie bluzka czy małe ciżemki. Bielizna jednak wzbudziła pewne wątpliwości.

– Może być mały – stwierdziła, oglądając stanik, jednak po krótkim namyśle uznała, że pół roku na łóżku w tym względzie także niespecjalnie się jej przysłużyło. – Dobra, odwróć się.

Nie musiała tego mówić, bo Luby i tak warował przy drzwiach, gotów zareagować na najmniejszy ruch klamki. Miała wrażenie, że trzęsie się z nerwów, i to też jej nie pasowało. Nie takim go przecież pamiętała.

Ubrała się w miarę sprawnie, choć wciągnięcie spodni solidnie ją zmęczyło. Potrzebowała chwili oddechu i bezruchu, by uspokoić wirujący sufit nad swoją głową. Wreszcie usiadła znowu, włożyła buty i wstała.

Zrobiła to bardzo ostrożnie, dlatego udało się jej zareagować, gdy nogi zadrżały i ugięły się pod nią. Zacisnęła zęby i spróbowała jeszcze raz. Ograniczenia są dla ludzi, a ona przecież była pierdoloną wróżką. Kiedyś potrafiła latać, więc z chodzeniem również sobie poradzi. Wystarczyło uwierzyć.

Przeniosła ciężar na stopy i oparłszy się na rękach, uniosła pośladki z materaca. Nogi znów zadrżały ostrzegawczo, ale to zlekceważyła.

Myśl o Chłopcach, nakazywała sama sobie. Coś im się stało, coś musiało się stać! Inaczej by tu byli, inaczej czekaliby tutaj, nie dopuszczając do ciebie nikogo. Więc rusz się, ty zasrana, użalająca się nad sobą dziwko. To nie ciało rządzi tobą. To tylko…

– … jebana powłoka – warknęła.

Wyglądała tak, jakby tylko siłą woli utrzymywała się w pionie. Krew odpłynęła z jej bladej twarzy, na czole rosiły się krople potu. Ale stała. A potem zrobiła niepewny krok. I kolejny.

– Jesteś pewna, że dasz radę, Matyldo?

– Nie nazywaj mnie tak – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – W ogóle się do mnie, kurwa, nie odzywaj.

Szła z wyciągniętymi na boki rękami, niczym ktoś poruszający się po omacku, jej kroki były sztywne i koślawe. Nic dziwnego, każdy bowiem raził podbicia stóp i pięty elektryczną wiązką, przeszywającą ją aż po czubki włosów. Robiło się jej na przemian zimno i gorąco, nie szczękała zębami wyłącznie dlatego, że zaciskała je mocno aż do bólu szczęki. Gdy doszła do Lubego, ten wyciągnął ku niej ramię,

a ona po chwili wahania skorzystała z oparcia. Duma dumą, ale teraz była matką i musiała przede wszystkim szybko się dowiedzieć, co stało się jej dzieciom.

– Mam nadzieję, że to dobry pomysł – powiedział jeszcze Luby, a potem otworzył drzwi i razem wyszli na korytarz.

Tym razem nie było nikogo przy windzie, korytarz też szczęśliwie się wyludnił, choć nie udało się uniknąć kilku zaciekawionych spojrzeń czy to pacjentów, czy pielęgniarek. Luby jednak doskonale wiedział, że wystarczy mówić cokolwiek, co brzmi miło, lekko i beztrosko, by stworzyć właściwy pozór – ktoś z rodziny zabiera chorego na dół, na przepustkę. Oczywiście nikt nie rozpoznał pacjentki, bo też nikt, nawet spośród personelu powiadomionego o dzisiejszym cudzie, nie mógł przypuszczać czy zakładać, że kobieta po pół roku w śpiączce będzie w stanie iść o własnych siłach. Mózg to jednak paskudny oszust, a przy tym straszliwy despota.

Zjechali na parter i przeszli przez hol. Nie licząc chwili w windzie, gdy Dzwoneczek po prostu usiadła na podłodze, ciężko dysząc, właściwie całą drogę pokonała na własnych nogach. Dopiero gdy dotarli do samochodu Lubego, srebrnego rodzinnego volvo, nie wytrzymała. Wsparła się o drzwi, zgięła w pół i zwymiotowała żółcią. W porę podtrzymana uniknęła upadku, ale – gdy Luby już posadził ją w samochodzie – zaczęła się trząść jak w febrze.

Patrzył na nią przez chwilę z troską, aż w końcu zapytał:

– Wytrzymasz tu przez chwilę sama? Muszę tam wrócić i… kupić nam trochę więcej czasu.

Choć próbowała, nie była zdolna wypowiedzieć choćby słowa, więc tylko skinęła głową. Luby patrzył na nią jeszcze przez moment, aż w końcu zamknął drzwi i pognał w stronę szpitala.

Wbiegł po schodach, tym razem bez śladu zadyszki, i dopiero tam zwolnił do żwawego kroku. Podszedł do ambulatorium, chwyciwszy po drodze stojący luzem wózek inwalidzki.

Rozejrzał się, zanim zdarł kartkę i otworzył drzwi. Nie włączał światła, mrok odpowiadał mu dużo bardziej. Posadził wciąż śpiącą Martynę na wózku i zawiózł ją do pokoju 1408. Zrobił to bez pośpiechu, wszak tę sytuację mógłby już wytłumaczyć każdemu bez

trudu, przynajmniej dopóki Martyna spała. A tego, że dziewczyna się nie obudzi przed czasem, był pewien. Niektórych sztuczek się zwyczajnie nie zapomina.

Już w pokoju przeniósł pielęgniarkę na łóżko i jeszcze raz, dla zabawy, pogładził jej pierś. Po raz kolejny zadrżała i, nie wiedzieć czemu, wydało mu się to niezwykle zabawne.

– Dobranoc – szepnął, po czym wyszedł z pomieszczenia, zabierając ze sobą wózek.

* * *

– Możemy jechać – zakomenderował, gdy już wsiadł do samochodu, wrzucił teczkę na tylne siedzenie i włączył silnik. – Tylko dokąd dokładnie? Jakieś życzenia?

Popatrzyła na niego, jakby to było najgłupsze pytanie świata.

– Druga Nibylandia – powiedziała.

– Znaczy Lunapark? – upewnił się.

– A co jest niezrozumiałego w tym, co powiedziałam? – warknęła.

Luby wzruszył ramionami, po czym położył rękę na zagłówku jej siedzenia, popatrzył przez tylną szybę i zaczął cofać.

– Nic niezrozumiałego – odparł. – Po prostu Lunapark… nie nazywa się Druga Nibylandia, ale domyśliłem się, że…

– Jak to się nie nazywa?! Zmieniłeś nazwę?

Luby wcisnął hamulec, spojrzał na nią i uśmiechnął się smutno.

– Nie, Matyldo – powiedział. – Nigdy się tak nie nazywał.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Słowa, a nawet cała awantura wisiały w powietrzu, ale żadne z nich się nie odezwało. A potem ktoś zatrąbił i Luby skupił się na dokończeniu manewru. Wyjechali z parkingu na drogę.

– Myślę, że nie ma sensu, byśmy rozmawiali o tym wszystkim, dopóki nie dojedziemy na miejsce – powiedział w końcu Luby.

Patrzył na drogę, nie na nią, i to było dobre, bo Dzwoneczek miała dość tego jego psiego spojrzenia pełnego troski. Tak bardzo do niego nie pasowało, że było wręcz przerażające.

– Gdy już zobaczysz, co i jak, sama zadecydujesz, co dalej, dobrze?

– Za ile będziemy?

– Nie wiem. – Musnął palcami świeży strup na szyi. – Godzina? Czterdzieści minut, jak przycisnę?

– To przyciśnij.

Wlepiła wzrok w widok za oknem. Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęła skorzystać ze Skrótu.

* * *

Eddie siedział w stróżówce przy bramie i dłubał w nosie, czytając gazetę dla kobiet. Znalazł ją wczoraj podczas wieczornego sprzątania Lunaparku i wziął tylko ze względu na ekskluzywną sesję foto Liv Tyler, która nie była może prawdziwie rozbierana, ale i tak sprawiała, że chłopaka cisnęło w kroczu. Teraz jednak nie patrzył na zdjęcie, tylko czytał rubrykę towarzyską, a palec w jego nosie kręcił się i obracał, jakby łapał częstotliwość w radioodbiorniku. Eddie już dawno zauważył, że jeśli dobrze i równo obgryźć paznokieć, tak, by nie wystawał ponad opuszkę palca, to dłubanie może sprawiać całkiem niezłą przyjemność. Nie aż taką jak walenie konia, ale w pracy człowiek cieszy się, czym może. Zwłaszcza w dni jak ten, gdy powietrze jebie nudą.

Roześmiał się. Brzmiało to trochę jak charkot odpalanego samochodu z rozładowanym akumulatorem, trochę jak śmiech gruźlika – suche trzaski z wysokim zaśpiewem przechodzącym na moment w świst przy każdym wdechu. To właśnie temu śmiechowi oraz ślinieniu się przez sen zawdzięczał swoją ksywkę – koledzy stwierdzili po prostu, że czasem wygląda jak postać z kreskówki z Cartoon Network. Mówili to złośliwie, ale nie przejmował się tym, miał ich w nosie. Albo nie, w dupie. Tam sobie nie grzebał i nie było ryzyka, że przypadkiem któregoś wyciągnie.

Zaśmiał się jeszcze głośniej, jednocześnie przewracając stronę magazynu. Wtedy właśnie zza zakrętu wyłoniło się srebrne volvo. Eddie natychmiast ściągnął nogi ze stolika, wyjął palec z nosa

i cisnął magazyn pod krzesło. Dyskretnym gestem spróbował przyczesać krótkie, przetłuszczone włosy, a następnie wstał i powoli, na nieco sztywnych nogach ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Właściwie mógł otworzyć szlaban przy użyciu przycisku, który znajdował się na blacie, ale ostatnio miał wrażenie, że szef patrzył na niego mniej przychylnym okiem niż na resztę, więc wolał pokazać, że się stara, że mu zależy.

Dlatego opuścił stróżówkę i, nim samochód zdążył podjechać, otworzył szlaban ręcznie, za pomocą korbki. Następnie przeszedł szybko na drugą stronę drogi, by grzecznym ukłonem powitać kierowcę. Dostrzegł, że szef nie jest sam, tylko z jakąś dziunią, ale w pierwszej chwili refleks słońca na szybie nie pozwolił się przyjrzeć. A poza tym przyglądać się Eddie nie zamierzał, bo to zdecydowanie byłoby niegrzeczne.

Volvo zatrzymało się w bramie, zabrzęczał elektryczny silniczek otwieranego okna, a Luby uniósł wzrok, by spojrzeć na odźwiernego.

– Dzień dobry, proszę pana – powiedział natychmiast chłopak.

– Szlaban się zepsuł? – zapytał Luby.

Eddie potrząsnął głową gwałtownie, jak pies otrzepujący się po znienawidzonej przymusowej kąpieli wydukał:

– Nie, proszę pana, ja tylko chciałem…

Wtedy ją dostrzegł. Przechyliła się nad szefem, by zobaczyć odźwiernego, i niemal natychmiast na jej twarzy pojawił się uśmiech, właśnie taki, jakim Eddie zawsze pragnął zostać obdarzony. Gdy gapił się na jej zdjęcia, które zrobił jej kiedyś kamerką ukrytą w jej łazience, gdy robił sobie dobrze, patrząc na to, jak mydli sobie te śliczne cycuszki i patrzy na nie, jakby zaraz miała je sobie polizać – zawsze miał nadzieję, że w którymś momencie spojrzy na niego i pośle mu taki właśnie uśmiech. Jego kutas w jednej chwili naparł na materiał spodni.

– O, a to ci niespodzianka! – zawołał, błyskawicznie zginając się w pół, że niby tak, by lepiej się przyjrzeć. – Tak się o panią baliśmy, bo najpierw ten wypadek, potem śpiączka. Ale…

– Dobrze, dobrze, Eddie – Luby machnął ręką i już chciał zamknąć okno, ale Dzwoneczek złapała go za rękę, wyraźnie podekscytowana.

– Ja cię znam! – powiedziała. – Ty jesteś Gutek! Jeden z Dzieciaków!

Mina trochę Eddiemu zrzedła, gdy zdał sobie sprawę, że królowa jego mokrych snów z kimś go pomyliła – i to zapewne temu ktosiowi zamierzała posłać swój śliczny, choć nieco wychudzony uśmiech – ale zaraz się rozpogodził i wcześniejszym entuzjazmem powiedział:

– Eddie, pani Matyldo. I już nie taki znowu dzieciak, bo w marcu skończyłem…

– Nie, nie – weszła mu w słowo. – Gutek, na pewno. Uwolniliśmy cię z zakładu poprawczego w Gródku i musieliśmy ukrywać na strychu, gdy przyjeżdżały kontrole i inne takie.

Eddie spojrzał niepewnie na Lubego, ale ten tylko pokręcił głową i wzruszył delikatnie ramionami. Chłopak zrozumiał – to wszystko przez ten wypadek. Wyszczerzył się najszerzej, jak tylko potrafił.

– Jak dla pani, to mogę być i Gutek, pani Matyldo, tak bardzo się cieszę, że pani znowu jest z nami. Ale gdybym był w poprawczaku, nie mógłbym…

Dzwoneczek klepnęła się w czoło.

– O właśnie, ciągle dłubałeś w nosie, ale nie zjadałeś smarków jak inni – stwierdziła wyraźnie zadowolona z siebie i z tego, że chłopak się zmieszał i odruchowo schował ręce za plecami. – I niezły był z ciebie trzepacz, nie? Kruszyna dał ci kiedyś w ucho i kazał samemu prać te twoje usztywnione skarpetki.

Zapadła niezręczna cisza. Eddie miotał się ze swym spojrzeniem niczym zwierzak w klatce od szefowej do szefa, czekając, aż któreś wreszcie powie mu, że to tylko okrutny żart, jaki postanowili mu wyciąć z okazji powrotu szefowej do życia. Rzeczywiście, w końcu Luby parsknął śmiechem.

– Nie wiem jak z całą resztą twojej pamięci, Matyldo, ale tego tu opisałaś prawie idealnie – stwierdził. – Tylko ten poprawczak… Skąd właściwie pochodzisz, chłopcze?

– Z Grodkowa, proszę pana.

Luby przeniósł wzrok na Dzwoneczka i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Już wiesz, skąd pomyłka?”. Ale ona tylko odchyliła się, splotła ręce na piersi i powiedziała:

– Jedźmy już.

– Jasne.

Znowu zamruczał silniczek zamykanego okna, a potem samochód ruszył i potoczył się w głąb lunaparku żwirową drogą techniczną.

Eddie patrzył przez chwilę, jak odjeżdżają, po czym zaklął, splunął i wrócił do stróżówki. Szlaban zamknął przyciskiem, a potem zajął miejsce na krzesełku. Zamiast jednak podnieść gazetę, sięgnął do portfela i wyciągnął zeń sfatygowane, poskładane na cztery wydruki zdjęć. Spojrzał na nagą szefową mydlącą swe śliczne cycuszki i charknął głośno. Potem rozpiął spodnie i sięgnął prawą ręką do bokserek.

– Ja ci, kurwa, dam, Gutek – mruknął. – Szkoda, że już nie leżysz w śpiączce, głupia dziwko, bo być może odwiedziłbym cię wtedy i…

Doszedł, nim skończył zdanie.

* * *

Park niemal w niczym nie przypominał tego, który zapamiętała. Nie zgadzało się nic, nawet układ ścieżek i deptaków, kształt klombów, rodzaj drzew, typ wyłożonej kostki. Przez dłuższą chwilę Dzwoneczek biła się nawet z myślą, czy to nie jest zupełnie inne miejsce, inny Lunapark, ale nie, lokalizacja się zgadzała, nie miała co do tego wątpliwości. Więc jak to możliwe, żeby w ciągu pół roku to miejsce tak się zmieniło?

Najgorsze było to, że wszystkie atrakcje wcale nie wyglądały na nowe. Przeciwnie, choć zadbane, nosiły ślady zużycia, pokryte były tą na pierwszy rzut oka niewidoczną, ale jednocześnie nieścieralną patyną czasu niczym kurzem. To miejsce sprawiało wrażenie dużo starszego niż jej odnowiona Druga Nibylandia.

Co więcej, i to chyba najtrudniej było Dzwoneczkowi przyznać, część atrakcji wyglądała znajomo, mimo że była pewna, iż w jej Lunaparku ich nie było. Ale niektóre – jak choćby ta kraina ślizgawek i zjeżdżalni wystylizowana na górskie szczyty, pełna dmuchaw,

wysięgników i światełek – wyglądały jakby wyjęte prosto z jej głowy. Chciała takich atrakcji. To Chłopcy się nie zgodzili.

Samochód dotoczył się do skrzyżowania ścieżek i Luby ruszył prosto, ale gwałtownie zaprotestowała.

– Skręć w prawo – poleciła.

Zrobił to bez zwłoki i pomachał dłubiącemu coś przy klombach starszemu ogrodnikowi, którego najwyraźniej przestraszył dźwięk gwałtownie skręcającego samochodu. Tamten odpowiedział nieco niepewnym gestem, ale wtedy dojrzał Dzwoneczka i rozpromienił się w jednej chwili.

Odłożył sekator i niezdarnym truchtem podbiegł do pojazdu, od razu od prawej strony. Luby otworzył okno po stronie pasażera.

– Chrystusie Nazarejski, toż to cud! – zawołał ogrodnik, przystając o dwa kroki od niej i zaplatając ręce. – Modliliśmy się z moją Grażynką o pani zdrowie, pani Matyldo, ale…

Dzwoneczek zmarszczyła czoło. Znała tego mężczyznę, pamiętała tę miłą, pomarszczoną twarz, i to nawet w kontekście jakiegoś roboczego fartucha, ale w jej świecie – tfu, w prawdziwym świecie! – na pewno nie był ogrodnikiem. Był…

– To takie straszne, co się pani wydarzyło. Mówiłem tej mojej Grażynce, że ci dzisiejsi kierowcy to nic, tylko czubek własnego nosa. Żaden w lusterko nie zerknie, żaden nie sprawdzi, czy aby jakiś motocyklista…

– Ja pana znam! – przypomniała sobie Dzwoneczek. – Pan jest tym właścicielem sklepu w Miasteczku. Tym, w którym Kędzior spotkał Kubusia. Grażynka!

I znowu to zdumione spojrzenie, ten znikający na moment uśmiech zastąpiony niepewnością, zupełnie jak u chłopaka przy bramie. Starszy mężczyzna kompletnie nie wiedział, o czym Dzwoneczek mówi.

Co się dzieje?! – pomyślała panicznie. – Co się stało z całym tym pierdolonym światem? I gdzie, do chuja, są Chłopcy?! Gdzie jest Kubuś?!

Odwróciła się do Lubego, zupełnie lekceważąc stojącego za oknem staruszka.

– Jedź – warknęła.

– Prosto? – upewnił się. – Bo wiesz, tam jest tylko puste pole pod minigolfa.

Akurat, pomyślała. Tam jest ośrodek. Tam jest dom. Tam jest miejsce, które rozpozna. I nawet jeśli ktoś to wszystko przebudował, jest jedna rzecz, która udowodni jej, że nie oszalała. Ktokolwiek nie przygotowywał tego wariactwa, nie miał prawa o tym wiedzieć. Nie mógł…

– Jedź!

Luby wzruszył ramionami.

– Nie powinnaś się tak denerwować, Matyldo. To wszystko wróci, tylko nie tak naraz – stwierdził, wbijając bieg i ruszając powoli. Pomachał jeszcze ogrodnikowi. – Do widzenia, panie Izdebski. Podejdę do pana później, dobrze?

Ogrodnik pokiwał głową, ale nie ruszył się z miejsca, tylko przyglądał się im, dopóki nie zniknęli za zakrętem.

– Myślę, że jak już wrócimy do kliniki, zadzwonię do doktora Krasowskiego – stwierdził Luby. – Jest obecnie na wakacjach, ale do diabła, nie pozwolę, byś się tak męczyła.

Zerknęła na niego ukradkiem, jednocześnie ciągle rozglądając się wokoło z coraz większym zdezorientowaniem. Patrzyła na nie te klomby, nie te drzewa, obce pagórki i nieznaną jej, wiodącą ku nim ścieżkę.

– O kim ty mówisz? Kto to jest Krasowski?

– Twój terapeuta. Pracujesz z nim od czasu… No, od lat. Zadzwonię do niego, zaraz jak tylko…

– Zatrzymaj się!

Luby posłusznie zatrzymał samochód. Właśnie wyjechali zza linii drzew i ich oczom ukazała się częściowo rozkopana łąka, porośnięta nieco wyschniętą trawą i gdzieniegdzie oznaczona kwadratami ze słupków i żółtej taśmy rozciągniętej między nimi.

Dzwoneczek wydała z siebie jęk zawodu, brzmiący prawie jak stłumiony skowyt. Złapała za klamkę.

– Hej, co robisz? – zawołał Luby.

Ona jednak nie słuchała, jej umysł zapomniał o słabości ciała. Rwała się na zewnątrz, by zdemaskować to obrzydliwe oszustwo.

Bo tu stał ośrodek, tu stała baza jej klubu, dom jej i Chłopców. To tu, nie było najmniejszych wątpliwości. To tu!

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, więc zamiast wyskoczyć z pojazdu, wypadła z niego, częściowo tylko asekurując twarz osłabionymi rękami. Zanim jednak jej towarzysz zdołał zareagować, wysiąść ze swojej strony i obiec samochód, wyczołgała się z pojazdu. Dysząc ciężko i wspierając o drzwi, wstała.

Luby doskoczył do niej, objął, ale odepchnęła go i wziąwszy kilka głębokich wdechów, ruszyła na drżących nogach przed siebie. Z każdym stąpnięciem błyskawice pędziły od stóp po kość ogonową niczym znaki ostrzegawcze na elektronicznych tablicach. Nic sobie z nich jednak nie robiła, tylko szła, wlokła się przed siebie, a w gardle wzbierał jej warkot jednocześnie tak bliski bezradnemu szlochowi i odległy od niego, jak to tylko możliwe.

To żart, to obrzydliwa, odrażająca kpina. To przebijający Skrót albo jakieś zakulisowe działania jej wrogów. Może to magia Nibylandii znalazła jakiś sposób, by wkraść się w jej życie i…? Ale nie, cholera… Nie, nie, cholera, kurwa, kurwa pierdolona mać, jebanakurwapierdolonamać! Tu nic, zupełnie nic nie było magiczne! Dobrze znała ten syf, była przecież pierdoloną wróżką!

– Jestem wróżką, jestem wróżką – powtarzała sobie bełkotliwie, sunąc krok za krokiem niczym zombie ze starych filmów.

To było jej zaklęcie, jej mantra. Przynajmniej zanim dotrze do…

Uniosła głowę i dostrzegła, że miejsce, do którego zmierza, stary rozłożysty dąb, niegdyś na tyłach ośrodka, teraz po prostu na skraju polany, wciąż tam jest, choć tak daleko, że równie dobrze mógłby być na końcu świata. W tym tempie nigdy tam nie dojdzie, niemożliwe, prędzej oszaleje!

Zatrzymała się, zachwiała i odwróciła powoli, by do reszty nie stracić równowagi. Luby szedł dwa kroki za nią, najwyraźniej gotów ją podtrzymać, gdyby upadała. Wyraz troski na jego twarzy, ten sam wyraz, który dostrzegła jeszcze w szpitalu, napełnił ją obrzydzeniem, ale mimo to rozłożyła ręce i poprosiła.

– Zanieś mnie. Zanieś mnie tam, pod to drzewo.

Uniósł głowę i nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia. Zaniepokoiło ją to, ale nie na tyle, by zapytać.

Nieważne, co uroiło mu się w głowie, co go tak ucieszyło. Teraz nic nie było ważne. Tylko dostać się tam, pod to drzewo, w miejsce, gdzie głęboko między korzeniami kryły się… krył się dowód.

Luby uniósł ją bez wysiłku, po czym ruszył szybkim krokiem przez łąkę. Nie mówił nic, kontrolował coraz głośniejszy oddech, ale – była mu za to w jakiś sposób wdzięczna – nie zwalniał. Wręcz przeciwnie, zdawał się przyspieszać, im bliżej drzewa byli.

Wreszcie znaleźli się pod dębem i Luby ostrożnie położył Dzwoneczka na ziemi. Podziękowała skinieniem i natychmiast odczołgała się w bok, w stronę wystających z gleby korzeni. Wbiła palce w porośniętą trawą ziemię i zaczęła energicznie wyrywać zielonożółtawe kępy.

Luby przyglądał się jej w milczeniu. Nie proponował pomocy, bo wiedział, że i tak jej nie przyjmie. Splótł więc ręce na piersi i czekał.

Dzwoneczek tymczasem kopała coraz głębiej, coraz energiczniej. Zbladła jeszcze bardziej, jej twarz rozbłysła potem, który skapywał wielkimi kroplami z podbródka. Ruda grzywka przykleiła się do czoła; musiała ją odgarnąć ręką, przez co wyglądała jak umorusane dziecko albo ofiara psychopaty z taniego horroru.

Dyszała coraz głośniej, coraz bardziej wściekle, jej dłonie ułożone na kształt łopat koparki, a może szponów, wbijały się w ziemię i wyrzucały na boki kolejne jej garści z coraz większą zaciekłością.

– Jestem wróżką, jestem wróżką – mamrotała.

Wreszcie, gdy wydawało się, że upłynęła cała wieczność, palce uderzyły o coś twardego. Natychmiast pochyliła się nad wykopanym dołkiem niczym spragniona nad odkrytym właśnie źródłem i jęła odgarniać ziemię wokół czarnego kamienia sprawiającego wrażenie, jakby był obitym kawałkiem porcelany. Odkopała jego krawędzie, podważyła go i z trudem wyjęła z dołka. Jej oczom ukazała się mała drewniana skrzynka.

Złapała za nią, wyrwała z ziemi i przetoczyła się na bok, śmiejąc opętańczo.

– Widzisz? – zawołała. – Miałam rację! Są, są. Nie zwariowałam.

Luby nie wydawał się specjalnie zaskoczony, ale udał zainteresowanie. Usiadł na ziemi i wyciągnął rękę do Dzwoneczka,

by pomóc jej się podnieść.

Skorzystała, a jakże. Wygrała, mogła sobie pozwolić na drobne gesty wyrozumiałości. Starał się, robił, co mógł, ale nie był w stanie jej oszukać. Nie był w stanie zachwiać jej pewnością siebie, jej umysłem. Ten świat, to, co jest teraz wokoło, to jedno wielkie oszustwo, ale przejrzała je, bo jest pierdoloną wróżką. A tu, w tej skrzyneczce ma swoje…

– Skrzydełka – powiedziała na głos.

Maleńkie, drobne, zwiewne jak najlepszej jakości jedwab i lśniące jak promienie słońca w porannej rosie. Odcięła je kiedyś, sama przed lustrem, a potem ukryła właśnie tutaj. Nie wiedział o tym nikt, nawet ona na długi czas zapomniała. Otworzyła skrzynkę i zajrzała do środka.

A wtedy jej żołądek szarpnął się niczym dzikie zwierzę, serce zamarło, a oczy zaszły mgłą, która niemal natychmiast zgęstniała, stając się warstwą zadymionego szkła. Wsunęła wciąż brudne od ziemi palce do wnętrza skrzynki i zupełnie bezwiednie podniosła plik kartek, umów, odręcznych rysunków. Zamrugała, by się im przyjrzeć – pomysły na atrakcje, kopie umów najmu i odręczne zapiski na marginesach: „Marzenia na start!”, „No to zaczyna się prawdziwe życie!”. Podpisy jej i Lubego. Zupełnie jak na umowie, którą podpisała przed wyjazdem do Hiszpanii. Zawyła i w tym dźwięku nie było nic, zupełnie nic ludzkiego. A potem wycie przeszło w krzyk, a właściwie ryk wściekłości. Trwał dłuższą chwilę, aż wreszcie zmienił się w serię suchych kaszlnięć, a potem w ciszę. Już tylko kołysała się do przodu i do tyłu, ściskając skrzynkę, tuląc ją do piersi.

Wreszcie, gdy wydawało się, że Dzwoneczek do reszty straciła zmysły, uniosła wzrok i spojrzała na Lubego.

– Nie wiem… – warknęła, ale głos jej się załamał, więc przerwała, odkaszlnęła i spróbowała jeszcze raz. – Nie wiem, jak to wszystko zrobiłeś, skurwysynu, ani po co. Nie wiem, jak się dowiedziałeś, ani nawet czy to ty za tym stoisz, czy kto inny, ale jak tylko odnajdę moich Chłopców…

Położyła skrzynkę na ziemi, wsparła się na niej i powoli wstała. Trzęsła się z wysiłku i wściekłości, ale mimo to zdołała się utrzymać

na nogach. Patrzyła teraz na mężczyznę z góry, zaciskając pięści.

– Ty i wszyscy, którzy za tym stoją, będziecie zdychać miesiącami. Każę was przypiąć do latarni wzdłuż głównej alei i rżnąć w dupy rozgrzanymi prętami. Każę…

Przerwała i zmrużyła oczy. Nieopodal, ledwie parę metrów dalej, siedział sobie czarny kot z czerwonym krawatem. Pan Proper! Pan pierdolony Proper!

Rzuciła się w jego stronę, ale to było już zbyt wiele dla jej udręczonego ciała, więc wyciągnęła się jak długa. W ostatniej chwili zdążyła jeszcze dostrzec, że to, co wzięła za krawat, było zwykłą, czerwoną obróżką. A potem straciła przytomność.

* * *

Gdy się ocknęła, znowu była w klinice, w tym samym pokoju, przebrana i zapewne wymyta. Przez moment zastanawiała się, czy cała ta podróż z Lubym w ogóle miała miejsce, ale opuszki palców wciąż pulsowały tępym bólem, nie pozostawiając wątpliwości. Rzeczywiście trafiła wczoraj do Lunaparku i choć znajdował się w tym samym miejscu co Druga Nibylandia, choć spotkała tam znajome twarze, nic nie było dokładnie takim, jak to zapamiętała. Nic się nie zgadzało. Nawet jej wróżkowe skrzydełka zmieniły się w stertę dokumentów i obrazków.

Nagle zorientowała się, że nie jest w pokoju sama. W kącie siedział na krześle młody mężczyzna, przystojny blondyn, choć z twarzy prawie chłopiec. Nogę założył na nogę, splecione dłonie zaczepił o kolano i siedział tak, uśmiechając się tajemniczo. Obok na podłodze leżał czarny kask, a na nim skórzana kurtka, jedna z tych prawdziwie motocyklowych, specjalistycznych i cholernie drogich – z wzmocnieniami, kevlarowymi wkładkami i ochroną na kręgosłup, wyglądającą, jakby projektował ją Giger. Choć ten strój rodem z magazynu dla snobów i poza, którą Dzwoneczek zawsze miała za nieco zniewieściałą, zupełnie do niego nie pasowały, nie było absolutnie żadnych wątpliwości, że oto siedział przed nią Milczek. Jej Milczek! Jej Chłopiec.

Zerwała się z łóżka, a on z właściwym sobie refleksem skoczył ku niej. Z innym jednakże niż ona zamiarem – zamiast wziąć ją w objęcia, złapał za ramiona i powstrzymał przed opuszczeniem łóżka. Nie stawiała oporu, była tak szczęśliwa.

– Milczek, kochanie… Tak się bałam, tak bardzo się bałam.

Złapał ją za podbródek, delikatnie uniósł jej głowę, by spojrzała mu w oczy, i uśmiechnął się, jak tylko on potrafił. A potem otworzył usta.

– Wiem, Matyldo – szepnął. – Wiem, że się bałaś. Troszkę ci się namieszało.

Odsunęła się od niego jak poparzona, plecami wbijając się w oparcie łóżka, a palce kurczowo zaciskając na prześcieradle. To było niemożliwe. To był jej Milczek, jej Chłopiec. On nie mógł być jednym z nich! To wszystko, to wszystko…

Warga zaczęła jej drżeć, do oczu napłynęły łzy. To niemożliwe, to kurwa niemożliwe, niemożliwe, nie…

– …możliwe – szepnęła.

Potem znowu zamknęła oczy. Nie wierzyła raczej, że to może być tylko sen we śnie, ale jeśli istniał choć cień szansy, że wciąż jest w śpiączce, że to tylko zwidy i majaki, to była gotowa zaryzykować.

Znowu dotknął jej twarzy, ale choć wzdrygnęła się w pierwszej chwili, nie odsunęła się i pozwoliła, by dotykał jej policzka. Cokolwiek mu zrobili, to nadal był jej Milczek, jej mały Chłopiec.

Zakwiliła cicho, a on powiedział, że już dobrze. Tylko, że ni cholery, wcale dobrze nie było! Nic, kurwa, a nic!

Jego dłoń, jej policzek. Jej łzy…

* * *

W tym samym czasie Luby siedział w dyżurce pielęgniarek i świetnie się bawił. Obserwował, jak Martyna Tarkowska męczy się, próbując zachować pozory sympatii i swobody w tej niewątpliwie krępującej dla niej sytuacji.

Dziewczyna wszak doskonale pamiętała emocje i odczucia, które wzbudził w niej wczoraj, nieskrępowane podniecenie, chuć zerwaną

ze smyczy, która doprowadziła ją do omdlenia. Pamiętała, że był tam, przed ambulatorium, gdy się obudziła wciąż jeszcze wilgotna i drżąca z podniecenia i wstydu. Martwił się o nią prawie jak o swoją cudownie przebudzoną księżniczkę. To było rozczulające, ale i – zwłaszcza w tej chwili – krępujące jak szlag. Zaczynała naprawdę żałować, że tak naciskała na przełożoną, by nie zmuszała jej dzisiaj do tego dnia wolnego.

– Myśli pan, że pani Matylda będzie pamiętała doktora Krasowskiego? – zapytała teraz, chcąc załatać kolejną niezręczną przerwę w konwersacji.

Zaparzyła właśnie dwie herbaty i postawiła je na stole, jedną przed nim, drugą tuż obok. Usiadła i założyła nogę na nogę.

Luby siorbnął łyk gorącego napoju, uśmiechnął się i skinął głową.

– Och, jestem przekonany, że go pamięta, był jej terapeutą przez ostatnie sześć lat – powiedział. – Pytanie tylko, jak go teraz widzi. Kim obecnie jest dla niej w jej głowie.

– Nie rozumiem.

– Rzecz w tym – wyjaśnił – że ona pamięta wszystko, tyle że jakby – zamachał rękami – na opak, inaczej. Jej urojenia, wyobrażenia i takie tam wymieszały się ze wspomnieniami i dało to zupełnie inny obraz, niż byśmy chcieli.

Westchnął, upił kolejny łyk.

– Wczoraj na przykład twierdziła, że jest wróżką.

Martyna uśmiechnęła się smutno. Czy nie o tym marzy w pewnym momencie każda dziewczynka? By być wróżką albo księżniczką? A pacjentka z 1408 księżniczką już przecież była. Dlaczego nie miałaby zgarnąć całego pakietu?

Ktoś zapukał cicho we framugę i oboje odwrócili się. W progu stał Krasowski z mocno strapioną miną.

– Będzie ciężko – powiedział. – Tygodnie, jeśli nie miesiące pracy.

Luby rozłożył ręce.

– Cóż, jeśli będzie trzeba, niech to trwa nawet i lata – stwierdził. – Najważniejsze, żeby do nas wróciła.

Krasowski pokiwał głową, po czym wziął głęboki wdech i uśmiechnął się nagle łobuzersko do Martyny. Było coś w tym

grymasie, coś chłopięcego w jego oczach, co sprawiło, że pielęgniarka poczuła się niemal tak jak wczoraj w ambulatorium. Z miejsca się spłoniła. Żeby to ukryć, zapytała:

– Herbaty?

– Z przyjemnością – odparł Krasowski. – Pachnie jak rozkosz nad strumieniem w letni dzień.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. To zdanie było tak tandetne, że chyba wolałaby, żeby nic nie mówił.

* * *

Nadeszły trudne zmagania i wyjątkowo ciężkie sesje pełne krzyków, gróźb, płaczu, a nawet prób rękoczynów. Zwłaszcza te ostatnie były prawdziwie groźne dla Krasowskiego, bo z wyjątkiem jedzenia, spania, tych sesji i ewentualnie badań Dzwoneczek poświęcała swój czas wyłącznie na rehabilitację. Z niebywałą wręcz zawziętością ćwiczyła, z wielkim samozaparciem pokonywała kolejne blokady stawiane przez jej zdradziecki organizm. Postępy widać było każdego dnia i po upływie miesiąca wróciła jej większość dawnej sprawności. Rehabilitanci nie mogli się nadziwić i nazywali to kolejnym cudem.

Jednocześnie, mimo toczonych rozmów, mimo dowodów wyłożonych jej czarno na białym, mimo kilkukrotnych wizyt – już legalnych i w towarzystwie Krasowskiego, nie Lubego – w Lunaparku i Miasteczku, gdzie wszystko było inne, niż to zapamiętała, a jednocześnie w jakiś sposób znajome, wciąż obstawała przy swoim i dopytywała o swoich Chłopców. Czasami wmawiała też terapeucie, że jest jednym z nich i opowiadała mu niestworzone historie, w których dawała upust swoim seksualnym fantazjom. Opisywała się w nich jako bierna obserwatorka, figura matczyna, ale to było tylko maskowanie i Krasowski wiedział o tym dobrze. Któregoś dnia przyjechał więc do niej, wbrew wszelkim protokołom i zasadom, nie sam, a z żoną. Na jej widok Matylda Blaszka parsknęła śmiechem i nazwała jego małżonkę Rózią.

– W końcu ci się udało, co? – zapytała zdezorientowaną Małgorzatę Krasowską, a potem już nie powiedziała do niej ani słowa.

Trwało to wszystko około dwóch miesięcy, a gdy wreszcie nastąpił przełom, nie było przy Dzwoneczku ani doktora Krasowskiego, ani Grzeorza Lubego. Była tylko Martyna Tarkowska, która po raz pierwszy odważyła się otwarcie poprosić pacjentkę o zapozowanie na klinicznym tarasie. Zrobiły kilka zdjęć z Dzwoneczkiem siedzącą na leżaku i owiniętą kocem, a gdy pielęgniarka przyjrzała się fotografiom na wyświetlaczu swojej lustrzanki, zupełnie odruchowo i bezmyślnie stwierdziła, że pacjentka wygląda jak cholerna wróżka z bajki.

Dzwoneczek zaciągnęła się wtedy palonym właśnie papierosem i wypuściwszy z płuc kłąb dymu, powiedziała cicho, acz stanowczo:

– Nie wierzę we wróżki.

W tym momencie na granicy słyszalności rozległ się dźwięk jakby odkorkowywanej butelki. A potem zawiał wiatr.

* * *

W jednej chwili go nie było, a w następnej już był. Siedział pod drzewem, tuż za rowem oddzielającym dwupasmową drogę od gęstego lasu. Jedną nogę miał wyprostowaną, drugą podciągniętą pod brodę. Opierał głowę na dłoniach zaplecionych na kolanie i patrzył przed siebie. Zamrugał parę razy, a potem roześmiał się nagle czystym, dziecięcym śmiechem.

Wyprostował drugą nogę, rękami przeczesał niebywale skołtunione i pozlepiane strąki długich włosów barwy brudnego piasku, a następnie przeciągnął się i powoli wstał. Zza paska podtrzymującego czarne płócienne spodnie wyjął spłowiałą, niegdyś czerwoną chustkę i zawiązał ją wokół nadgarstka. Poprawił wiszącą na nim luźno szarą koszulę i przejechał dłonią po szczęce porośniętej gęstym, jasnym zarostem. Następnie pochylił się, zasłonił lewą dziurkę krzywo zrośniętego nosa i smarknął na ziemię.

Z oddali dobiegł go jednostajny dźwięk, a zaraz potem tuż przed nim przejechał samochód z jakąś wyjątkowo smutną rodziną. Samochód wyglądał zupełnie inaczej, niż je zapamiętał. Dużo bardziej jak z tych dziwacznych, futurystycznych książek, które przyniósł sobie z jednej z wypraw… no tutaj.

Mężczyzna pomachał dziecku w foteliku na tylnym siedzeniu, ale nie odpowiedziało, tylko odwróciło głowę. Nie wiedzieć czemu, jeszcze bardziej go to rozbawiło.

– Zapowiada się prawdziwa przygoda! – zawołał.

A potem wziął się pod boki i mimo krótkiej, kilkudniowej brody oraz długich dredów mimo niezliczonych blizn na umięśnionym ciele młodego mężczyzny, przez chwilę wyglądał zupełnie jak za dawnych czasów.

DWA

Kubuś siedział pod klasą z rękami splecionymi i złożonymi na podołku. Wyprostowany, z obiema łopatkami przyciśniętymi do ściany, wpatrywał się w stare tableau klas z dawnych lat. W zdjęcia czarne i koloru sepii pełne srogich twarzy nauczycieli i uczniów z fryzurami tak debilnymi, że aż strach było myśleć, że dziś ci ludzie rządzą krajem i mają własne dzieci. Chłopczyk był szczęśliwy, że jego rodziców nie ma na tych zdjęciach, ba, że nigdy nie widział ich fotografii z tych zapewne „starych dobrych czasów". Pewnie nadal kochałby swoich staruszków, ale miłość i szacunek jednak nie zawsze idą w parze…

Została ich tylko dwójka na korytarzu, on i Krysia z równoległej klasy, trochę zdziecinniała, ale tata i tak powtarzał Kubusiowi, że powinien być dla niej miły. „Patrzę czasem na jej matkę, młody, i powiem ci… gdybym miał okazję być dla niej grzeczny za szczeniaka, rękę bym sobie dał ujeb… obciąć znaczy".

Tak, myślał chłopczyk, cały tata. Gadający trzy po trzy, chyba wciąż z nadzieją, że chłopiec w wieku Kubusia nie wszystko jednak rozumie. A może traktujący syna jako swego rodzaju powiernika? O tacie naprawdę trudno było cokolwiek powiedzieć, może oprócz tego, że w obronie Kubusia byłby w stanie zrobić wielu ludziom wiele krzywdy. Powiedział to kiedyś, gdy wypił trochę za dużo. Mama wyrzuciła go z sypialni, więc przyszedł spać do Kubusiowego pokoju na podłogę.

To było jeszcze przed dywanem w auta, gdy podłoga była wyłożona jedynie drewnianymi panelami, twarda i chłodna, ale to nie przeszkadzało Kubusiowi odczekać tylko chwili, aż tata zacznie chrapać, by położyć się koło niego, wsunąć pod wielkie ramię i przytulić do potężnej piersi. Chrapanie brzmiało wtedy trochę jak

mruczenie wielkiego kota He-Mana, jakiego chłopczyk zawsze chciał mieć. Czuł się wtedy bezpiecznie jak nigdy.

Tak, tata nie był może najmądrzejszym człowiekiem na Ziemi, ale na pewno najlepszym, i gdy coś radził, to szczerze. Dlatego teraz, zorientowawszy się, że Krysia szuka jego spojrzenia, Kubuś oderwał wzrok od pamiątkowych tablic i uśmiechnął się najładniej, jak potrafił. Odpowiedziała błyskiem aparatu ortodontycznego.

– Czemu jeszcze tu siedzisz? – zapytała. – Wasze zebranie rodziców się chyba skończyło.

– Mój tata musiał chwilę zostać – odparł Kubuś.

Dziewczynka otworzyła szerzej oczy, a buzia uformowała jej się w „o”. Zasłoniła ją szybciutko ręką, ale było za późno, bo zauważył i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tak – dopowiedział. – Nawet rodzicom kujonów się czasem zdarza.

Miło było patrzeć, jak jej twarz zmienia kolor na lekko różowy. Tata miał rację, gdy powiedział kiedyś, że to jeden z piękniejszych widoków świata – kobieta, która potrafi się zawstydzić. Podobno gdzieś to kiedyś przeczytał, Kubuś obstawiał jednak prędzej, że usłyszał w telewizji. Ale słuszności tym słowom nie dało się odmówić – mała blond Krysia z aparatem na bielutkich zębach wyglądała teraz jeszcze bardziej uroczo niż zwykle.

– Nie chciałam powiedzieć nic złego – wyjaśniła.

– Wiem.

– Ale i tak powiedziałam? Czasem tak mam, że nie chcę, a jakoś tak samo… no wiesz, wychodzi.

Kubuś poprawił okulary, co, jak uważał, dodawało jego słowom powagi.

– Nie czuję się obrażony ani nic – stwierdził. – To nawet fajne czasem być łobuzem.

Roześmiali się oboje szczerze, pogodnie i wesoło. Tak, jak śmieją się dzieci. Zrobiło się fajnie i ośmielona Krysia przesiadła się ze swojego miejsca na ławkę obok niego.

– Co czytasz? – zapytała, zauważywszy książkę leżącą obok chłopca na ławce.

Wzruszył ramionami. Tytuł był widoczny na okładce, ale przecież nie powie jej tego, to byłoby niegrzeczne.

– To *Wojna światów* Wellesa – odparł, a potem, mając świadomość, że tytuł nic dziewczynce nie powie, zrecenzował pokrótce. – Fajna. Trochę straszna dla dziewczyn.

Nastąpiła szybka wymiana spojrzeń, bo Krysia nie była pewna, czy została właśnie obrażona, czy nie. W oczach Kubusia nie było jednak drwiny. Rozluźniła się więc na tyle, by dopytać:

– O czym jest? I co to za pająk?

Wskazała rysunek na okładce, wielką marsjańską maszynę, srebrną kulę na metalowych odnóżach przypominających nieco wąż od prysznica. Kubuś ponownie wzruszył ramionami.

– O kosmitach – powiedział. – I to są kosmici.

Skrzywiła się.

– Kosmici powinni być mali i zieloni.

– Szarzy właściwie. A poza tym to trudno powiedzieć, bo…

Przerwał, ponieważ kilka metrów dalej rozległo się skrzypnięcie. Kubuś dostrzegł zwalistą sylwetkę ojca, gdy ten schylony wychodził przez wąskie i nieco za niskie drzwi klasy. Był naprawdę, naprawdę olbrzymi i dlatego w takich sytuacjach, sprawiał wrażenie skruszonego i pokornego. Zaraz za nim wyszedł na korytarz pan Kozielski, wychowawca Kubusia. Podał tacie rękę i powiedział:

– Naprawdę liczę, panie Kędzierski, że uda się to jakoś rozwiązać, bo poza tym drobiazgiem to naprawdę wspaniały dzieciak.

Kubuś uśmiechnął się na te słowa. Podniósł leżącą obok książkę i po chwili wahania podał ją Krysi. Jak być miłym, to na całego.

– Masz – powiedział. – Myślę, że nie jesteś jak zwykłe dziewczyny i może ci się spodobać.

Zawahała się. Niemal widział za fasadą jej oczu pracujące myślowe trybiki. A może raczej aniołka i diabełka jak w kreskówkach, kłócących się, co powinna teraz zrobić. „Weź książkę. Jesteś mądrzejsza niż inne dziewczyny!”, krzyczał jeden. „Ej, kosmiczne pająki na okładce!”, ostrzegał drugi. W końcu jednak wzięła *Wojnę światów*.

– A co z tobą? – zapytała jeszcze. – Nie będziesz wiedział, jak się skończyło, a ja czytam… wolno.

Znowu to śliczne zawstydzenie. Gdyby to zależało od Kubusia, mogłaby zawsze tak wyglądać. Starając się nie zabrzmieć pretensjonalnie, powiedział:

– Ja już to czytałem. Teraz złapałem coś na szybko, bo akurat wychodziliśmy.

– Aha. – Pokiwała głową z prawdziwym uznaniem, jakby czytanie tej samej książki więcej niż raz było zjawiskiem zarezerwowanym dla prawdziwej elity. – No to dzięki.

– Spoko.

Kubuś wstał, skłonił się lekko i poprawił okulary. Tata nadchodził, więc była najwyższa pora się zbierać.

– Mam nadzieję, że widzimy się jutro.

Pokiwała głową ochoczo.

– Spróbuję poczytać w nocy, jeśli nie jest zbyt straszna.

– Dla innych dziewczyn może tak – powtórzył Kubuś. – Ale ty nie jesteś głupim strachajłem. Trzymaj się.

Kątem oka dostrzegł, że tata, który był już prawie przy nim, usłyszał ten kawałek rozmowy, uśmiechnął się szeroko i sięgnął do krótko przystrzyżonej brody, jakby chciał pogłaskać z zadowoleniem jej dłuższą, bardziej zapuszczoną wersję.

– Idziemy, młody – powiedział.

– Jasne, tato.

Kubuś wyciągnął rękę, by podać ją ojcu. Inni chłopcy wstydzili się już takich gestów, ale dla niego niewiele było wspanialszych rzeczy niż podanie ręki temu olbrzymowi. Prawie jakby wędrował ramię w ramię z pożeraczem skał z *Niekończącej się opowieści* czy przyjaznym trollem z jakiejś skandynawskiej baśni.

* * *

– Dobra, młody – powiedział tata, gdy już siedzieli w samochodzie i kierowali się powoli w stronę domu. Zapadał wieczór i choć wciąż jeszcze było widno, latarnie uliczne już jaśniały swym

pomarańczowym blaskiem, nadając światu wygląd jak ze starego zdjęcia. – Wszystko spoko z tą twoją szkołą, ale musisz mi wyjaśnić, coś ty właściwie zakombinował z tym przekupywaniem chłopaków z najstarszej klasy, by cię bronili.

Kubuś wzruszył ramionami. To przecież było naprawdę proste i zastanawiał się, co takiego powiedział tacie pan Kozielski, jak bardzo namieszał, że ten nie zrozumiał tego od razu.

– Kilku takich starszych chłopaków wyzywało mnie i Karola na korytarzu, kradli nam muffiny i gumki z piórników…

Tata zdziwił się:

– Gumki?

– No gumki. Odgryzają kawałki i strzelają z nich z procy z cyrkla i recepturki.

– Aha.

– No i zrobili tak parę razy, więc musiałem coś wymyślić. I wymyśliłem.

Dojechali do skrzyżowania i zatrzymali się na światłach. Starszy Kędzierski skorzystał z okazji, by spojrzeć na syna. Pogłębione cienie nadawały jego twarzy groźny wygląd, ale Kubuś wiedział, że to złudzenie. Tata nie potrafił się gniewać… No, w każdym razie nie na niego.

– Mogłeś mi powiedzieć.

Kubuś pokręcił głową.

– Mogę być kujonem, ale nie chcę, by mówili, że jestem mięczakiem, tato. Umiem sobie radzić.

Kędzierski westchnął. Co prawda, to prawda. Zmieniły się światła, ruszyli.

– Skąd miałeś pieniądze dla tych starszych chłopaków? Mama ci dała?

– Nie płaciłem im pieniędzmi, tylko zadaniami z matematyki.

– Co?! Chcesz mi powiedzieć, że umiesz rozwiązać zadania z matematyki na poziomie ostatniej klasy?

Kubuś roześmiał się, mając szczerą nadzieję, że ojciec odbierze to jako „nie, nie umiem”. W rzeczywistości radził już sobie z niektórymi zadaniami z ostatniej gimnazjum, ale nie lubił, gdy tata czuł się głupio.

– Nie odrabiałem tych zadań sam, tato. Robił to za mnie kujon z ich klasy.

Kędzierski zerknął na syna podejrzliwie.

– Dlaczego?

– Pamiętasz, jak byłem u ciebie w starej pracy i poprosiłem, żebyś wydrukował mi tych kilka kolorowych zdjęć piłkarzy? Tych, co myślałeś, że się nimi interesuję, a ja powiedziałem, że to do szkoły?

– Aha… No i?

– No więc naprawdę były do szkoły. Znalazłem w internecie wzory podpisów tych piłkarzy, wziąłem mazak i…

– Oszukałeś kujona ze starszej klasy? To chcesz powiedzieć?

Kubuś westchnął. Tak blisko, a tak daleko…

– Sam się oszukał, tato. Pokazałem mu to zdjęcie Messiego chwilę po tym, jak rozmawialiśmy o wycieczce do Barcelony. Nie powiedziałem, że to autentyczny podpis ani nic. Po prostu zapytałem, czy zrobiłby coś dla mnie, a wtedy ja dam mu to. A on…

– Nie zapytał?

No nareszcie.

– Tak, tato. Nie zapytał.

Kędzierski roześmiał się i brzmiało to trochę, jak gdyby Arnold Schwarzenegger udawał Mikołaja z reklam Coca-Coli – głęboki, niski dźwięk, jednocześnie miły i chrapliwie niebezpieczny.

Skręcili w lewo koło kościoła i Kubuś zorientował się, że jadą po mamę do pracy. Skrzywił się, bo oznaczało to, że będzie się musiał przesiąść na tylne siedzenie. A przecież nie miał już książki.

– Zatrzymamy się koło sklepu, tato?

– Co potrzebujesz?

– Jakąś gazetę. Nie chcę się nudzić, jak będziemy wracać.

Kędzierski znowu westchnął, po czym wrzucił kierunkowskaz i zjechał na pobliski parking. Zatrzymał się między dużym srebrnym SUV-em a metalicznie czerwonym audi. Wyłączył silnik, zaciągnął ręczny, rozpiął pasy i odwrócił się do syna. Zważywszy na niewielką odległość między oparciem a kierownicą, jaką oferowało kierowcy to stare poczciwe renault, nie było to specjalnie łatwe. Znaczyło to, że ojciec ma do powiedzenia coś, czego waga jest większa niż jego wygoda.

– Jesteś mądrym chłopcem, Kuba – zaczął. – Więc powiedz mi, bo ja cię rozumiem i w ogóle. Ale co, do chuja w spoconej skarpecie… Nie powtarzaj!

– Nigdy nie powtarzam!

– W każdym razie jak, u diabła, mam to wszystko powiedzieć twojej matce?

Chłopczyk ściągnął okulary i wyjął z kieszeni irchową szmatkę. To znaczyło, że również traktuje temat poważnie i nie zamierza odpowiadać pochopnie.

– Myślę, że powinieneś powiedzieć jej to tak jak wtedy, gdy tłumaczyłeś, że wcale nie straciłeś pracy przez redukcję etatów, tylko dlatego, że ten dupek z pierwszego piętra…

– Dobra, dobra. – Kędzierski machnął ręką bardziej zrezygnowany niż zdenerwowany. – To szantaż, przebiegły szczeniaku?

– Nie, tato. – Kubuś również odpiął pas swojego fotelika, który w jego wieku wciąż był obowiązkowy, ale uwłaczał mu jak cholera, i pocałował ojca w brodaty policzek. – To przypomnienie, że czasem po prostu robisz, co trzeba.

– To z jakiegoś filmu? – zapytał Kędzierski.

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie, tato, to twoje słowa. Zaraz wracam…

Wysiadł i pognał przez parking do sklepu. W połowie drogi przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy, i zawrócił. Gdy otworzył drzwi, czekała już na niego dycha w wyciągniętej ku niemu olbrzymiej ręce.

– Czasami nie jesteś aż tak mądry, co? – roześmiał się olbrzym za kierownicą.

– Noo… – zgodził się chłopczyk. – Czasami jest moja kolej na bycie dzieckiem.

Roześmiali się obaj jak najlepsi kumple z najlepszego żartu.

* * *

Monika Kędzierska, gdyby chciała, wciąż mogłaby być piękną kobietą. Rzecz w tym, że chciała coraz mniej i coraz rzadziej. Wciąż nie wyglądała źle, zwłaszcza gdyby porównać ją do jej koleżanek, tych starszych, a nawet i młodszych, ale już styranych życiem doprawionym niechcianą ciążą, niechcianym mężem i pracą bez perspektyw. Monika wciąż miała zgrabne ciało, fałdy na brzuchu i bokach dawały się z łatwością zamaskować wyszczuplającą bielizną. A nitki rozstępów? Któż je widział prócz męża, na którym od dawna już ani myślała robić wrażenie?

Zamiast coś zaradzić na pogłębiające się cienie pod oczami, obnosiła się z nimi dumnie jak męczennica, wręcz podkreślając je źle dobranym makijażem i zbyt jasnym pudrem na reszcie twarzy. Gdy nieco wstawiony mąż powiedział jej, że wygląda przez to jak klaun, prawie nie odzywała się do niego przez miesiąc. Wtedy też przestali ze sobą sypiać.

Tak naprawdę nie była złą osobą i chyba nikt nie traktował jej w ten sposób. Była po prostu zmęczona, nieszczęśliwa i zrezygnowana za sprawą tak przypadku, jak i własnych wyborów. Marzenia rozmieniała na romantyczne wizje inspirowane harlequinami, które zalegały w komódce obok łóżka, na półce w toalecie i w stosiku obok mąki w kuchni. Najbardziej lubiła te fioletowe, ostre, ale gdy jej mąż sięgnął kiedyś po jedną z tych książek, przeczytał i zaproponował podobną zabawę, wyśmiała go, mówiąc, żeby się nie wygłupiał. Potem, nie wiedzieć czemu, leżała długo w ciemności, czując, jak łzy spływają jej po policzkach na poduszkę i rozrzucone na niej włosy.

Gdy podjechali po nią pod budynek szpitala, miejsce z przodu było już puste, a to znaczyło, że na pewno zatrzymali się gdzieś po drodze, bo Kubuś nie odpuszczał okazji, by jeździć koło swojego ojca. Tych dwóch rozumiało się na nieosiągalnym dla niej poziomie i były momenty, że wkurzało ją to tak bardzo, bolało tak dogłębnie, że pragnęła…

Nie. Odgoniła tę myśl ruchem ręki, jakby chciała odwachlować zepsute powietrze. Poprawiła torebkę na ramieniu i otworzyła drzwi samochodu. Usiadła ciężko na fotelu, zamknęła drzwi i westchnęła głośno. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale od dawna w ten

sposób zaczynała każdą rozmowę. Od westchnięcia mówiącego, jak bardzo jej ciężko.

– Cześć! – powiedział Marek Kędzierski odwracając się w jej stronę.

Nadstawił policzek, a ona pocałowała go, czy też raczej musnęła zarost wargami w teatralnym geście czułości serwowanym przy każdej okazji jednoosobowej widowni z tylnego siedzenia.

– Jak w pracy?

– A jak myślisz? – zapytała. – Nie pamiętam już ostatniego lekkiego dyżuru.

– No tak – odparł i ruszył, po czym włączył kierunkowskaz.

Monika zapięła pas, położyła torebkę na kolanach i obejrzała się przez ramię.

– A u ciebie jak, kochanie? Jak poszła wywiadówka?

Mały Kubuś wzruszył ramionami.

– Rozmawiałem z Krysią na korytarzu.

– Małą Makowską? To przemiła dziewczynka. Nie wiedziałem, że się lubicie.

– No, lubimy się – odparł Kubuś.

Posłał ojcu znużone spojrzenie w lusterko. Odpowiedziało mu zmarszczenie ojcowskich brwi. Mówiło: „Nie bądź niemiły dla matki”.

– Jest fajna – dodał chłopiec. – Dałem jej książkę.

Monika wychyliła się nieco bardziej, wyraźnie zaniepokojona.

– Jaką książkę jej dałeś?!

Nauczony doświadczeniem w rozmowach z matką, Kubuś już dawno temu wmówił sobie, że właściwie każda książka jest przygodowa, bo zawiera przygody bohaterów. W ten sposób zyskiwał wiarygodną – bo przecież w jakiś sposób prawdziwą – i, co ważniejsze, wygodną odpowiedź, niewymagającą uzupełnienia. Mama wszak za książkę przygodową uważała *W 80 dni dookoła świata* czy *Anię z Zielonego Wzgórza*. Te książki nie mogły nikomu zaszkodzić, w przeciwieństwie do, jak uważała, paskudnej fantastyki.

– Taką tam, przygodową, starą – powiedział teraz. – Bardzo jej się spodobała, bo ładnie się uśmiechała.

Zerknął w lusterko i dostrzegł, że tata mruga do niego. Czyli, tak jak przypuszczał, poszło dobrze. Odczekał więc jeszcze chwilę, na

wypadek gdyby mama chciała ciągnąć tę konwersację, ale najwyraźniej formalności stało się zadość, bo następne słowa Monika Kędzierska skierowała już do męża:

– Zapłaciłeś rachunek za kablówkę?

– Tak.

– Zadzwoniłeś do nich, by zapytać, skąd te sześć osiemdziesiąt…

– Byłem tam dzisiaj rano. Powiedzieli, że rozszerzyli ofertę i że to było w umowie.

– Gówno! – warknęła, co zabrzmiało nawet jak szczeknięcie. – Kubuś, nie powtarzaj po mamusi – dodała.

– Jasne – odparł, nawet nie podnosząc głowy znad nowego numeru „Fokusa”.

Przyświecał sobie telefonem, by zobaczyć cokolwiek na zamieszczonych tam zdjęciach.

Monika westchnęła.

– Powinniśmy zrezygnować z tego cholerstwa. Przecież nikt w domu tego nie ogląda.

W zasadzie oglądała tylko ona, czasem i Kubuś do śniadania przed szkołą, gdy był jeszcze wciąż zbyt zaspany, by czytać. Jej mąż postanowił jednak taktycznie przemilczeć tę kwestię.

– Dasz radę jutro zająć się Kubą przez chwilę dłużej wieczorem? Chciałbym się spotkać z Tomkiem, bo ma coś dla mnie.

Znowu westchnienie, tym razem głębsze i wyrażające coś więcej niż tylko znużenie.

– Znowu te wasze komiksy? – zapytała.

Ostatnie słowo wypchała dezaprobatą jak watą szklaną. Aż skrzyło niechęcią. Kędzierski wyczuł to oczywiście, więc tylko potrząsnął głową i mruknął:

– Nieważne, powiem mu, żeby wpadł do mnie do pracy i…

– Nie, to już wolę, żebyście się jutro spotkali – stwierdziła Monika. – W pracy to ty się lepiej skup na pracy właśnie, bo nie możemy sobie pozwolić teraz na… kolejne zmiany.

Kubuś wyłapał gorączkowe spojrzenie ojca w lusterku i domyślił się, że ten właśnie zamierza skłamać. Uśmiechnął się do niego

i skinął głową, że rozumie. „Ważne, że nie kłamiesz mnie”, mówiło to spojrzenie.

Kędzierski wciągnął powietrze, płuca wielkie jak miechy nadęły się, naprężając pas bezpieczeństwa. Wyglądało to przez moment, jakby miał zamiar ryknąć, i to z taką siłą, że wyleciałaby przednia szyba. On jednak zaraz sapnął głośno, jakby ktoś odkręcił zawór bezpieczeństwa i spuścił parę z kotła.

– Monika, zwolnili mnie z powodu redukcji etatów, a nie dlatego, że zajmowałem się innymi sprawami po kątach – powiedział spokojnie i tylko tembr jego głosu sprawiał, że wnętrze samochodu wibrowało niebezpiecznie. – A teraz pracuję na jebanej w dupę…

– Marek! Dziecko!

– Spokojnie, mamo – wtrącił się Kubuś, nienawidzący, gdy nazywano go bezosobowo „dzieckiem”. – Słyszałem już słowo dupa. Jebany też…

Marek Kędzierski parsknął, nic sobie nie robiąc z mroźnego, gniewnego spojrzenia żony i jej mamrotania na temat złego wpływu.

– Pracuję na stacji benzynowej – dokończył myśl. – I mamy tam chwile, by usiąść przy kawie i porozmawiać ze znajomymi, gdy nie ma klientów. Powiem Tomkowi, by wpadł właśnie w takim czasie, i po temacie.

Tym razem to on położył możliwie największy nacisk na ostatnie dwa słowa, dając do zrozumienia, że naprawdę nie ma ochoty ciągnąć tej konwersacji. I o dziwo… tym razem zadziałało. Monika Kędzierska skupiła się na widoku za oknem, na kolorowych witrynach sklepów i banków rozświetlających wąski chodnik i ciągnącą się obok niego szeroką, czerwoną ścieżkę rowerową.

– Chciałabym mieć w czasie dyżuru przerwy na rozmowy – mruknęła wreszcie, jakby do siebie, ale wcale nie.

Kubuś, któremu nagle zrobiło się trochę żal zmęczonej mamy, pochylił się do przodu i położył jej rękę na ramieniu. Niemal natychmiast nakryła ją swoją i ścisnęła lekko.

– Chyba ci jeszcze dzisiaj nie mówiłem, że cię kocham, nie? – zapytał, a ona zaśmiała się cicho. – To pewnie dlatego, że nie mogę brać telefonu do szkoły… ale wcale nie chcę!

Cichy śmiech przeszedł w głośniejszy, a ojciec i syn znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia w lusterku. Zdecydowanie nadszedł czas na ostateczny atak tego starcia i ten cios należał w całości do Marka Kędzierskiego.

Wiedząc o tym, gwałtownie i bez kierunkowskazu skręcił w prawo i przeskoczył samochodem nad progiem zwalniającym.

– Marek, uważaj! – zawołała jego żona, ale on już zawinął do portu, równo między ukośnymi liniami miejsca parkingowego. Odpiął pas i powiedział:

– Zaraz wracam.

A potem pognał do marketu, z którego wrócił po kilku minutach, niosąc reklamówkę pełną zakupów i mały bukiet kwiatów. Na twarzy Moniki pojawił się zmęczony, ale szczery uśmiech.

Gem, set, mecz. Albo raczej: „Bum! Nokaut w ostatniej rundzie!”.

Odprężony Kubuś wrócił do czytania „Fokusa”.

* * *

Na kolację była sałatka. Kompromisowa, bo zawierała zarówno kozi ser, za którym przepadała mama, jak i pokruszony, prażony bekon, bez którego całość byłaby zupełnie niezjadliwa dla Kubusia. Do tego zestawu doszło jeszcze białe wino dla mamy i sok jabłkowy dla chłopczyka. Tata musiał się ograniczyć do wody, bo za dwie godziny zaczynał nocną zmianę.

Zjedli we względnej ciszy, gdzieś w tle leciały tylko puszczone cichutko ballady Billy’ego Joela; smutne, gdyby wsłuchać się w słowa, ale że nikt wystarczająco nie rozumiał angielskiego, po prostu ładne. Podczas posiłku zamienili ze sobą kilka słów, kilka neutralnych tematów prześliznęło się między kęsami chyba tylko z obawy przed niezręczną ciszą, która zburzyłaby cichy rozejm i wrażenie rodzinnego szczęścia. Było więc i o wywiadówce, i o pogodzie, troszkę na temat weekendowych planów, które coraz mocniej przybierały kształt leśnej chatki – spadku po zmarłych tragicznie rodzicach Moniki Kędzierskiej. Ten miesiąc był ostatnim, gdy mogli z niej korzystać do woli; papiery już szykowano, za

miesiąc chatka miała zmienić właściciela. Za uzyskane pieniądze Kędzierscy początkowo planowali kupić nowy samochód, ale obecnie, jako że czasy niepewne, zdecydowali się na jakiś bezpieczny fundusz. Póki sfatygowane renault jeszcze żyje, nie ma co rozglądać się za młodszymi…

Po kolacji obejrzeli wspólnie powtórkę wiadomości, a tata wymasował mamie kark. Było w tym coś niezwykłego, gdy te ogromne łapy opadły na jej drobne i kruche barki, a potem zacisnęły się, nie wywołując jednak bólu, lecz pełne ulgi westchnienie. Za każdym razem, gdy działo się coś podobnego, Kubuś siadał na samej krawędzi kanapy, gotów się zmyć w minutę osiem, gdyby cały ten masaż przeszedł w całowanie. Właściwie powinien, sądząc po wszystkich filmach, które chłopczyk oglądał czy to przez szparę w drzwiach w lustrzanym odbiciu telewizora, czy na komputerze ojca, gdy tego nie było. Według filmu takie całowanie po masażu świadczyło o prawdziwej miłości.

Ale oczywiście życie w niczym nie przypominało filmu, więc i w tym przypadku wiadomości przeszły w sport, ten w pogodę, aż wreszcie tata uniósł ręce, a mama mu podziękowała. Koniec pieśni.

Kubuś zapytał, czy jak się wymyje, będzie mógł jeszcze chwilę pograć na komputerze. Tata się zgodził, a mama znowu westchnęła.

– Wzrok ci się popsuje od tych wszystkich gier – stwierdziła.

Może miała rację, ale Kubusia zupełnie to nie obchodziło, bo udało mu się zdobyć nowego *Hitmana*, a to była jego ulubiona seria, nawet gdy musiał grać na średnich detalach, przy których i tak laptop taty czasem się krztusił.

– Za chwilę przyniosę ci kompa do pokoju – stwierdził tata, a potem poszedł do kuchni powkładać naczynia do zmywarki.

Kubuś ucałował mamę w policzek, życzył jej dobrej nocy i poszedł do łazienki.

Dwadzieścia minut później siedział już przy biurku ubrany w piżamę ozdobioną wizerunkami gwiezdnowojennych szturmowców, szlafrok z Garfieldem trzymającym parujący kubek kawy i nienawidzącym poniedziałków oraz obrzydliwie zwyczajne – za to ciepłe – kapcie. Tata pojawił się kilka minut później, niosąc

komputer, zasilacz i szarą teczkę. Wszystkie trzy rzeczy położył na biurku, ale to w teczkę postukał swym wielgachnym palcem.

– Jak matka znajdzie to u ciebie, młody, obaj mamy przesrane jak toi-toi na pielgrzymce – powiedział. – Ryzykujemy?

– Czy to…

Tata skinął głową.

– Tak, to pierwsza część naszego komiksu – potwierdził. – Dzisiaj wujek Tomek przyniesie mi do pracy część drugą, właśnie do niego dzwoniłem. Trochę mu to nie na rękę, ale…

– Wiem, tato – przerwał mu Kubuś. – Słyszałem tę rozmowę w samochodzie. I naprawdę muszę mówić do niego wujek? Powiedział, że mogę po imieniu.

– A mama powiedziała, że masz mówić pan. Kompromis, szczylu. Pamiętasz?

Kubuś pamiętał, dlatego teraz tylko zajrzał do teczki i rzucił okiem na makabryczną okładkę. Mały, demoniczny chłopczyk, osobliwie podobny do niego, wznosił ręce, jakby czarował, a wszędzie wokoło latały części motocykli i krwawe ochłapy niegdyś siedzących na nich motocyklistów. Na pierwszym planie widać było wjeżdżającego w kadr harleyowca, który na plecach miał godło przedstawiające twarz Jezusa z Całunu Turyńskiego i nazwę klubu – True Believers. Jego twarz zwrócona profilem, z okiem wpatrującym się w czytelnika, wyrażała skrajne przerażenie.

Nad obrazkiem znajdował się napis – małymi literami, ale znaną czcionką umieszczono nadtytuł *MaKabryczki przedstawiają nową miniserię*:, a pod nim ociekający krwią i smarem tytuł właściwy: *WYZNAWCY M.C*. Było tam imię i nazwisko taty jako autora tekstu oraz pseudonim wujka Tomka (Artisto) jako autora grafik. Kubuś wiedział, że wujek używa pseudonimu, bo trochę boi się reakcji szefa i swojej żony. To dlatego, że w komiksie jest krew, flaki i dużo seksu. I że trochę śmieją się z Jezusa.

– Dzięki, tato – powiedział Kubuś. – Ale chyba nie będę tego czytał teraz. Może kiedy wrócisz, co?

Olbrzym przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął potężne ręce w stronę syna. Ten wtulił się w ojcowską pierś.

– Możesz czytać, kiedy tylko chcesz, młody – stwierdził Kędzierski. – Ale czy jestem tu, czy mnie nie ma, zawsze będę dość blisko, by temu czemuś, co cię straszy, spuścić wpierd…

– Łomot – podpowiedział chłopczyk i olbrzym zaśmiał się serdecznie.

– Jak to jest, że jesteś mądrzejszy ode mnie? – zapytał, ale zaraz odsunął się i potrząsnął głową. – Nie, nie odpowiadaj. Po prostu bądź, to jakoś sobie damy radę.

– Pewnie, tato.

Kędzierski jeszcze raz uścisnął syna, po czym wstał i poprawił plastikowy znaczek z imieniem przyczepiony do świeżo wypranej służbowej koszuli. Następnie zasalutował chłopcu, życzył mu dobrej nocy i zniknął za drzwiami.

Kubuś raz-dwa podłączył ojcowski komputer, włączył go nawet, ale trzymana na kolanach teczka z komiksem kusiła go straszliwie. I co z tego, że będzie miał koszmary – a może wcale nie, może już z nich wyrósł? – skoro będzie mógł zobaczyć nową rzecz swojego taty? I to jeszcze przed drukiem, który już mu potwierdzono…

Na wszelki wypadek odpalił więc grę na ostatnim sejwie, wcisnął pauzę, po czym otworzył teczkę i zabrał się do czytania.

* * *

Kędzierski kucnął w przedpokoju i wsunął stopy w rozchodzone adidasy, następnie zdjął brązową, skórzaną kurtkę z wieszaka i naciągnął ją na grzbiet.

– Na razie! – zawołał, łapiąc za klamkę. – Zamknij za mną.

Monika Kędzierska pojawiła się w drzwiach pokoju, wsparła o framugę i zaplotła ręce na piersi.

– Będziesz przed dziewiątą, prawda? – zapytała. – Obiecałam pomóc Marcie w…

– Będę koło ósmej i zawiozę Kubę do szkoły. Ma na dziewiątą.

– Aha, to super.

– Na razie.

Nacisnął klamkę i uchylił drzwi, po czym odwrócił się, by powiedzieć jej coś jeszcze, ale Monika już zniknęła w pokoju. Wyszedł więc na korytarz, z kieszeni wyłowił pęk kluczy i wybrawszy właściwy, zamknął drzwi.

* * *

Już z samochodu wysłał SMS do Justyny z pytaniem, czy chce, żeby ją podrzucił. Odpisała, że dziękuje, ale nie ma takiej potrzeby i spotkają się na miejscu. To wcale mu się nie spodobało, bo miał na nią dzisiaj ochotę, a na zmianie miał być jeszcze Krzysio, więc szybki numerek na przerwie i tak by nie przeszedł. Zresztą Marek nie lubił szybkich numerków, a już na pewno nie z Tinką, która dopiero przy drugim razie pokazywała prawdziwe czary.

Mimo tego i tak cieszył się, że to właśnie z nią ma zmianę, bo mimo sporej różnicy wieku – on zdążył już zapomnieć smak trzydziestkowego tortu, ona niedawno świętowała ostatnią nastkę – pasowali do siebie jak mało kto.

Dziewczyna bez rodziny i facet bez przeszłości. Oboje przeżyli straszny wypadek związany z ogniem. Ona w pożarze przydrożnego baru straciła przybranego wuja, rosyjskiego właściciela lokalu, on w wyniku swojego wypadku stracił pamięć, przeleżał kilka miesięcy w szpitalu, a jego plecy do dziś wyglądały jak zalane różowym woskiem. To ta blizna właśnie ich połączyła. Moment, gdy Tinka po raz pierwszy zobaczyła, jak Marek przebiera się w pokoju socjalnym na stacji. Zapytała o nią, on odpowiedział, pokazała swoją. Resztę zmiany i kilka godzin po niej spędzili na rozmowach o wszystkim i niczym, aż zorientował się, że musi odebrać syna ze szkoły.

Dwa dni później po raz pierwszy pieprzyli się w tym samym pokoju socjalnym. Szybko, łapczywie i nerwowo, na stojąco, tuż przy drzwiach, tak by mogła je trzymać za klamkę, podczas gdy on starał się jak mógł nie zrobić tej biednej drobinie krzywdy.

Zostali regularnymi kochankami. Wiedzieli o swoich trwających związkach, ale ani razu o nich nie rozmawiali. Czasem chodzili razem do kina, dużo częściej na spacery w środku nocy wzdłuż

rzecznego nasypu. Ona mówiła, że chce na jesień zacząć studia na pedagogice. On miał nadzieję, że pojadą z synem w Góry Stołowe, bo chciał mu pokazać skalnego wielbłąda i Maczugę Herkulesa.

Schował telefon i odpalił silnik. Przez głowę przemknęła mu wątpliwość, czy aby to, że Tinka nie chce z nim dzisiaj jechać, czegoś nie znaczy, czegoś złego. Po namyśle uznał jednak, że jeśli nawet tak, to nie mogło to wynikać z czegoś, co zrobił on. A zatem będzie, co ma być.

Uruchomił kierunkowskaz i włączył się do ruchu.

* * *

– O, dobrze, że już jesteś – powiedział Krzysio, co znaczyło: „Spóźniłeś się!”.

Szczupły, śniadoskóry chłopak, zaczesany na lewo zastępca kierownika stacji miał prawdziwy talent do nadawania zdaniom znaczeń innych niż oczywiste. W pracy zwykle za każdą, nawet najbardziej neutralną wypowiedzią, stał wyrzut. Jak to pewnego razu stwierdziła Tinka, u tego faceta „dzień dobry” znaczyło: „Noc była za krótka i się nie wyspałem”. Ale że jego władza nad kimkolwiek na tej stacji była zerowa, a poza tą jedną wadą był właściwie całkiem sympatyczny, po prostu ignorowali te fałszywie brzmiące nuty i traktowali jego słowa, jakby rzeczywiście były heroldami myśli.

– Nie powiem, że podzielam twoją radość, Krzysiu – odparł Marek, rozpinając kurtkę i zdejmując ją w drodze na zaplecze. – Wolałbym spędzić tę noc z dzieciakiem. Coś się działo?

– Nie, w porządku – odparł Krzysiu. – Tyle, że wiesz, trochę się martwiłem, bo nikt nie chciał zostać i…

Marek zatrzymał się w progu i tylko ręką z kurtką sięgnął do wieszaka. Jednocześnie zarośniętą, wyszczerzoną twarz zwrócił w stronę kierownika.

– Trzeba było mówić, że się bałeś, Krzysiu. To nic złego. Zwłaszcza dla takiego przystojniaka jak ty, zwłaszcza w takiej okolicy.

Krzysio zmełł ciętą ripostę, bo raz, że jakoś tak nie potrafił się przełamać przed odcinaniem się ostro mężczyźnie starszemu od siebie o blisko osiem lat, a dwa, że w tym, co mówił Kędzierski, było całkiem sporo racji. Okolica rzeczywiście nie była za ciekawa, same obrzeża miasta, w najbliższym sąsiedztwie znajdowały się osiedle byłych pracowników upadłej obecnie fabryki szkła i stare ogródki działkowe, na których rosły już pewnie wyłącznie marihuanowe samosiejki i frustracja pomieszkujących tam bezdomnych. Tankować tu przyjeżdżali tylko przyjezdni, których od tej strony miasta nigdy nie było zbyt wielu, zwykle więc stację traktowano bardziej jako sklep nocny czy raczej całodobowy monopolowy. Co oczywiście nie stanowiło problemu dla brodatego olbrzyma, jakim był Marek, ale dla wszystkich jego kolegów i koleżanek z obsługi stacji jak najbardziej ów problem stanowić mogło.

Dlatego teraz Krzysio zamiast ciągnąć temat, płynnie go zmienił.

– Nie wiesz, o której będzie Tinka? Marta chciała, żeby do niej zadzwoniła, i mówiła, że to pilne.

– Jak pilne, to czemu nie zadzwoni na komórkę? – Olbrzym podszedł do kasy i się zalogował. – I nie wiem, co z Tinką. Pisałem do niej, czy nie chce podwózki, ale powiedziała, że sama dotrze. Pewnie z Marcinem, bo innej opcji nie widzę.

Marcin był chłopakiem Tinki i, mimo swej gapowatości, całkiem spoko facetem, więc Kędzierski czuł się niezręcznie w jego towarzystwie. Tym bardziej, że kiedyś pożyczył mu trzy stówy, gdy tamten był w prawdziwej potrzebie, i chłopak nigdy mu tego nie zapomniał, oferując swoją pomoc w każdej sytuacji. Jezu, jakie to było krępujące!

Nie pytając o zdanie, Kędzierski zmienił radiową stację na AntyRadio i kącik ust uniósł mu się z zadowolenia, gdy usłyszał *My Generation* The Who. Lubił ten kawałek, choć nie rozumiał ani słowa i przez to oraz przez podobieństwo linii melodycznej czasem plątał mu się z *Magic bus* tego samego zespołu. W takt muzyki nałożył na ruszt po dwie kiełbaski każdego rodzaju i rozerwał worek ze świeżymi bułkami. Potem zabrał się do przeglądania trójkątnych kanapek umieszczonych w lodówce i sprawdzania dat ważności.

– Zajrzysz do ekspresu? – zapytał krzątającego się bez celu Krzysia.

– Justyny kolej.

– Tak, ale ponieważ jej nie ma…

Olbrzym wyszczerzył się w znanym tu niemal wszystkim, wesołym w zasadzie grymasie, mówiącym: „Mam gdzieś, komu się wydaje, że jest tu szefem. Mogę mu w moment pokazać, że się myli”. To, co zupełnie nie mogło się sprawdzić w poprzedniej pracy – a wreszcie wprowadzone w życie doprowadziło do jej utraty – tu działało znakomicie.

Krzysio zrozumiał, więc tylko westchnął i poszedł czyścić ekspres, co w zasadzie nie było taką trudną robotą. Wystarczyło przecież wyciągnąć wkładkę z syfem, a potem podstawić kubek i wcisnąć przycisk autoczyszczenia.

Brzęknął elektroniczny dzwonek i do środka wszedł średniej postury mężczyzna z twarzą zmęczonego życiem borsuka. Kędzierski podszedł do kasy.

– Tak? W czym mogę pomóc?

– Z siódemki i elemy niebieskie.

– To będzie razem dziewięćdziesiąt siedem złotych, trzydzieści dziewięć groszy.

Facet położył stówę.

– Może te trzydzieści dziewięć groszy? – grzecznie zapytał Kędzierski.

– Nie mam.

W kasie też nie było jak wydać, więc olbrzym wygrzebał garść miedziaków z kieszeni spodni i starannie odliczył zebrane jedno- i dwugroszówki. Borsukowaty spojrzał na nie jak na gęstą, zieloną plwocinę na środku chodnika.

– I co ja mam, kurwa, z tym niby zrobić?

Nie mógł dostrzec, że stojący przy ekspresie do kawy Krzysio wstrzymał oddech i zamarł w pół ruchu. Nie zauważył też, że monstrualna pierś Kędzierskiego wyprężyła się pod luźną koszulą, a na potężnych ramionach skrytych w rękawach pojawiły się grube powrozy żył.

– Jeżeli pan sobie życzy, mam parę sugestii – powiedział olbrzym.

Sięgnął po małą, żółtą karteczkę, zerknął na monitor zewnętrznej kamery i szybko zapisał numer rejestracyjny samochodu Borsuka. Zrobił to tak, by tamten dokładnie widział, co robi, a potem podniósł głowę i uśmiechnął się prawie przymilnie.

– Mogę je na przykład wziąć z powrotem do ręki, tę zacisnąć w pięść, a potem zaaplikować panu w dupę tak głęboko, że poczuje pan smak monet na języku. A, widzę, że otwierasz gębę, więc tylko ci powiem, że jeśli chcesz powiedzieć, że złożysz na mnie skargę, to ci pierdolnę. Ot tak, powinienem sięgnąć.

Borsukowaty cofnął się o krok. Mogło nie wystarczyć, jeśli naprawdę chciał wyjść z zasięgu olbrzyma.

– Moja noga więcej już tutaj nie postanie! – powiedział, owijając się resztką godności jak postrzępionym, przeżutym przez psa szalem. – Nigdy!

Olbrzym wzruszył ramionami.

– W sumie dobrze, bo kto wie, po następnym razie mogłaby już nie postanąć nigdzie. A zatem *au revoir*, dupku!

Facet otworzył jeszcze usta, ale zaraz zamknął je z klapnięciem, odwrócił się i prawie biegiem ruszył ku drzwiom. W progu zderzył się z Justyną.

– Uuu, a temu co? – zapytała.

Kędzierski tylko wzruszył ramionami, za to Krzysio powiedział:

– Marudził na resztę, Marek zaserwował mu lekką trójeczkę.

Roześmiała się. Od kiedy olbrzym pracował z nimi, zdążyli już sobie ułożyć punktację jego zachowań wobec upierdliwych klientów. Jedynka oznaczała, że jest mu wszystko jedno i może być miły bez względu na to, jak bardzo świat tego nie chce. Taki stan zdarzał się wyjątkowo często, gdy chwilę wcześniej uprawiali z Justyną seks. Piątka kończyła się krwią, złamaniami i była zarezerwowana dla niebezpiecznych oszołomów i ćpunów. Na trójkę łapały się już groźby i obelgi, ale bez przemocy fizycznej.

– Prosił się – stwierdził Kędzierski. – Siema, Tinka. Marcin cię podwiózł?

Nie musiał pytać, widział jego hondę Civic na monitorze, właśnie wyjeżdżała z kadru. Dziewczyna pokiwała głową.

– Tak, i może wpadnie jeszcze później, ale musi skończyć coś na uczelnię.

– Jasne.

Kędzierski uśmiechnął się półgębkiem. Bo rzeczywiście wszystko było jasne. „Może wpadnie później” oznaczało, że dziś jest nietykalna. Rozumiał i nie miał z tym problemu. Gdy przechodziła za jego plecami, odwrócił się, by pociągnąć ją za włosy związane w koński ogon.

– Ej, uważaj sobie, koleś!

– Nie koleś, a kolosie – odparł.

Wtedy właśnie na parking wpadł ten przeklęty mercedes.

* * *

W pierwszej chwili wydawało się, że uderzy w dystrybutory i wysadzi wszystkich w powietrze, ale odbił się od okalającego je krawężnika, skręcił lekko i wciąż z dużą prędkością uderzył w ścianę stacji. Częściowo wyhamowały go wystawione na zewnątrz worki z ziemią ogrodniczą, ale i tak stary bordowy mercedes kombi wrył się ze zgrzytem i brzdękiem w budynek, gruchocząc stojący w środku regał z chipsami i chrupkami. Kolorowe opakowania poleciały w głąb sklepu, a niektóre, otworzywszy się pod wpływem uderzenia, zaserwowały do spółki z nawiewem ziemniaczany opad. Trójkątne nachos wirowały w powietrzu jak osobliwe płatki śniegu.

Kędzierski zareagował instynktownie. Obrócił się i złapał w ramiona Justynę, by ukryć ją za ścianą swych rozłożystych pleców. Napiął mięśnie przygotowany na falę bólu, może uderzenie, jakby zakładał, że mercedes przedrze się przez cały sklep i sięgnie aż do stojącej za ladą pary. W głowie pojawił mu się nawet obraz borsukowatego kolesia mszczącego się za zniewagę, mimo że wiedział przecież, iż tamten przyjechał tu corsą.

Krzysio zawodził skulony pod automatem z kawą

– Ojezuojezuojezu…

Kubek podstawiony, by zebrać brudną wodę, przewrócił się i teraz cały ten gorący syf kapał chłopakowi na łeb, ale Kędzierski nie podejrzewał, by dzieciak czuł cokolwiek. Adrenalina robiła swoje, pamiętał to jeszcze z dawnych sportowych czasów.

Coś poruszyło się w roztrzaskanym samochodzie. Drzwi uchyliły się lekko i ugrzęzły zablokowane kawałkiem regału.

Kędzierski puścił Justynę, szepnął jej coś uspokajająco i obszedł ladę. Sunął powoli, przekonany, że jeżeli nie uda mu się po drodze odzyskać spokoju, a kierowca, co niemal pewne, okaże się pijany albo naćpany… cóż, będą tu zaraz mieli morderstwo. Pobicie ze skutkiem śmiertelnym – tak się to chyba nazywało.

Obok huknęło nagle i olbrzym obrócił się błyskawicznie, w samą porę, by dostrzec upadający regał z puszkami. Kilka z nich otworzyło się w jakiś sposób i miotało teraz po podłodze, sycząc i pieniąc się niczym osobliwe, karłowate i napęczniałe węże, w dodatku zarażone wścieklizną.

Czy węże mogą na to chorować?, pomyślał.

– Obożeobożeoboże… – Krzysio najwyraźniej postanowił odwołać się do wyższej instancji.

Marek roztrącił nogą paczki czipsów, stanął przy samochodzie i złapał za klamkę uchylonych drzwi. Dopiero teraz naprawdę zobaczył kierowcę – wąsatego, łysiejącego faceta w koszuli z krótkim rękawem i w okularach wyglądających jak przeciwsłoneczne, ale o żółtych szkłach.

Na widok olbrzyma kierowca na moment przestał się szarpać, ale zaraz potem zwiększył wysiłki, kładąc obie ręce na klamce. Był przerażony, szczęka drżała mu tak, że nie był w stanie mówić, oczy miał wielkie jak spodki, a spod plastikowych oprawek sączyły się łzy. Nie, ten człowiek na pewno nie był pijany. Naćpany raczej też nie… Coś musiało się stać.

– Puść! – powiedział stanowczo Kędzierski.

Mimo całego swego przerażenia mężczyzna puścił drzwi. Zerknął ukradkiem za siebie, na tylne siedzenia, których Marek z miejsca, gdzie stał, nie mógł teraz dojrzeć, a które w zasadzie wciąż znajdowały się poza sklepem.

Olbrzym głębiej wsunął palce pod klamkę, drugą ręką złapał za krawędź drzwi, korzystając ze szczeliny uchylonego okna. Napiął się, szarpnął i… wyrwał drzwi z zawiasów. Cisnął je w bok na wywrócony regał z piwem i wyciągnął dłoń do kierowcy.

Ten ujął ją ostrożnie i spróbował wysiąść. Jak się okazało, wciąż miał zapięte pasy. Szarpnął się raz i drugi, zanim zorientował się, o co chodzi.

– Marek, w porządku? – zapytała Justyna.

Olbrzym obejrzał się, ale by ją teraz zobaczyć, musiałby się wyprostować i spojrzeć ponad kolejnym regałem. Uznał, że nie czas na to. Przyparł szarpiącego się kierowcę do oparcia, wsunął do połowy do środka pojazdu i wyrwał pas z trzymającego go zapięcia.

Dopiero wtedy dostrzegł pasażerów na tylnym siedzeniu. Brzydka kobieta w cienkiej, letniej sukience była nieprzytomna i sprawiała wrażenie, jakby ktoś spuścił z niej powietrze. Wtulała się w kilkumiesięczne, nawyżej roczne dziecko również pozbawione przytomności, śpiące albo – nie daj Chryste Panie! – martwe.

– Jezu! – stęknął Kędzierski.

Zmiażdżył między palcami mocowanie pasa i wysunął się z samochodu, wyciągając za sobą kierowcę. Posadził go obok na ziemi pomiędzy opakowaniami czipsów i kazał się nie ruszać. Następnie, ponieważ tylne drzwi pojazdu były zablokowane ścianą, stanął przed maską, zaparł się obiema nogami, a potem przy wtórze zgrzytów i trzasków wypchnął wrak samochodu na zewnątrz. Obiegł go i powtórzył sztuczkę z drzwiami, znowu odrzucając je za siebie, gdzieś w dal. Jak tylko mógł najostrożniej, wyciągnął kobietę i odwrócił się w stronę Justyny.

– Tinka, tam jest dziecko.

Pokiwała głową, bo już wiedziała, co robić. Przepuściła olbrzyma z kobietą na rękach, po czym sama pochyliła się i… wtedy ich zobaczyła przez tylną szybę.

Sunęli powoli, jak zombie, powłócząc nogami, niektórzy ociekający krwią, inni wyglądający całkiem świeżo, ale i tak kulejący bądź zataczający się jak pijani. Pojawili się znikąd i sunęli wzdłuż drogi, równolegle do stacji. Rzeka ludzi, pierdolona pielgrzymka żywych trupów! Wcisnęła sobie pięść do ust, by nie krzyknąć,

i natychmiast opuściła głowę. Spróbowała samej sobie wmówić, że to przecież tylko złudzenie. Halucynacja wywołana stresem. Przecież to niemożliwe…

Maleństwo na szczęście żyło. Co więcej, było to chyba najspokojniejsze dziecko świata, bo gdy tylko wyciągnęła po nie ręce i podniosła je lekko, uśmiechnęło się i zamrugało ciemnymi oczkami. Śmierdziało kwaśno, wymiocinami i pełną pieluchą. Już z nim przy piersi podniosła się nieco i ponownie zerknęła przez okno. Ulica znowu była pusta. Więc jednak miała rację – to było złudzenie.

Wysunęła się z samochodu. Ruszyła w stronę sklepu, ale w środku dostrzegła tylko jęczącego Krzysia. Minęła go szerokim łukiem, bo coś w jego oczach mówiło jej, że jeśli się doń zbliży, to ta rozhisteryzowana pipa uczepi się jej nogi i nie puści za żadne skarby. Jezu, to tylko pieprzony wypadek. Zdarza się i…

Przypomniała sobie o upiornej rzece sunących po cichu umarłych i uznała, że sama również nie jest bez winy, więc powinna się czym prędzej zamknąć. Nawet w myślach.

Marek wychylił się z zaplecza i rozejrzał.

– O, jesteś! – powiedział na jej widok całkiem głośno.

Brodą wskazał na trzymane przez nią dziecko. Uniósł brwi. – Żyje?

Skinęła głową i dostrzegła, że mężczyzna oddycha z wyraźną ulgą. Jeśli go kochała – wciąż nie była pewna, choć skłaniała się ku temu przeświadczeniu coraz częściej – to chyba właśnie za to. W tej wielkiej zarośniętej piersi kryło się ogromne serce.

– Dawaj je tutaj – powiedział, wyciągając z kieszeni telefon komórkowy. – Ojciec wciąż jest w szoku, ale matka się przebudziła i pewnie zaraz zacznie panikować.

Spróbował wybrać numer, ale zaraz zaklął paskudnie i wcisnął aparat do kieszeni.

– Zasięg? – zapytała.

– Chuj by ich, jebańców. W każdej jebanej reklamie nakurwiają szczęśliwymi zjebami oglądającymi w komórkach telekurwawizję, a gdy przyjdzie co do czego, to jeden wielki, kurwa, chuj!

Dziecko na jej rękach zakwiliło radośnie, a potem beknęło. Mimowolnie się uśmiechnęła na myśl, że wcześniej nie sprawdziła

płci, ale teraz już zdecydowanie nie musiała. Ruszyła do przodu, a gdy przechodziła koło Marka, na moment przytuliła się doń biodrem i głową.

– Spokojnie, olbrzymie. Zostawię małe i wyjdziemy na drogę, dobra? Jesteś tu jedynym facetem, nie możesz eksplodować.

– Jasne – musnął jej włosy dłonią wielką jak jej głowa. – Oddaj maleństwo mam… Ej, co do chuja!

Odwróciła się i mimowolnie pisnęła. Na podświetlonym placyku stacji, wokół zniszczonego samochodu gromadziła się garstka ludzi. Twarze mieli brudne od krwi, a może smoły, oczy ciemne jak u filmowych demonów. W niebieskawobiałym świetle lamp byli upiornie biali, a poruszali się bardziej jak małpy niż ludzie – na ugiętych nogach, nieco zgarbieni, badając wszystko przed sobą rękami. Teraz właśnie obwąchiwali samochód, włażąc na niego, wślizgując się do środka, wydając z siebie paskudne dźwięki.

– Matko – jęknęła.

Marek postąpił krok do przodu, jednocześnie chowając dziewczynę za siebie. Nawet gdyby chciała się sprzeciwić, w tym ruchu tyle było siły, że tylko przesunęła się po podłodze.

– Idź na zaplecze i zamknij się w środku, słyszysz? – wycedził.

Pokiwała głową i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie mógł tego zobaczyć.

– Idę – szepnęła.

Przesunęła się w stronę wejścia, stawiając but akurat w kałużę krwi, jaką wykapał tu najpewniej ojciec dziecka. Pośliznęła się, zarzuciło nią. Krzyknęła i poleciała na bok, próbując obrócić się tak, by chronić dziecko.

Gdy upadała, dostrzegła jeszcze, że mięśnie na rękach Marka zarysowały się wyraźniej, a dłonie zacisnęły.

Musiały ją usłyszeć, pomyślała. Te stwory w ludzkich kształtach. Umarli z rzeki umarłych. Musiały…

Poczuła ból, gdy jej ramię uderzyło o podłogę, i jeszcze większy, gdy grzmotnęła o nią bokiem głowy i przygryzła język. Już nie wiedziała, czy to jej tak zabrzęczało w głowie, czy coś właśnie wydobyło z siebie dźwięk jakby tysiąca pisków.

Marek ruszył do przodu.

* * *

Coś mówiło mu, że robił to wcześniej, choć przecież tak nie było. Coś w jego głowie wyraźnie dawało znać, że to dla niego nie pierwszyzna i że teraz powinien to, teraz tamto i że żaden szczur nie może uciec, bo…

Co? Chryste, jaki znowu szczur?!

Minął regał ze słodkimi przekąskami, a potem ten przewrócony. Starał się nie poruszać szybko, raczej sunąć tak, by tym bardziej wzbudzać strach swoim wyglądem, swymi zaciśniętymi, wielkimi jak bochen pięściami. To, co nieuniknione, nie musi się śpieszyć.

Było ich trzech wokół mercedesa i patrzyli na nań ciemnymi – paciorkowatymi? – oczyma. Mówili też coś, poruszali ustami, ale wydobywały się z nich tylko ciche popiskiwania, jakby nawdychali się helu. Niezgrabnie zaczęli wdrapywać się na samochód.

– Nie wiem, kim jesteście ani co ćpaliście, chłopcy – powiedział Kędzierski.

Zatrzymał się w wyłomie na linii sklepowej posadzki. Ręce zwiesił wzdłuż ciała, głowę pochylił nieco niczym szykujący się do szarży byk.

– Ale mamy tu mały problem, więc bądźcie łaskawi pospierdalać i przeżywać swoje schizy gdzie indziej, co?

Odpowiedzieli piskami, które teraz obniżyły ton i brzmiały bardziej małpio niż szczurzo, a wtedy, nagle, popękana przednia szyba samochodu wystrzeliła ku Kędzierskiemu. Zaraz z nią rzucił się ku niemu przyczajony w środku samochodu gość w dżinsach i koszulce Black Sabbath.

Kędzierski nie bił się od dawna, ale stare odruchy nie zanikają, więc błyskawicznie ustawił się bokiem i wystawił lewe ramię, przyjmując na nie impet uderzenia szyby i napastnika. Następnie ponownie skręcił tułów, nadając olbrzymiej prawej pięści jeszcze większy impet, i grzmotnął nadlatującego przeciwnika prosto w łeb. Ból, jaki poczuł w palcach, był dlań impulsem, by ruszyć do przodu.

Wskoczył na maskę. Tylne koła pojazdu uniosły się, jeden z napastników stracił równowagę i poleciał na bok. Na samochodzie

zostało dwóch. Pierwszemu zaaplikował cios, który kiedyś na podwórku nazywali młotem – dołem pięści w czubek głowy. Trafiony zwiotczał jak żagiel bez wiatru.

Drugi zebrał najpierw strzał z lewej ręki w brzuch, a gdy się zgiął, kopniaka z kolana w podbródek. Jego głowa z chrupnięciem odskoczyła do tyłu, zawisając jedynie na skórze i przylegając do pleców niczym kaptur. Z rozerwanej szyi trysnął strumień krwi, który jednak jakimś cudem zaraz ustał. Wtedy właśnie coś poruszyło się we wnętrzu martwego już napastnika. Coś, czego zdecydowanie nie powinno tam być!

To było, rzecz jasna, niemożliwe, ale Kędzierski wcale nie sprawiał wrażenia zdumionego czy zszokowanego, tak jak zupełnie nie zważał na to, że właśnie zabił człowieka. Coś, jakiś automat, zestaw zupełnie niezrozumiałych odruchów, mówił mu, co powinien robić, jak reagować. I teraz kazał, zamiast zadawania sobie głupich pytań bez odpowiedzi, skoczyć na to wijące się coś wyczołgujące się z wnętrza trupa. Skoczyć i zmiażdżyć pod stopami, zanim otrząśnie się i pogna w ciemność, by nieść zarazę.

Więc skoczył. Zgniótł tłustego szczura oblepionego czarnoczerwowną mazią i mało brakowało, a pośliznąłby się na kolejnym. Tego również zabił. Czuł pod stopą łamiący się kręgosłup zwierzęcia, czuł pękającą skórę…

Rozległ się nieludzki wrzask i oto czwarty z napastników, ten, który wcześniej spadł z samochodu, uwiesił się na szyi olbrzyma, próbując jednocześnie utrzymać się na nim, zablokować mu ręce i jeszcze ugryźć go w szyję.

Za dużo naraz. Kędzierski zrzucił go z siebie bez trudu, błyskawicznie się odwrócił i najpierw niskim kopnięciem sprowadził do parteru, a następnie z całej siły tąpnął na pierś. W martwym ciele natychmiast się zakotłowało, a drobne zęby i pazury ostre jak małe skalpele spróbowały wygryźć się na zewnątrz. Nie pozwolił na to. Jedną ręką podniósł faceta i zarzucił go sobie na ramię, drugą przyładował pięścią w zamek bagażnika, aż ten odskoczył. Olbrzym wrzucił ciało do środka, zatrzasnął. Pozostawało jeszcze dwóch żywych i trzeba natychmiast…

Jezu, o czym ty myślisz!, wrzasnął na siebie w myślach. Tym razem to był jego głos. Jego, nie automatu, który zawładnął jego ciałem, który najwyraźniej doskonale wiedział, co powinno się robić w sytuacji jak ta. Zabijać. Zabijać ludzi i nie pozwalać, by wypełzły z nich szczury!

Gość znokautowany jako pierwszy podnosił się powoli i widać było wyraźnie, że jest wściekły. Teraz, gdy się odwrócił, jego oczy naprawdę wyglądały jak małe paciorki, a wydawane przez niego dźwięki brzmiały niczym piski. Ustawił się jak do biegu, przykładając ręce do ziemi i unosząc biodra. Obnażył zęby i…

Właśnie wtedy zza regału wyskoczył Krzysio i z całej siły uderzył faceta gaśnicą. A potem jeszcze raz. I kolejny. Stwór osunął się na podłogę, zwiotczał, ale Krzysio nie przestawał krzyczeć i okładać go metalową puchą, przerabiając na miazgę. Dopiero gdy gaśnica przebiła się przez czaszkę i zaczęła zgrzytać o posadzkę, chłopak nieco się uspokoił. Ręce opuścił wzdłuż ciała i dyszał ciężko.

– Brawo!

Marek usłyszał swój głos i zaniepokoiło go, jak jest wesoły. Zajebiście, kurwa, rozbawiony. Krzyś powoli obrócił głowę i spojrzał na olbrzyma.

– Z niego… z nich… szczury, z niego…

Nie było sensu wdawać się teraz w dyskusję i Kędzierski wiedział o tym doskonale. To był szok i tylko Bogu należało dziękować, że to, co teraz kazało mu bełkotać i się ślinić, chwilę wcześniej zmusiło go do wzięcia w ręce gaśnicy.

Podszedł do Krzysia i objął go, unosząc lekko, a potem odstawił. Jego ofiarę – z rozłupaną czaszką, z której już powoli gramoliło się coś na zewnątrz – wrzucił do bagażnika samochodu. Gdy go na chwilę otworzył, jeden czy dwa z kłębiących się tam szczurów rzuciły się ku niemu, ale cisnął na nie trupa. Potem dorzucił jeszcze trzeciego, samemu nie wiedząc, jakim cudem mieści się ich w tym przeklętym bagażniku aż tylu. Zupełnie jakby z chwilą śmierci z miejsca stawali się workami pełnymi gryzoni.

Tak czy owak, czwarty, wciąż żywy, tylko nieprzytomny, musiał już powędrować na tylne siedzenie. Wiedziony odruchem Kędzierski przypiął go pasem.

Wtedy coś zabrzęczało w jego kieszeni.

Telefon najwyraźniej złapał zasięg. Olbrzym wydobył go i spojrzał na ekran. Dostrzegł, że to Kubuś. Nigdy nie odrzucał połączeń od syna, dlatego i teraz odebrał.

– Tak? – zapytał znowu zdziwiony swoim własnym, najwyraźniej rozbawionym głosem. – Co się stało, młody?

– Fuuuj, tato – wyszeptał chłopczyk. – Ten komiks to najobrzydliwsza rzecz na świecie.

– Masz całkowitą rację – skłamał olbrzym, patrząc na leżące pod jego stopami szczury. Nienawidził tego robić, ale czasem na tym właśnie polegało ojcostwo. – Zadzwonię potem, a ty się już kładź, dobrze? Jutro nie wstaniesz.

– Jasne, tato. Kocham cię.

– Ja ciebie też, młody.

Rozłączył się, podrapał po głowie i dopiero wtedy zadał sobie na głos pytanie:

– Co to, kurwa, było?

Chociaż nie, to przecież nie był jego głos. To przecież… odwrócił się i dostrzegł Tinkę.

– Czy z tych ludzi wylazły właśnie szczury?

Brzmiała piskliwie, na granicy histerii, więc przytulił ją do siebie i nie puszczał tak długo, aż przestała się trząść.

* * *

Policja zjawiła się dopiero piętnaście minut po telefonie, a że zadzwonili już po tym, jak uporali się z ciałami i szczurami w bagażniku, to od chwili wypadku do zjawienia się mundurowych zdążyła minąć dobra godzina. Mogli sobie na to opóźnienie pozwolić, bo cała uratowana rodzina, łącznie z rannym jedynie powierzchownie ojcem, spała teraz na kanapie w pokoju socjalnym i nie było zagrożenia dla niczyjego życia. Nie mieli jednak pojęcia, jak się z tego opóźnienia wytłumaczą.

O napastnikach i szczurach nie zamierzali, rzecz jasna, mówić nikomu, bo w pierwszej chwili nawet Tinka nie chciała im wierzyć. Dopiero widok gryzoni na workach z ludzkiej skóry ją przekonały. Zaczął od żołądka, a potem powoli dotarł do umysłu. Zanim więc zadzwonili, Marek najpierw podtruł szczury spalinami, a potem zatłukł wszystkie młotkiem.

Wreszcie zajął się ostatnim z napastników, skręcając mu kark, gdy Tinka akurat nie patrzyła. Wychodzące z niego szczury również ubił, a potem wszystkie te resztki wynieśli, by je spalić. Tinka zajęła się ścieraniem plam krwi przed stacją.

Przez cały ten czas Krzysio siedział na straży zaplecza. Kazali mu się ewakuować, żeby nic nie widział. I tak już straszliwie bełkotał; bali się, co powie policji.

– Nieważne – powiedziała Tinka, zaciągając się papierosem. – Uznają to za gadanie wariata. Szczury, w ludziach?

Zaśmiała się wciąż nieco histerycznie, co przeszło w kaszel, gdy zakrztusiła się dymem. Klepnął ją w plecy i wziął od niej papierosa.

Patrzyli właśnie na dym z ogniska, jakie ułożyli z tych wszystkich szczurzo-ludzkich trucheł w głębokim dole pod fundamenty nieopodal stacji. Smród palonej skóry i włosów mieszał się z wonią benzyny. Chwilę wcześniej skończyli ustalać wspólną wersję wydarzeń – nieskomplikowaną: ot, wypadek, panika – i zadzwonili po gliny. Pozostawało czekać i dłuższą chwilę robili to w milczeniu. W końcu jednak Kędzierski nie wytrzymał.

– Tinka.

– No?

– Jak to jest, że przyjęliśmy to gówno z takim, kurwa, spokojem?

Wzruszyła ramionami.

– To pojebane, wiem, ale cały czas miałem wrażenie, że…

– To nie jest pierwszy raz – powiedzieli razem.

Najwyraźniej dzielili to uczucie. Spojrzała na niego i na jej twarzy pojawił się bardzo zmęczony uśmiech.

– Nie rób tak, bo się zakocham – powiedziała.

Podrapał się po brodzie, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiał, aż wreszcie zapytał:

– Chcesz odreagować?

– Co masz na myśli?

– Wiesz.

Wiedziała. Chciała. Zanim przyjechała policja, zrobili to na szybko obok dołu, w którym płonęły zwłoki i szczurze truchła.

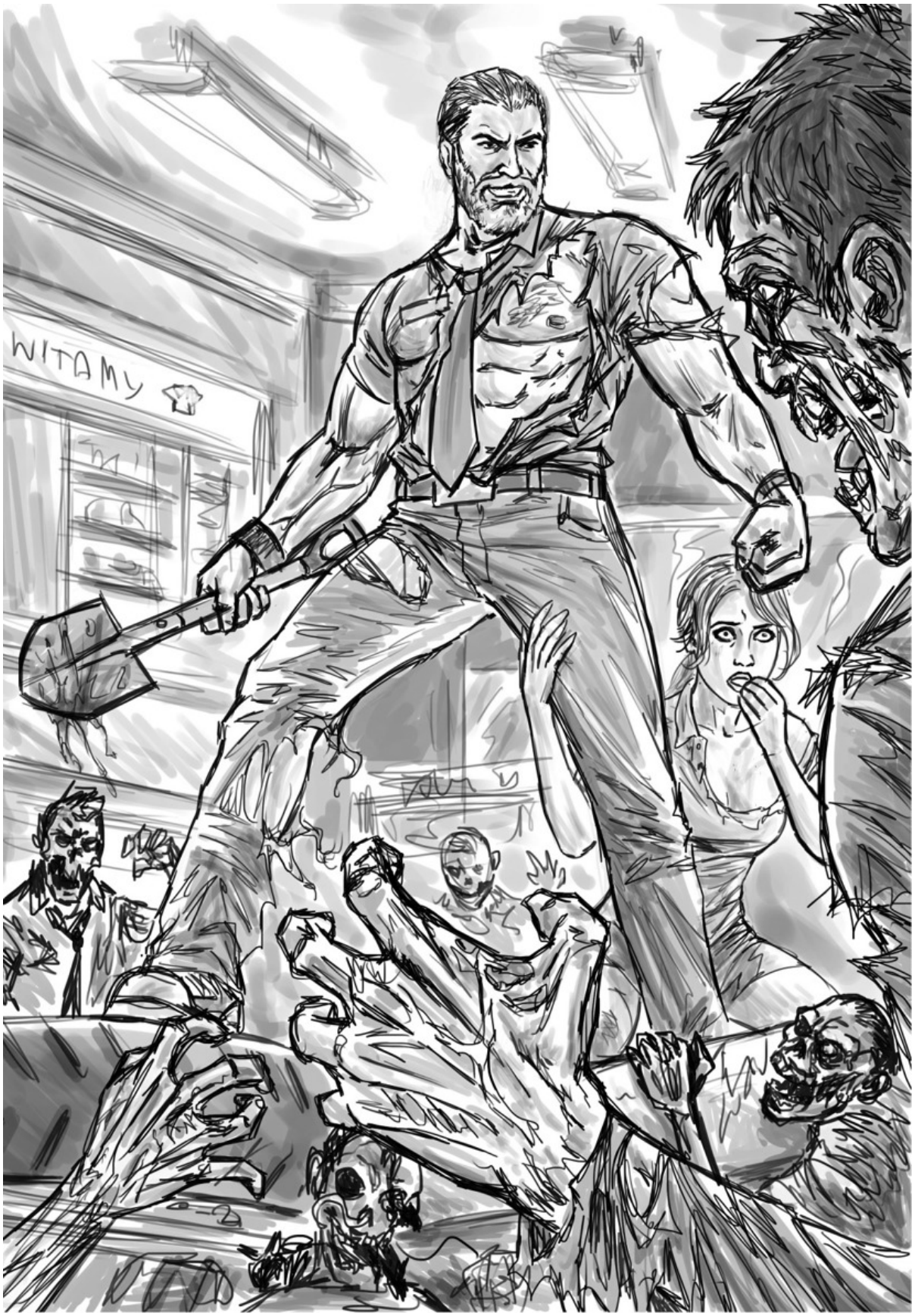
WITAMY

TRZY

– Wyglądasz jak lew – powiedziała Betsy, czyli Beata.

Wzruszył ramionami, co w tym ścisku nie było specjalnie łatwe, i uśmiechnął się bez słowa. Bo co niby miał powiedzieć? Mięśniak siedzący za kierownicą posłał mu za pomocą lusterka kolejne gniewne spojrzenie, na co odpowiedział wyszczerzeniem zębów. Żałował, że nie ma na nich krwi, to zawsze działało na takich jak ten tutaj. Dorosłych w swej gniewnej pogardzie, ale też po dziecięcemu zazdrosnych.

– Nie no, poważnie. Jak lew – ekscytowała się Betsy.

Nawet specjalnie przelała trochę swego tłuszczu w lewo, by siąść bokiem i przyjrzeć się uważnie. Blade, galaretowate uda odkleiły się od skórzanego siedzenia z mlaśnięciem, a potem przywarły doń z dźwiękiem przyssawki. Małe, świńskie oczka zamrugały z podniecenia. Sięgnęła serdelkami paluszków do jego włosów, wsunęła palce między posplatane, grube strąki.

– Co myślisz, Kaśka?

Kaśka siedząca po jego drugiej stronie westchnęła i uchwyciwszy na moment spojrzenie pasażera, powiedziała bezgłośnie: „Przepraszam”. Pokręcił głową z rozbawieniem, dając znak, że nic się nie stało. A potem znowu wyszczerzył się do gniewnych oczu w lusterku.

Beata tymczasem nie ustępowała. Ujęła jeden długi kołtun w dłoń i zaczęła wykonywać ruch posuwisto- -zwrotny. Zakwiliła z radości i oblizała się lubieżnie.

– No sama zobacz, Kaśka, ta grzywa dredów do pasa, ten zarost, nawet skóra jakby złota. Nie ciężko ci z tym mopem, słodki? Nie chcesz, by ci jakoś ulżyć?

– Betsy! – zawołała Kaśka.

Mięśniak kierowca zadrżał z uciechy. Ten drugi na siedzeniu obok chyba też, ale fotel był duży, a on chudy i nawet ze środkowego miejsca na tylnej kanapie przepastnego audi widać było ledwie jego ramię i lewe ucho.

– To by miał dzień, co nie, Betsy? – zawołał kierowca i obejrzał się niebezpiecznie do tyłu. – Nie dość, żeśmy go wzięli na stopa z tego odludzia, to jeszcze lodzik przed wysiadką i…

– Jesteś obleśny. – Kaśka nerwowym gestem odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na autostopowicza. – Naprawdę przepraszam za nich.

Wzruszył ramionami wciąż z tym samym uśmiechem. Dla niej miał miły i ciepły, jaki rezerwował dla każdej Wendy świata.

– W porządku – odparł. – Wiem, że to tylko żarty.

– Wcale nie! – zawołała Betsy, mocniej ściskając go za dred.

Znowu rozległo się mlaśnięcie, gdy odkleiła się od fotela, by lekko pochylić się do przodu.

– Tu i teraz, Makumbo, królu lwie.

– To był Simba – powiedział cicho, prawie szeptem chłopak z fotela obok kierowcy. – I Kaśka ma rację, zachowujesz się jak tania, tłusta kurwa, Beato.

W samochodzie nagle zapanowała absolutna cisza. Betsy wyprostowała się i położyła dłonie na brzuchu, jakby chroniła nienarodzone dziecko. Nalane policzki i podwójny podbródek zatrzęsły się, dolna warga zadrżała.

– Nikt cię o nic nie pytał, ty… okularniku – jęknęła żałośnie. – Słyszysz? Nie wtrącaj się, bo…

Chłopak z przedniego siedzenia poruszył się błyskawicznie i nagle nie było już problemu z przyjrzeniem się jego twarzy. Wąskie, surowe oblicze, złagodzone nieco opływowym kształtem niemodnych okularów. Brwi miał zrośnięte w jedną, czarną i grubą, na czole kreśliły się idealne łuki zmarszczek. Wargi miał niczym dżdżownica przecięta wzdłuż na pół czarną, cienką kreską – człowiek tylko czekał, aż się rozewrą i wyleją się z nich robacze wnętrzności. Zamiast tego jednak wysączyło się z nich jedno tylko słowo, pytanie, a może raczej wyzwanie:

– Bo?

Dopiero gdy tłusta dziewczyna odchyliła się, by najbardziej jak to tylko możliwie wbić się w kąt przy drzwiach, gdy w wyniku tego ruchu uniosła się fałda jej tłustego brzucha, oczom pasażera ukazały się w pełnej krasie różowe ślady, które w pierwszej chwili wziął za rozstępy. Okrągłe plamki i cienkie linie między nimi, jakby ktoś bawił się w połącz punkty. Z pewnością dziewczyna nie zrobiła sobie tego sama.

– Nieważne, zapomnij o tym, Michał – mruknęła Betsy, starając się obojętnością i nonszalancją zamaskować strach.

Ale choć siedzący koło niej autostopowicz nigdy nie uważał się za lwa. W szalonej, niekończącej się zabawie, jaką uczynił swoje życie, bezsprzecznie był drapieżnikiem i zapach strachu znał bardzo dobrze. Gardząc tymi, którzy go wydzielali, nie potrafił się jednocześnie oprzeć istotom go wywołującym. Stanowili dla niego wyzwanie. Jak teraz.

– Nie byłaby kurwą, gdybym jej nie zapłacił, prawda? – stwierdził nagle.

Przemówił po raz pierwszy od wielu kilometrów. Jego głos był miły, głęboki i stonowany. Słowa wypowiadał wyraźnie i dokładnie, jakby nad każdym zastanawiał się ułamek sekundy, czy aby dobrze oddaje myśl.

Odpowiedź Michała była za to szybka i ostra niczym chlaśnięcie bicza.

– Nie, wtedy byłaby po prostu jeszcze bardziej żałosną, bo oszukaną kurwą.

Kierowca aż klepnął kierownicę z radości, a Kaśka zagryzła wargi i ścisnęła dłonie między udami. Temu ruchowi też towarzyszyło mlaśnięcie, ale Kaśka była zgrabną, czarnowłosą ślicznotką, więc dźwięk wywołany przez nią, choć brzmiący identycznie, nie wzbudził odrazy. Wręcz przeciwnie – ot, jedna z tych niesprawiedliwości świata, na których widok czy dźwięk nie sposób się smutno nie uśmiechnąć. To właśnie zrobił, uśmiechnął się i nie ciągnął dyskusji.

Dalszą drogę, kolejne pięć albo sześć kilometrów, przejechali w ciszy, a jedynym dźwiękiem prócz odgłosów jazdy był cichy,

urywany szloch Betsy. Wreszcie samochód się zatrzymał, a kierowca odwrócił i uniósł nieco górną wargę.

– Wysiadasz, Simba – powiedział. – Koniec darmowej przejażdżki.

– Dlaczego?

– Bo tu skręcamy z głównej drogi – pospieszyła z wyjaśnieniami Kaśka. – Teraz jedziemy w las, bo mamy tam chatkę i ze znajomymi…

– Nie produkuj się, Kaśka – warknął kierowca. – Co, kurwa, znaczy „dlaczego”? Przejechałeś z nami pięćdziesiąt kilosów totalnie za friko i jeszcze masz czelność pytać dlaczego? Podziękuj, brudasie, a nie…

Autostopowicz dostrzegł, że Michał zamierza się wtrącić, więc postanowił go uprzedzić.

– Masz rację. Dziękuję – powiedział, po czym zwrócił się do Betsy. – Wypuścisz mnie?

Dziewczyna otarła ręką oczy i nos, pokiwała energicznie głową. Otworzyła drzwi i wytoczyła się z samochodu.

Zanim wyszedł, musnął jeszcze opuszkami palców dłoń Kaśki.

– Szkoda, że nie mam dla ciebie żadnego całusa – szepnął. – Ale jeszcze się zobaczymy.

– No już, już, Simba – ponaglił kierowca. – Nie mamy całego dnia, a niektórzy chcą się jeszcze dzisiaj wykąpać.

– Jasne – odparł. – Ale nie nazywam się Simba. Mam na imię…

– Piotr – odezwał się Michał, wpatrzony przed siebie, nieruchomy niczym posąg. – Mówiłeś, gdy wsiadłeś.

Jego ton ucinał wszelkie dyskusje czy dalsze uprzejmości, więc autostopowicz po prostu wysiadł. Odrzucił do tyłu grzywę skołtunionych włosów, faktycznie sięgającą niemal pasa. Było ich tak wiele, że wydawały się cięższe niż reszta jego żylastego, szczupłego ciała. Następnie stanął przed Betsy i złapał ją za rękę.

– Przepraszam za moje zachowanie – powiedziała. – Mój brat ma rację, że…

– Nie ma – uciął.

Patrząc jej prosto w małe, świńskie oczka, skierował jej dłoń na swoje krocze.

– Jeśli następnym razem również będziesz miała ochotę, chętnie wsadzę go w twoje usta, Betsy. Nie możesz być w tym gorsza od syren.

A potem puścił jej dłoń, odsunął się o krok i wziął pod boki.

Przez chwilę myślał, czy by nie zapiać, ale przecież nie odniósł zwycięstwa. Poczekał więc, aż Betsy wsiądzie, a srebrne audi skręci w szeroką, leśną drogę. Chwilę później samochód zniknął za zakrętem pośród drzew, a on, podśpiewując cicho jedną z zapamiętanych pirackich piosenek, ruszył jego ciepłym jeszcze śladem.

* * *

Kaśka nie odważyła się odwrócić. Widziała, jak siedzący za kółkiem Janek pod pozorem poprawiania lusterka ustawia je tak, by ją widzieć. Zawsze był cholernie zazdrosny, a ostatnie, czego jej było trzeba przez następne dni, to jego złość. Dlatego nie tylko nie obejrzała się, ale też nie poruszyła, nie przesunęła w stronę milczącej, roztrzęsionej Beaty, choć tak bardzo chciała okazać jej wsparcie.

Była do dupy przyjaciółką, wiedziała o tym, ale usprawiedliwiała się tym, że cały ten układ to jedna wielka patologia i swoim zachowaniem po prostu się w nią wpisuje. Ojczym Beaty i ojciec jej przyrodniego brata Michała zatrudniał w swojej firmie jedną czwartą miejscowości, w której wszyscy mieszkali, w tym rodziców zarówno Janka, jak i Kaśki. Czy trzeba dodawać, że była to jedyna ćwiartka lokalnej społeczności posiadająca zatrudnienie?

Kaśka przyjaźniła się z Beatą od zawsze, Janek z Michałem, od kiedy ten ostatni zjawił się w mieście, czyli jakieś dwa lata wstecz. Wcześniej podobno mieszkał ze swoją matką, aż ta, jak wieść gminna niosła, pośliznęła się kiedyś na schodach i złamała kark. Byli tacy – i coraz częściej Kaśka skłonna była przyznać im rację – którzy nie do końca wierzyli w wersję z nieszczęśliwym wypadkiem.

Bo z Michałem było coś nie tak. Mówił mało, ale gdy już się odezwał, to zawsze władczym tonem i bardzo bezpośrednio, jakby

nie obowiązywały go społeczne normy czy zasady dobrego wychowania. Zawsze mówił i robił, co myślał, i nieraz dawało się odnieść wrażenie, że specjalnie jest na przekór, specjalnie w opozycji do innych, byleby tylko nagiąć ich ostatecznie do swojego zdania. A gdy ktoś się nie poddawał, to dziwnym trafem prędzej czy później działa mu się jakaś krzywda. Zdychał ukochany pies, ktoś w rodzinie tracił pracę, w prasie lokalnej rozkwitał pączek skandalu rujnujący karierę bądź interes…

Jankowi – jej Jankowi, którego znała od podstawówki, z którym chodziła od pierwszej klasy ogólniaka, któremu oddała dziewictwo i odpuściła rok na studia, by poczekać, aż zda maturę – ta skuteczność i bezwzględność Michała zdawała się imponować. Dumą napawało go, że był nie tylko najlepszym kumplem okularnika, ale i w jakimś stopniu jego ochroniarzem, obrońcą, gdy pojawiało się bezpośrednie zagrożenie. Bo Michał tolerował przemoc tylko wtedy, gdy była jednostronna… i gdy to on robił krzywdę. Jak z tymi mapami blizn Beaty…

Kaśka zauważyła je u niej któregoś dnia, ale jej przyjaciółka stwierdziła wówczas, że sama je sobie zrobiła. „To dlatego, że czasem czuję się jak puszczalski kurwiszon”, wyznała ze łzami w oczach. Tyle że to nie były jej słowa, a jego. Zresztą puszczać też zaczęła się za sprawą przyrodniego brata, który, nie mogąc znieść jej tuszy, zaczął dyskretnie podburzać jej koleżanki i kolegów.

Miał do tego wrodzony talent, nawet bez tych brudnych sztuczek. Był mistrzem manipulacji i bez trudu potrafił sprawić, że ludzie zaczynali patrzeć na świat jego oczyma. I tak z miesiąca na miesiąc z jednej z najbardziej towarzyskich, wesołych, lubianych osób w szkole Beata stała się odludkiem. Ale się nie dała, to trzeba jej mimo wszystko przyznać, nie złamała do końca. Poszła w stronę, której smutną konsekwencją była dzisiejsza, jeszcze tłustsza, ubrana tak skąpo, jak to tylko możliwe, puszczalska Betsy. Znowu dusza towarzystwa, nieustannie w centrum uwagi, zwłaszcza tych, którzy po dwóch czy trzech piwach mieli ochotę na szybkiego loda bez patrzenia w dół. Podobno była w tym naprawdę niezła. Ostatnio rozważała nawet przekłucie języka, by, jak to mówiła, wskoczyć na wyższy level.

Kaśka nie zamierzała zdobywać poziomów czy pogłębiać umiejętności. Gdzieś tam w głębi serca wyobrażała sobie nawet, że Janek, znudzony jej seksualną biernością i łóżkową rutyną, znajdzie sobie kogoś innego i wtedy tylko Beata będzie trzymać ją w tym dziwnym kręgu pokręconych, małomiasteczkowych zależności. Wtedy wyjedzie, nie oglądając się ani na Beatę, ani na rodziców liczących już tylko miesiące do pomostówki. Tak, córką była równie do dupy jak przyjaciółką.

Problem w tym, że nieważne jak się zachowywała, Janek kochał ją cały czas tą samą szczeniacką miłością. Zachowania jak to przed chwilą świadczyły o tym wyraźnie.

Swoją drogą, pomyślała Kaśka, dlaczego w ogóle zdecydowali się zabrać tego pachnącego lasem chłopaka, który wyglądał, jakby urwał się z filmu o jamajskich piratach? To Michał powiedział, żeby się zatrzymać, choć tamten nawet nie machał ręką, siedział tylko pod drzewem, oskubywał kijek z liści i śpiewał jakąś, jak się okazało, dziwaczną, brzmiącą z indiańska piosenkę.

Co kierowało Michałem? Bo przecież nie dobroć serca, którego ten chudy skurwysyński okularnik nie miał. Dlaczego zaproponował, by chłopak usiadł na środku tylnej kanapy i znalazł się w centrum wydarzeń? Jedyna odpowiedź, jaka przychodziła jej do głowy, jeszcze bardziej napełniała ją pogardą do tego manipulanta. Niczym szczeniak przypalający mrówki za pomocą lupy Michał bawił się Beatą, prowokując ją do jej nowych, ale już normalnych zachowań. Bawił Jankiem i jego zazdrością. Bawił… no właśnie, w jaki sposób bawił się nią? Co takiego wiedział o Kaśce, czego ona sama jeszcze o sobie nie wiedziała, a co uczyniło ją marionetką ostatnich kilkudziesięciu minut?

Pogrążona w zamyśleniu i wiedziona odruchem mało nie obejrzała się teraz, ale w porę dostrzegła zazdrosne oczy w lusterku i powstrzymała ruch głowy.

Jezu, mimo wszystko dobrze, że Michałowi wystarczył tylko ten kawałek na drodze. Na myśl, co by było, gdyby uparł się, by zabrać autostopowicza do domku letniskowego swego ojca – gdzie już czekało pewnie ze trzydzieści osób szykujących epickiego grilla – zrobiło jej się zimno. Chociaż…

Nie! Nie zamierzała przyznawać przed sobą, że chłopak o wyglądzie młodego lwa lekkim dotknięciem jej dłoni i niedorzeczną obietnicą ponownego spotkania był w stanie podniecić ją bardziej, niż jej Janek… w zasadzie kiedykolwiek.

* * *

Lubego nie było przy Dzwoneczku, gdy wpatrzona w horyzont wypowiedziała To Zdanie, ale mimo to wiedział o tym niemal natychmiast. W jednej chwili siedział w swoim biurze pochylony nad stosem piętrzących mu się na biurku papierzysk – zaniedbał je ostatnio, ale ludzie, widząc, co robi dla swojej partnerki w interesach, ze zrozumieniem reagowali na opóźnienia – by następnej wyprostować się niczym rażony piorunem.

Zamrugał gwałtownie, wepchnął palec do ucha i poruszył nim, jakby chciał je odetkać. Pociągnął nosem. Tak, nie było najmniejszych wątpliwości. Powiedziała to. I, co najważniejsze, powiedziała to szczerze. Inaczej by nie zadziałało.

Klasnął w dłonie. Podniósł się z fotela, by zaraz nań opaść i znowu się podnieść. Wstał, przeszedł przez pokój tam i z powrotem, znowu uniósł ręce, by klasnąć, ale nagle przypomniał sobie, co w dawnych czasach, po tamtej stronie znaczyło klaskanie, do czego go używali. Do wskrzeszania wróżek i cofnięcia pewnych słów. Tych słów.

– Ty durniu! – skarcił się.

Rozłożył ręce szeroko, jakby się bał, że zderzą się teraz przypadkowo, że w jakiś sposób jedna przyciągnie drugą i zniweczy to, co osiągnął, na co pracował te blisko dwadzieścia lat na wygnaniu. Bo wszystko to sprowadzało się tylko do tego jednego zdania wypowiedzianego przez tę jedną, konkretną osobę.

Włożył ręce do kieszeni, by go nie kusiło, a potem zadarł głowę i spróbował zapiać, choć w jego wykonaniu zabrzmiało to raczej jak łamiący się skrzek, dlatego szybko odpuścił. Zamiast tego podszedł do drzwi, otworzył je szeroko i powiedział do młodej, świeżo

zatrudnionej asystentki, siedzącej tam za biurkiem, które – formalnie – należało do Matyldy Blaszki:

– Idź dzisiaj do domu, skarbie.

– Tylko że, szefie… – chciała zaprotestować dziewczyna, ale wtedy on przepołowił swój uśmiech palcem wskazującym, nakazując jej milczenie.

– Cokolwiek masz do zrobienia dzisiaj, poczeka do jutra, i to na moją odpowiedzialność. A teraz pędź, skarbie.

Pokiwała głową energicznie i odsunęła się od blatu.

– Ale, panie Luby, czy coś się stało? – zapytała jeszcze, wstając.

A on, ponieważ zdążył się już odwrócić, wykręcił się teraz w niemal tanecznym piruecie, wygiął niczym arlekin, i rozpromieniony tak do niego niepasującym uśmiechem powiedział:

– Wszystko, dziewczyno. Stało się wszystko.

Już przed budynkiem wydobył telefon i wyszukał numer Gretzkiego. Wcisnął zieloną słuchawkę, przyłożył do ucha. Gretzki odebrał po czterech sygnałach.

– Agent Gretzki, Interpol – powiedział stanowczo służbowym głosem.

Luby zaśmiał się do słuchawki.

– Naprawdę tak się przedstawiasz? – zapytał. – Nie sądzę, by tak właśnie mówili prawdziwi agenci Interpolu… No ale mniejsza z tym. Możesz już skończyć z tą szopką.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Luby wpatrywał się w miejsce, gdzie kiedyś unosili się uwiązani, naćpani wesołkiem siepacze Battlesnake’ów i chłopcowych zdrajców. Teraz w tym miejscu znajdowała się atrakcja zwana Beczką Śmiechu. Tylko Luby wiedział, w hołdzie dla kogo.

Przyłożył słuchawkę do drugiego ucha, docisnął ramieniem i sprawdził kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Znalazł je, ale zapalniczkę najwyraźniej zostawił w biurze, więc ruszył w stronę chłopaka siedzącego w budce z przekąskami. Kiedyś szczeniak też był jednym z Dzieciaków, dziś dostawał siedem złotych na godzinę i uważał się za prawdziwego szczęściarza, bo w swoim nowym, nadpisanym życiu ledwie skończył podstawówkę, a do tego musiał

zajmować się chorą matką, z którą tak naprawdę – to znaczy w poprzednim, dzwoneczkowym życiu – wcale nie był spokrewniony.

Ech, ludzka pamięć, ludzkie sentymenty, myślał Luby i śmiał się w duchu.

– Ej, co tak zaniemówiłeś? – rzucił w końcu do telefonu. – Jesteś tam jeszcze w ogóle?

– No… jestem – mruknął skonsternowany Gretzki. – Tylko nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że kończymy z tą szopką. Nigdy nie zdradziłeś mi szczegółów tego pokręconego planu, ale wiem, że przygotowywałeś go przez lata… I teraz chcesz się poddać?

– Nie poddać, głuptasie! – zawołał wesoło Luby. – Wygrałem! Cokolwiek się teraz wydarzy, czokolwiek zrobi, jest już za późno. Udało się!

Podszedł do budki już z papierosem w ustach i gestem poprosił chłopaka, by ten podał mu ogień. Dzieciak nerwowo przetrząsnął kieszenie, aż w końcu znalazł tanią, plastikową zapalniczkę. Wychylił się przez okienko, by odpalić Lubemu, za co ten podziękował skinieniem głowy.

– W każdym razie dziękuję ci za pomoc, a jak tylko wrócę do biura, puszczam ci ostatni przelew. Z premią.

Tym razem cisza w słuchawce trwała nieco krócej.

– Wiesz, dzięki bardzo, zwłaszcza za tę premię, ale… jesteś pewien? Jak mówię, nie znam szczegółów twojego planu i nie chcę ich znać, ale jeśli, jak przypuszczam, zrobiłeś to wszystko, by zmusić ją do podpisania jakichś dokumentów albo przejęcia aktywów, to, jak zapewne wiesz, istnieje taki termin jak chwilowa niepoczytalność i sądy mogą cofnąć…

– Tego nie mogą, przyjacielu. – Luby poczuł, że ma ochotę złapać za pobliską latarnię i okręcić się wokół niej, kreśląc wokół swojej głowy aureolę dymu. – Słowa wędrują ścieżkami czasu, a te mają wyłącznie jeden kierunek. Nie da się zrobić kroku wstecz. Po prostu nie!

– No, skoro tak uważasz – mruknął wciąż nieprzekonany Gretzki.

Nagle jego sceptycyzm stał się tak nieznośny, że Luby rozłączył się bez słowa pożegnania i wyciągnął baterię z telefonu.

Teraz pozostawało już tylko pytanie – gnać tam zaraz czy dać Panu chwilę, by nacieszył się wolnością? W zasadzie, uznał po chwili, było to pytanie retoryczne.

* * *

Zamiast iść szeroką, wyboistą drogą, wybrał wędrówkę między drzewami, pośród krzaków i chaszczy. Chwilę wcześniej przystanął, by zdjąć płócienną koszulę. Pomagając sobie zębami, podarł ją na pasy, po czym tymi najdłuższymi oplótł ciasno włosy, a resztę zawiesił na drzewie, właściwie sam nie wiedział po co. Potem szedł tak półnagi, aż wreszcie dostrzegł w oddali zarys budynku i błysk, zapewne tafli jeziora. Wtedy zatrzymał się, cofnął dwa kroki i pognał w stronę najbliższego dębu. Jego stopy uderzyły o pień, jakby próbował po prostu wbiec na drzewo, a ręce wystrzeliły, łapiąc za rozłożysty konar. Podciągnął się bez wysiłku, stanął na gałęzi, a potem zgrabnie, z szeroko rozłożonymi rękami doszedł niemal do samego jej końca, by rzucić się niczym wiewiórka na drzewo obok. Trafił, owinął się wokół konara, wspiął nieco wyżej i znowu przebiegł po gałęzi. I tak drzewo po drzewie, aż znalazł się niemal przy samym domku. Tam usiadł wygodnie, przytulił się do pnia i patrzył.

Trochę zasłaniało mu zadaszenie ganku, ale mimo to zdecydował się nie zmieniać drzewa. Tu miał całkiem niezły ogląd sytuacji, widok zarówno na większość podwórza, jak i – dzięki wychodzącym na tę stronę oknom – w kilka sypialni na piętrze i to, co działo się przy blacie w kuchni na dole. Jednocześnie sam pozostawał niewidoczny. Wyszczerzył się w paskudnym uśmiechu. Ależ to będzie zabawa, pomyślał.

* * *

Byli już chyba wszyscy. Większość od dłuższego czasu, albo pili już w drodze, bo wyraźnie alkoholowo wyluzowani korzystali z uroków okolicy. Dziewczyny opalały się na brzegu i wychodzącym daleko w wodę, szerokim, drewnianym pomoście, chłopcy, w większości

w komicznie kolorowych szortach stanowiących teraz ich jedyny ubiór, stali w grupkach jak na szkolnej przerwie i rozprawiali o czymś, popijając piwo z półlitrowych puszek.

Kilku mężczyzn, wyraźnie starszych od reszty, gromadziło się przy ogromnym grillu, wyglądającym trochę jak skrzyżowanie kominka z lokomotywą. Ich Kaśka nie znała i podejrzewała, że to lokalsi, znajomi Michała albo pracownicy jego ojca. Ubrani w dżinsy i T-shirty – niektóre z urwanymi rękawami – raczej szczupli, choć jednocześnie piwnie brzuchaci, wyglądali, jakby przybyli tu bardziej do pracy, niż żeby się bawić. Choć oczywiście nie odmawiali sobie ani schłodzonych napojów, ani pożądliwych spojrzeń w stronę roznegliżowanych dziewczyn.

Ciekawe, czy Michał będzie w stanie utrzymać ich w ryzach, pomyślała, gdy wypiją trochę więcej i wezmą się za obłapianie. Zaraz w jej głowie pojawiło się pytanie: a jesteś pewna, że będzie chciał? Że to nie kolejna z jego chorych gierek, jak wiele razy wcześniej, jak chwilę temu z tym autostopowiczem?

Wzruszyła ramionami, jakby samej sobie dając znak, że mało ją to w sumie obchodzi. Ona wszak miała Janka, była bezpieczna.

Tyle że uporczywy głos w jej głowie ani myślał odpuszczać i teraz drwiąco zadał pytanie: czy jesteś pewna, że twój facet to typ bohatera? Jeśli nawet tak, to czy naprawdę mógł postawić swoje bicepsy pielęgnowane na siłowniowym atlasie i dopieszczane dwoma hantlami po pięć kilo przeciwko ich mięśniom, pewnie nie tak ładnym, ale hartowanym ciężką pracą i pewnie jeszcze cięższym życiem?

Potrząsnęła głową, a następnie spojrzała na Betsy, teraz poważną, nieobecną, wpatrzoną w okno. W razie czego to ją puści się na tych robotników, przemknęło jej przez głowę, by raz-dwa spuściła z nich parę. Poradziłaby sobie lepiej niż setka Janków.

Jednocześnie uśmiechnęła się i znienawidziła samą siebie za tę myśl. Jezu, Kaśka, czemu musisz być taką cipą?!

Tymczasem samochód zatrzymał się właściwie pod samym gankiem – starym, klimatycznym niczym z chaty na południu Luizjany. A może Teksasu? Nie znała się na tym, nigdy nie była w Stanach, ale ganek od razu skojarzył jej się z amerykańskim

Południem. Cały dom był zresztą taki… staroamerykański właśnie. Obity pionowymi dechami, z wąskimi szczelinami pomiędzy nimi, co budziło skojarzenie fakturą sztruksowych spodni. Ganek miał lekko spadzisty dach i wisiały na nim lampki wyglądające troszkę jak choinkowe. W głębi stał szklany stolik, dwa wiklinowe fotele i zajęta obecnie dwuosobowa huśtawka. Kaśka pomyślała, że mogłaby tu mieszkać, ale potem przypomniała sobie, do kogo należy ten dom, i natychmiast porzuciła tę myśl.

Tymczasem ludzie za oknami samochodu, w większości znajomi z miasteczka, ze szkoły, unosili na cześć przybyłych puszki, śmiali się i co rusz rzucali rubaszne żarty. Wysiedli więc całą czwórką i zaczęli witać się ze wszystkimi. Było wpadanie sobie w objęcia, całusy w policzki, ściskanie rąk. Te ostatnie dotyczyły przede wszystkim Michała, i to zawsze on pierwszy wyciągał rękę. Jeśli nie, kończyło się na skinieniu głową i może niepewnym uśmiechu.

W powietrzu unosił się charakterystyczny, wyrazisty zapach karkówki, tym intensywniejszy, że właśnie powiało od strony grilla. Z pewnością przygotowywało się tam znacznie więcej potraw, ale to właśnie karkówka wyczuwalna była najbardziej. Kaśkę ciekawiło tylko, czy pośród zapasów znalazły się też dostarczone przez nią z samego rana wegetariańskie szaszłyki na bakłażanie. Jeśli nie, dzisiejsza wyżerka ograniczy się dla niej do opieczonej kukurydzy z masłem czosnkowym.

Matek, Waldek, Krzysiek, kilku trzymających razem niegdysiejszych klasowych drabów – wtedy rosłych, dziś mocno i przedwcześnie podtatusiałych – doskoczyło do niej i zaczęło kolejno brać w ramiona. Był to gest z pozoru przyjacielski, ale czuła te podrygi w ich szortach, i dziś akurat bardziej ją rozbawiły, niż zniesmaczyły. Ciekawe, co by na to powiedział Zazdrosny Jasio?

Parsknęła śmiechem. Żeby jakoś to wyjaśnić, przypomniała Waldkowi, jak kiedyś nieudolnie próbował kocić pierwszoklasistę i skończyło się na tym, że, demonstrując, sam wylądował nogą w sedesie. Był czas, że tą historyjką żyła cała szkoła.

– Wiesz co, Bławacka? – Waldek, łysiejący grubasek w koszulce z napisem „Piwo ukształtowało to wspaniałe ciało”, zaczerwienił się

mimowolnie i zaśmiał nieco sztucznie. Dawno nikt mu już tej akcji nie wypominał. – Pierdol się.

Wzruszyła ramionami i pokazała kciukiem na Janka, który, otoczony wianuszkiem znajomków i wyrastający ponad nich, wyglądał niczym majestatyczny posąg z zalanego miasta, wystający spośród fal. Cokolwiek by o nim mówiła, jej chłopak wciąż wyglądał tak, że wzbudzał u innych jedynie dwa uczucia – pożądanie lub zazdrość. A bywało, że oba naraz.

– Chętnie, ale wygląda na to, że jest chwilowo zajęty. Oczywiście jakby ktoś chciał zaryzykować i się potem przed nim tłumaczyć…

Gdzieś w oddali po świńsku zakwiliła Betsy. Trudno było stwierdzić, czy to z tego żartu, czy może miała zupełnie inny powód. Kaśka obejrzała się i dostrzegła przyjaciółkę… – a jakże! – przy grillu z facetami w dżinsach. Dlaczego to wszystko, oni wszyscy byli aż tak przewidywalni?

Podtatusiałe trio coś tam jeszcze do niej mówiło, próbowało podtrzymać dyskusję, ale nagle obok niej wyrósł Michał z jej podróżną torbą w ręce.

– Wasz pokój jest na górze, drugi na prawo od schodów – powiedział z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Jest tam duże, podwójne łóżko i zwykle sypia tam mój ojciec.

– Jasne, dziękuję – odparła, biorąc od niego torbę.

Bo co to niby miało znaczyć? Że honoruje ich najlepszą sypialnią w domu? A może, że to pokój idealny do pieprzenia się na każdy możliwy sposób, przetestowany przez eksperta? Serio, na chuj mi była ta informacja, pieprzony zjebie?!

Uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach.

– Tak, wiem, że to zbyteczna informacja. Pokój jest otwarty, klucze w zamku.

Skinęła głową i wbiegła po schodkach drewnianego ganku. Pchnęła siatkowe drzwi, zupełnie jak te z amerykańskich filmów, i weszła do przestronnego saloniku ze schodami w głębi i dużą kuchnią oddzieloną jedynie blatem. Tu kończyła się klimatyczna, westernowa nastrojowość, bowiem wnętrze było już na wskroś luksusowe i nowoczesne. Gładkie ściany ozdobione artystycznymi grafikami w antyramach, dębowe panele podłogowe, opływowe,

obite skórą fotele i oczywiście plazma ze postawionymi obok pustymi stojakami na płyty. Kuchnia zaprojektowana była na wymiar, a między szafkami w jasnym brązie stała, niczym srebrny ząb, kuchenka gazowa z piecykiem wymrugującym teraz na zielono godzinę duchów.

Nad blatem na belce stropowej, jedynej pozostałości po oryginalnym wystroju, wisiały grube pęki suszonych ziół. Kaśka pomyślała, że to – znaczy ta właśnie belka, te zioła – tak bardzo nie pasuje do reszty, że aż budzi niesmak. Belka była niczym jałmużna rzucona od niechcenia żebrzącej przeszłości, niczym wstążeczka „stop przemocy" w klapie okrutnego stręczyciela. Była jak…

– Idź się ogarnij, dziewczyno – warknęła na samą siebie.

Nie lubiła być taka. Nie lubiła czepiać się wszystkiego i wszystkich, nawet jeśli miała powody. Niestety ostatnio zdarzało się to jej coraz częściej. Zmęczenie materiału? Dorosłość?

Ktoś na zewnątrz kichnął, i to tak głośno, że w jednej chwili zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Aż się obejrzała, ale nie dostrzegła nikogo. Może to z piętra albo z ganku?

Przeszła przez obszerny salon i wspięła się po stromych schodach na górę. Bez trudu odnalazła właściwy pokój i przez chwilę gapiła się na to rzeczywiście olbrzymie łóżko, na gładką, nieskazitelnie białą pościel, wdychała sztuczny zapach konwalii z odświeżacza. Nad łóżkiem wisiał obrazek z lwem czającym się w wysokich trawach i to nagle przywiodło jej na myśl wspomnienie autostopowicza. Chłopak wsiadł taki beztroski i pogodny, ale ucichł szybko, prawie się nie odzywał, tylko uśmiechał. Jakby od razu, jeszcze przed całą tą akcją z Betsy, poczuł, że jest z nimi coś nie tak.

Fajny był, pomyślała. Podeszła do okna i otworzyła je, by wpuścić do środka trochę prawdziwego powietrza. Taki uroczy, chciał się całować. I jeszcze to, jak to ujął, zupełnie jak dzieciak. Dać całusa. Kto jeszcze tak mówi w erze pieprzonego *blowjob* na koniec pierwszej randki?!

Upewniła się, że drzwi są zamknięte, po czym zdjęła najpierw szorty, a potem bluzkę. Wtedy przypomniała sobie, że pakowały się razem z Betsy i coś tam mogło się pomieszać. Nie miała ochoty

zaraz znowu się ubierać, więc podeszła do torby rzuconej na łóżko, rozpięła ją i szybko przegrzebała rzeczy. Dwuczęściowy kostium łatwo było przeoczyć, bo – zdaniem taty – podobny efekt co za sprawą jego góry można by osiągnąć za pomocą dwóch pirackich przepasek na oczy. Swoją drogą, co za porównanie. Dorosły facet i…

Znowu kichnięcie. Teraz tak bliskie, że z przestrachem podniosła głowę, ale nie, wciąż była w pokoju sama, jeśli nie liczyć odbicia w wielkim lustrze nad komódką naprzeciwko. Mimo to wstała i podeszła najpierw do okna, a potem do drzwi, by wyjrzeć na korytarz. Ponownie przekręciła zamek i wróciła do szukania stroju. Wcześniej wygrzebała jednak z kieszeni spodenek telefon, na którym uruchomiła Spotify ze składanką filmowych przebojów. Jako pierwsza poleciała ballada Aerosmith *I don’t want to miss a thing*, trochę łzawa, ale zdaniem Kaśki zdecydowanie dająca radę.

Rzuciła telefon na łóżko i jeszcze raz sięgnęła, do bioder, by podnieść koszulkę. Uniosła ją, zasłaniając twarz i jednocześnie wykonując taneczny ruch biodrami i uginając kolana. Myślała o tym, nigdy na poważnie, jak by to było tańczyć i rozbierać się przed obcymi facetami. Czy byłaby w stanie z tego wyżyć? Czy jej ruchy były dość sexy, czy potrafiła tak panować nad swoim ciałem, by inni nie mogli zapanować nad własnymi? Obróciła się, wciąż jeszcze z zasłoniętą twarzą, wypięła pośladki i… uderzyła nimi o coś. A raczej o kogoś. Gdy ciepła ręka wylądowała na jej biodrze, chciała krzyknąć, ale wtedy druga dłoń docisnęła materiał koszulki do jej ust.

– Cii – szepnął jej ktoś wprost do ucha.

A potem pchnął ją na łóżko, na rozrzucone tam rzeczy, na torbę, telefon i te śmieszne, kuse dżinsowe spodenki. Nie widząc, gdzie leci, wyciągnęła przed siebie ręce i te miękko uderzyły w materac. Wypięte pośladki, niemal nagie, jeśli nie liczyć maleńkiego trójkącika i ciągnącej się od niego wstążki, wyglądały teraz jak zachęta, prowokacja.

Ktoś złapał cienki pasek materiału i sprawnie odciągnął go na bok…

* * *

Luby jechał właśnie do kliniki, gdy zadzwonił Krasowski. Ekscytacja w jego głosie była potwierdzeniem dobrej nowiny.

– Panie Luby, Matylda prosi, by pan po nią przyjechał. Rozmawiałem z nią dzisiaj i też sądzę, że jest gotowa, żeby…

– … wrócić do domu? – Udawanie zaskoczenia wyszło Lubemu nad wyraz dobrze. – Jest pan pewien, doktorze? Bo jeśli tak, to ja oczywiście ogromnie się cieszę, tylko… No właśnie, czy jest pan pewien?

Rzecz jasna Krasowski nie miał co do tej decyzji żadnych wątpliwości.

– Oczywiście jeszcze długa droga przed nią, przed nami. Mogą minąć lata, zanim wszystko wróci do normy, ale w obecnym stanie nie ma potrzeby, by dłużej przebywała w jakiejkolwiek placówce. Zarówno jej stan fizyczny, jak i psychiczny…

– Porozmawiamy za godzinę, doktorze, dobrze? – przerwał mu Luby. – Na szybko domykam tu sprawy i jadę do pana. Jakby był pan łaskaw poinformować profesora, że się zjawię i chciałbym zamienić z nim słowo, byłbym nieopisanie wręcz wdzięczny.

– Oczywiście, panie Luby. Przekażę i będę czekał.

– Znakomicie – Luby nacisnął przycisk na kierownicy i rozłączył się, następnie przeklikał kilka pozycji, zerkając na wyświetlacz, i wybrał numer opisany jako DRZEWOZOWISKO. Wnętrze samochodu wypełniło się głośnym telefonicznym sygnałem. Po tym pierwszym nastąpiły jeszcze dwa, długie, głośne, wibrujące jak struna w niedostrojonej gitarze. Wreszcie rozległ się nieprzyjemny, chrapliwy głos:

– Kto?

– Cień. Nasz Chłopiec jest już po właściwej stronie i możecie się po niego zbierać. Jak daleko jesteście od…

Przerwał na moment, by w głowie odtworzyć sobie ciąg nie do końca swoich wspomnień. Zajęło chwilę, zanim odnalazł w nich jakąkolwiek tablicę informacyjną jako tako określającą miejsce.

Szczęśliwie, gdy ją podał, chrapliwy głos w słuchawce nie potrzebował czasu, by odpowiedzieć:

– Lekko licząc, dwie godziny mniej więcej, chyba że pojedziemy…

– Tak – wszedł mu w zdanie Luby. – Pojedźcie, bo nie mam pojęcia, w jak głębokie gówno wpakuje się ten ancymon i ladaco, gdy damy mu aż tyle czasu. Bo, że w jakieś wlezie, to… O, właśnie wlazł! I nieźle się, szuja, bawi.

Głos w słuchawce nie okazywał zniecierpliwienia, spokojnie pozwolił się Lubemu wygadać, a dopiero gdy nastąpiła krótka pauza, zapytał:

– Czego konkretnie szukamy w tej wiosce?

– Nie, nie w wiosce. Zaraz za nią, jakiś kilometr, może półtora szukacie zjazdu w las w stronę jeziora. Szeroka, leśna droga, a na jej końcu dom letniskowy. Powinno być głośno.

– Gdy tam dotrzemy, może się zrobić jeszcze głośniej.

Choć mogło to ujść za żart, w chropowatym głosie nie było słychać rozbawienia.

I może dobrze, pomyślał Luby. Przywołując wspomnienie twarzy swego rozmówcy, zdał sobie sprawę, że tak rzadko widział go kiedykolwiek uśmiechniętym, iż na pewno wzbudziłoby to jego niepokój. A to ostatnie, czego chciał w tak pięknym dniu.

– Jeszcze tylko jedno, chłopaki – powiedział, a potem zrobił pauzę, by na spokojnie włączyć kierunkowskaz i zjechać na pobliski parking. – To jego pierwszy dzień tutaj od ponad dwudziestu lat. Znalazł już sobie sposób, by to uczcić, ale na waszej głowie jest, by dziś sprostało pokładanym w nim nadziejom.

– Się wie, szefie – odparł głos i się rozłączył.

Luby zatrzymał samochód, wysiadł i zapalił papierosa. Był w połowie drogi, a zgodnie z wiedzą Krasowskiego miał ruszyć dopiero za parę minut. To dawało mu trochę wolnego czasu.

* * *

Dostrzegł ją kątem oka, gdy już była w pokoju. Skupiony na wszystkich tych ludziach szykujących się do zabawy i ucztowania uważnie studiował zachowania każdego z nich: ruchy, gesty, wargi układające się w bezdźwięczne z tej odległości słowa.

Dziwił się. Nie rozumiał. Wiedział, że żartują, widział, gdy po ciągu słów, po kilku zdaniach zakończonych niby puentą ludzie wybuchają śmiechem, odchylają głowy albo klepią się po udach, jednocześnie parskając na lewo i prawo drobinkami śliny. Widział te kropelki, widział, jak rozszczepiają światło, rodząc mikroskopijne tęcze. Ale żartu nie rozumiał.

Ten świat był dziwny, inny i nie tylko za sprawą nowych samochodów czy wynalazków, których nie znał, nie tylko z powodu języka, który owszem, znał, choć nie do tego akurat przywykł. Chodziło o coś innego, zupełnie jakby świat, cały świat poszedł do przodu, a on jeden został w tyle. Jakby oprócz niego wszyscy naprawdę wydorośleli.

Kichnął i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to na tę myśl, na to jedno słowo wciąż reaguje uczuleniem. Mogłoby się zdawać, że wszystkie tee lata spędzone w Nibylandii po śmierci Haka, zwłaszcza czas z dorosłymi przecież piratami, wyleczą go z tej dolegliwości, ale tak się nie stało. One tylko nauczyły go innego niż dziecięcy rodzaju okrucieństwa, uświadomiły mu, jak nim kierować, jak wzbudzać lęk i za jego pomocą zmuszać ludzi, by robili to, czego chciał. Nauczyły, jak jednocześnie być dorosłym i zachować w sobie dziecko z jego pragnieniami. Nie, nie pragnieniami. Chceniem!

„Czyń swoją wolę, niech się stanie prawem” – jak mówiła jedna z książek w bibliotece Haka. Mądrego w sumie gościa, ale wiecznego kapitana półśrodka. Jak wiele mógł osiągnąć, jak wiele zrobić, jego podwładni dowiedzieli się dopiero, gdy na mostku stanął on, Piotruś w kapitańskim szkarłacie. Już gotowy na nową przygodę, jeszcze nie rozwścieczony zdradą tej małej, skrzydlatej suki, tej chędożonej latawicy, dziwki, kurwiszcza, tej…

Poczuł, że pieką go opuszki palców, i zdał sobie sprawę, że z wściekłości chciał je wbić w korę drzewa. Odetchnął głęboko, rozluźnił dłonie, poprawił swoje ułożenie na gałęzi.

Chłodny powiew, który zaszeleścił liśćmi, wywiał z niego złość i pozostawił gęsią skórkę na całym ciele. Zupełnie jakby znów siedział na bocianim gnieździe, ale tym razem żeglując już bez ograniczeń. Bo nie wszyscy, których wziął za zdrajców, rzeczywiście nimi byli. Dziś to zrozumiał, dziś poczuł. Najwierniejszy druh opuścił go tylko po to, by w odpowiednim czasie dać szansę na wyrwanie się z wymyślnej wróżkowej pułapki. I aż nie mógł się doczekać, by usłyszeć opowieść Cienia – bo jak on to zrobił, do krocset, łapserdak…

…jebany – zahuczało mu w głowie słowo, którego wcześniej nie znał. Pasowało do łapserdaka, gdy powiedzieć je szybko jedno po drugim. Pasowało do Cienia.

– Łapserdak jebany – wyszeptał i stwierdził, że brzmi całkiem zabawnie.

Kiedyś poćwiczy z różnymi akcentami, bo to może być fajna zabawa. Może też nie być, jak zawsze, ale takie ryzyko nigdy go nie powstrzymywało. W zasadzie nie było chyba czegoś, co mogłoby go powstrzymać. Skoro ostatecznie nie zrobiła tego nawet przeklęta, zdradziecka wróżka…

Wtedy właśnie nadjechał samochód. Srebrny, znajomy. W pierwszej chwili wydało mu się dziwne, że ich wyprzedził, ale szedł przecież nie drogą, a obok drogi, a to, przynajmniej tam, skąd pochodził i gdzie bywał, czasami oznaczało naprawdę dużo krótszy wariant. To musiał być, jakże fortunnie, jeden z tych właśnie przypadków. To dzięki niemu Piotruś mógł teraz być świadkiem, jak jego niedawni kompani w podróży dołączają do zabawy.

Dwoje spośród nich, muskularny blondyn i gruba dziwka – myślał tak o niej bez odrazy, jak dziecko, po prostu była gruba i zachowywała się jak dziwka – zupełnie go nie obchodzili, ale okularnik i piękność stanowili punkt zaczepienia w tej nowej rzeczywistości starego świata. Drapieżnik i Piękna. Wróg i trofeum. A może, jak już zaczynał o niej myśleć, kolejna Wendy?

Samochód wtoczył się na podwórko, a potem niemal w całości zniknął przesłonięty werandą. To był drugi z tych momentów, kiedy zrodziła się w Piotrusiu pokusa zmiany punktu obserwacyjnego, ale i tym razem się powstrzymał, czekając po prostu na rozwój

wypadków. Gdzieś tam przez moment mignął mu Osiłek, potem Drapieżnik wyciągający bagaże, wreszcie Dziwka zagarnęła uwagę swym świńskim śmiechem.

Po pojawieniu się samochodu na ogarniętych wrzawą placu i trawniku zrobiło się jeszcze głośniej, jeszcze gwarniej, było więc na co patrzeć, było czego się uczyć. Zwłaszcza tego, jak wszyscy zachowywali się wobec Drapieżnika – znowu kichnął, tym razem zupełnie nie wiedząc czemu – ani największego, ani najgłośniejszego, a mimo to w jakiś sposób przywódcy stada, wodza, kapitana. Piotruś, który sam nosił kiedyś te wszystkie tytuły, poczuł nagłe ukłucie ambicji. Zabranie tego okularnikowi nie powinno być wyzwaniem. W końcu nie każdy Drapieżnik to zaraz Hak!

Wtedy ją dostrzegł. Właściwie najpierw zauważył refleks światła na szybie otwieranego okna, ale zaraz potem zobaczył i ją, bo stała tam przez moment w bezruchu, zanim cofnęła się w głąb pokoju i zaczęła rozbierać.

Poczuł narastające podniecenie. Znał to uczucie od zawsze, ale dopiero piraci nauczyli go, że tak właśnie powinien je nazywać. Powiedzieli mu też, co należy z nim robić, i to zarówno gdy jest sam, jak i gdy ma w pobliżu kogoś, kto może mu w tym pomóc. Tak, odkrył prawdziwą nową przygodę, gdy nauczyli go dymać, pieprzyć, rżnąć, pierdolić i jeszcze dostrzegać, na czym polega różnica między tymi czynnościami. W zamian Piotruś dał im Tygrysią Lilię, córkę wodza Indian, gdy już z nią skończył. Gdy do niej przyszedł pewnej nocy, oddała mu to wszystko w jednej chwili i z uśmiechem. Była dlań cudowna i chętna, zachowywała się, jakby długo na to czekała, więc po wszystkim uznał, że to było wspaniałe i będzie stanowiło uczciwą wymianę z kamratami. Nie zamierzał wszak karmić ich ochłapami.

Tak, podniecenie. Sięgnął jedną ręką do płóciennych spodni, wsunął ją pod materiał i tak zamarł, bo nagle dostrzegł, że do pokoju ktoś wchodzi. Osiłek.

Blond chłopak wśliznął się po cichu do pomieszczenia, a potem, korzystając z momentu, gdy dziewczyna zaplątała się w zdejmowaną właśnie bluzkę i nie mogła go zobaczyć, podszedł do niej, złapał za usta, a zaraz potem rzucił na łóżko tak, że podniecające, krągłe pośladki wyprężyły się zachęcająco. Chłopak

błyskawicznie opuścił spodenki i wszedł w Piękną z gwałtownością i ogniem, tym samym, który rozpalał teraz pochodnię w spodniach Piotrusia. Pan miał wrażenie, że zaraz zajmie się od niej materiał i cały stanie w płomieniach. Czuł, że wszystko w nim pulsuje: skronie, nadgarstki, kutas i nawet te cieniutkie żyłki koło kostek u nóg.

Wiedział, że nie wytrzyma tak dłużej, ale zamiast sobie ulżyć, podniósł się, wyprostował, ugiął kolana i skoczył na drzewo obok, a potem na następne, z którego po gałęzi przebiegł na dach domku. Nagle w jego głowie zrodziła się bowiem myśl, że dziewczyna wcale tego nie chce, że Osiłek wziął ją wbrew jej woli, a wtedy wystarczy, że on, Piotruś, uratuje ją, jak ratował do tej pory każdą swoją Wendy.

Pośliznął się na obluzowanej dachówce, ale płynnie opadł na palce wyprężone niczym u sprintera przygotowanego do biegu i bez trudu utrzymał równowagę. Wyszczerzył się do samego siebie.

Nigdy nie oczekiwał za to takiej wdzięczności, na jaką miał nadzieję dzisiaj, ale pewnie gdyby chciał, żadna by mu nie odmówiła. Był przeklętym Piotrusiem Panem, poszukiwaczem przygód, indiańskim wodzem, kapitanem piratów i hersztem Zagubionych Chłopców. I zawsze, prędzej czy później, dostawał to, czego chciał.

Niemal bezgłośnie dobiegł do wyglądającego trochę jak oko okienka wiodącego na strych, odruchowo zajrzał w nie i w środku dostrzegł coś, co uznał za warte krótkiego przystanku. Odgiął się więc i pięścią uderzył w stare drewno okiennej ramy. Odskoczyła z cichym trzaskiem, a Piotruś sprawnie, gładko niczym wąż wśliznął się do środka.

* * *

Wysunął się w ostatniej chwili i z cichym jękiem spuścił jej na pośladek. Nie znosiła tego, ale nigdy nic na ten temat nie mówiła, bo gdzieś w głębi serca czuła, że robi to nade wszystko z troski i odpowiedzialności. Teoretycznie brała pigułki, ale cóż, sama sobie nie ufała w tym względzie, a prezerwatyw nie znosili oboje.

Tym razem także wzdrygnęła się tylko, po czym pozwoliła, by dyszący osunął się na bok i wtedy, na pozór po to, by się w niego wtulić, wytarła pośladek o jego brzuch.

– Myślałam, że zamknęłam – powiedziała.

Roześmiał się.

– Bo zamknęłaś. Tylko zostawiłaś klucz od zewnątrz, a że wiedziałem, po co tu idziesz…

– No tak.

Przetoczyła się po łóżku, gdy spróbował ją objąć, przygnieść swą ciężką umięśnioną łapą, a potem, by zamaskować intencjonalność tego ruchu, przeciągnęła się, jakby o to jej właśnie chodziło i po prostu nie zauważyła jego, ha, ha, oznaki czułości. Tak naprawdę nie znosiła tego całego miętolenia się po seksie. Udawania, że naprawdę chodziło o coś więcej niż to, co właśnie się skończyło, a czego efektem był lepki glut na jej dupie.

– A jak impreza? Dzieje się coś?

– Jeszcze nie – odparł – ale zaraz się zacznie, dosłownie za parę minut.

Obejrzała się na niego, marszcząc czoło.

– Skąd wiesz?

Znowu się zaśmiał.

– Gdy wchodziłem tu do ciebie, ci goście od obsługi, widziałaś ich?

Przypomniała sobie kolesi w dżinsach zgromadzonych wokół grilla i pokiwała głową.

– No więc Michał właśnie kazał im przynieść cydr – powiedział Janek, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ale nie wyjaśniało.

– No i…?

Westchnął, jakby właśnie rozmawiał z największą idiotką na świecie. Sięgnął ręką do jej piersi, pogładził, ścisnął sutek.

– Wiesz, co to jest wesołek? – zapytał.

Pytanie było głupie, zważywszy na to, że kiedyś razem go brali. Choć w sumie był już wtedy solidnie pijany, ona nie. Teraz usiadła, wyraźnie oburzona.

– Chcesz powiedzieć, że ten cydr jest…

Pokiwał głową, ręką sunąc od piersi, po linii żeber, po brzuchu. Wsunął palec wskazujący w jej pępek.

– Dasz im z pięć minut po pierwszym toaście, a zrobi się tam w chuj wesoło – stwierdził. – A biorąc pod uwagę, że wesołek osłabia też wolę i opory, to mam wrażenie, że paru prawiczków wreszcie dzisiaj zarucha.

Szarpnęła się gwałtownie, odtrącając jego rękę i posyłając mu spojrzenie pełne pogardy i obrzydzenia.

– To gwałt, głupi kutasie! – warknęła. – Ty i ten twój chory pojeb…

– Nie nazywaj go tak! – zareagował na to szybciej i ostrzej, niż się spodziewała.

Uważaj, dziewczyno, nie jesteś tu u siebie. W zasadzie, cholera, nigdzie nie jesteś u siebie, ale tu tym bardziej. Coś w niej, coś głęboko w środku powiedziało jej, że właśnie tu przebiega granica, że jeśli tu ustąpi, nie podniesie się już nigdy. Dlatego, zamiast spuścić z tonu jeszcze bardziej, odsunęła się od niego, tyłkiem i piętami sunąc po pościeli, aż udało się jej spuścić nogi z łóżka.

– Będę go nazywała nawet gorzej, bo to jest, kurwa, chore i pojebane! – mówiła przy tym. – On jest chory i ty tym bardziej, skoro cię to tak bawi! Jesteś… Auu, puszczaj!

Jego ręka, która wystrzeliła jak z procy, zacisnęła się boleśnie wokół jej ramienia, gdy spróbowała wstać. Kaśka spróbowała się wyrwać, ale wiedziała, że to bezcelowe, że nie zrobi już nic.

Janek tymczasem przysunął się do niej, a jego oczy płonęły wściekłością. To nie były oczy jej faceta, to spojrzenie kogoś zupełnie obcego, stwora, który czasem budził się na wezwanie tego pojebanego okularnika. Kogoś, z kim nie dawało się rozmawiać. Przed kim należało uciekać.

– Puść!

Chciała, by to zabrzmiało stanowczo, ale ból odebrał jej godność, sprawił, że jedynie pisnęła.

– Ani myślę – odparł.

Potem pociągnął ją do siebie. Jego fioletowa pała znowu sterczała, lśniąc teraz pozostałościami niedawnego wytrysku. Kolanem rozepchnął jej nogi, po czym wbił się w nią ostro,

gwałtownie i celowo boleśnie. Widziała nad sobą jego wściekłą twarz, rozdęte nozdrza, zaciśnięte zęby.

Czuła ból i bezsilność, a gdzieś z tyłu coś darło się w jej głowie głosem jej oprawcy: „To jest gwałt, ty głupia szmato, widzisz teraz różnicę? Widzisz, kurwa, różnicę?!”.

Tymczasem Janek wbijał się w nią raz za razem coraz mocniej, jakby sam był młotem, a jego kutas przecinakiem żłobiącym szczelinę w ścianie jej niewdzięczności, jej babskiej, kurwa, bezczelności. Tak to zapewne widział i w głowie Kaśki przez łzy upokorzenia, ból, bezsilność i ten przeklęty głos zaczęło się przebijać pytanie: czy Janek na pewno jest sobą? A może dostał już narkotyk i źle na niego podziałał? Może to wszystko, co się z nim teraz dzieje, to wola tego okularnika? Przecież Janek, jej Janek, nigdy nie był taki, a teraz…

– Szukałaś zwady, nie? – sapnął jej oprawca, czy raczej wycedził, bo zaciśnięte zęby nie rozsunęły się nawet na milimetr; mimo to drobinki śliny zdołały się jakoś przedrzeć i trysnęły jej na twarz. – Szukałaś, odkąd zobaczyłaś tego zjeba na autostopie. Takich oszołomów lubisz, co? Te jebane, nigdy niemyte kudły, szmaty zamiast ciuchów. Pierdolony rasta hipis czy inny chuj.

Każdemu słowu towarzyszyło pchnięcie i wybuch bólu. Każdemu towarzyszyły kolejne łzy jakby wyciśnięte z niej jego brutalnością. Nienawidziła się za nie, nienawidziła chyba bardziej, niż teraz jego. Nienawidziła za pierdoloną, kurwa, bezsilność.

– Dałabyś mu, gdyby mnie tam nie było, nie? W jednej chwili, bo jesteś jeszcze większą kurwą niż ta dziwka Betsy. Dobrze mówił Michał, ale nie chciałem słuchać. Dobrze, że…

– A, tu się ukryłeś! – rozległ się nagle rozbawiony głos od strony okna.

Janek i Kaśka, gwałcący i gwałcona, oprawca i jego ofiara, równocześnie spojrzeli w tamtym kierunku…

* * *

Luby dotarł pod klinikę, ale chwilę zajęło mu znalezienie miejsca parkingowego. Bardzo przydałby mu się papieros, zważywszy na to, co czuł za sprawą tych wszystkich wrażeń, które odczuwał teraz Piotruś, a on dostawał jakże przyjemnym rykoszetem, lecz jednak go sobie odpuścił i szybko udał się w stronę głównego wejścia.

Tym razem nie miał ze sobą teczki z butami na zmianę, więc wygrzebał z kieszeni drobne i kupił w automacie wściekle niebieskie foliowe nakładki. Naciągnął je na półbuty i przez chwilę świetnie się bawił, szurając nogą o nogę, a potem obiema stopami o podłogę. Pacjentce, która zareagowała na to zdziwieniem, pokazał język. W końcu wsiadł do windy i pojechał na górę.

Już na właściwym piętrze skierował kroki do dyżurki pielęgniarek. Szczerze rozbawiła go Martyna, która z miejsca zaczerwieniła się na jego widok. Minęło już tyle czasu od tamtego popołudnia w ambulatorium, ale, jak widać, stara miłość, czy też raczej pożądanie, nie rdzewieje, nieważne, ile w trakcie wyprodukowały wilgoci. Przywitał się uprzejmie i miło, po czym zapytał o Krasowskiego.

– Jest u profesora – odparła równie uprzejmie, acz chłodno.

Przez moment zastanawiał się, czy jej nie rozgrzać, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że nie ma to sensu. Czas na zabawę dopiero przyjdzie, a na razie… ma ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Pożegnał się i ruszył korytarzem w stronę profesorskiego gabinetu. Szedł z przymkniętymi oczami, jakby marzył albo śnił na jawie. Gdzieś w środku czuł echa narastającego podniecenia. Choć nie, echa to niewłaściwe słowo. Cienie.

Zachichotał, a potem zanucił pierwszą piosenkę, jaka przyszła mu na myśl – efekt wierszokleckiej fazy Piotrusia:

Cienia pilnuj, pilnuj Cienia,
Bacz, bo się łapserdak zmienia.
Raz jest mały, raz jest duży,
Och, jak tym potrafi wkurzyć!

Cienia pilnuj, pilnuj Cienia,

Strzeż go czujnie, bez wytchnienia,
Bo inaczej, drogi panie,
Cień ci zniknie niespodzianie!

Dostrzegł, że drzwi na końcu korytarza otworzyły się nagle i z pomieszczenia wyszli nich profesor i terapeuta Dzwoneczka. Ten drugi dostrzegł Lubego i pomachał. Grzegorz odpowiedział mu tym samym gestem i przyspieszył. Och, jaką straszną miał teraz ochotę udać, że jest na śmiesznych niebieskich łyżwach.

* * *

Piotruś siedział na parapecie. Kucał na czubkach palców, ale jakimś cudem utrzymywał równowagę. Nie przeciążały go ani włosy, ani trzymany w ręku mały, strażacki toporek, do niedawna wbity w słup podtrzymujący strychowy strop. Wyglądał niczym postać z bajki, która zaledwie przed ułamkiem sekundy była ptakiem i którą ktoś właśnie przemienił w człowieka. Uśmiechał się jednak zupełnie nie jak ptak. W niektórych bajkach w ten sposób robiły to koty.

Albo lwy, pomyślała Kaśka, przypominając sobie słowa Betsy. Tyle że ten tutaj nie był lwem, lecz dzikim gepardem, może pumą, był…

– Ty! – sapnął Janek i gwałtownie zsunął się z płaczącej dziewczyny.

Wykorzystała to natychmiast, odczołgując się na krawędź łóżka i łapiąc dostrzeżone kątem oka szorty.

Janek tymczasem wstał, podciągnął spodenki, a potem na przemian zaciskał i rozwierał pięści. Rzuciłby się na intruza, ale powstrzymywał go widok toporka. Dlatego tylko dyszał ciężko.

– Polazłeś za nami, co, pojebie? – wycharczał. – Ta kurwa coś ci powiedziała, dała znak i przylazłeś za nią aż z drogi. Szmat lasu, ale chuj nie sługa, nie, pierdolony brudasie?

Piotruś patrzył przez chwilę na Janka, po czym posłał Kaśce rozbawione spojrzenie. Wzruszył ramionami, jakby chciał ją zapytać: „O czym on w ogóle mówi?”.

To przeważyło szalę. Wściekłość wzięła górę nad strachem i Janek postąpił krok do przodu, międląc pod nosem:

– Czekaj no, chuj…

Nie dokończył, bo nagle Piotruś poruszył się, zamachnął, jakby łapał równowagę, a potem toporek ze świstem przeciął powietrze. Rzucony z niebywałą jak na okoliczności siłą gładko wszedł w twarz Janka, odrobinę ześlizgując się z nosa i rozłupując lewą kość policzkową. Rozległ się dźwięk, jakby nie do końca napompowana piłka uderzyła o żwir – jednocześnie chrupnięcie, plaśnięcie i tępy łomot.

Wszystko potoczyło się na tyle szybko, że w pierwszym momencie Kaśka nie zorientowała się nawet, co zaszło. Nie zorientowała się także w chwili, gdy jej chłopak wycharczał coś nagle niezrozumiale, a potem powoli, niezdarnie sięgnął rękami ku głowie. Zatoczył się i odwrócił, jego zalana krwią twarz ze sterczącym z niej toporkiem i z wybałuszonymi oczami zdającymi się pytać: „Co się właśnie stało?” – a może rzucającymi oskarżycielskie: „To twoja wina, dziwko” – zwróciła się w jej stronę. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że właśnie patrzy na trupa. Jeszcze podrygującego, tańczącego swój spazmatyczny, ostatni taniec, ale bez wątpienia trupa. Natychmiast stłumiła krzyk, dociskając dłonie do ust.

Janek wykonał ruch, jakby chciał zrobić krok do przodu, w czym jednak wyraźnie przeszkadzało mu łóżko. Mimo to podjął ten wysiłek jeszcze raz i ponownie, niczym postać z gry komputerowej, która potrafi wszystko, tylko nie wskakiwać na murki sięgające jej do połowy łydki. Kaśka grała kiedyś w taką grę i właśnie teraz, w tych okolicznościach ją sobie przypomniała. Patrzyła na swojego wykrwawiającego się chłopaka. Nie, ty idiotko, gwałciciela! Dupka, który właśnie cię zgwałcił! Patrzyła na toporek między jego oczami, na strumień krwi rozbijający się o katarakty ust i myślała o grze komputerowej.

Piotruś zeskoczył z parapetu i zgrabnym, niemal tanecznym krokiem podszedł do Janka. Szarpnął go za tył koszulki, a gdy ten klapnął na tyłek, stanął nad nim i oburącz złapał za trzonek toporka. Odwrócił się do Kaśki i uśmiechnął chłopięco. Tak, to ten uśmiech dorośli często brali za niewinny.

– Przepraszam, jeśli zdążył zrobić ci krzywdę – powiedział.

Szarpnął za toporek. Zgrzyt kości trącej o metal sprawił, że Kaśce zawartość żołądka podeszła do gardła. Zwymiotowała przez palce.

– Fuuuj! – Piotruś skrzywił się z niesmakiem. – I ja miałbym cię w tej chwili pocałować w rękę? Niedoczekanie!

Wytarł toporek o pościel, a potem pchnął Janka na ziemię, by ten mógł, rzężąc i charcząc, po prostu umrzeć. Wtedy właśnie dostrzegł, że jego płócienne spodnie są całe we krwi.

– Do diaska – zaklął.

Ściągnął spodnie gwałtownym ruchem, a potem odwrócił się do Kaśki.

– Czy masz może… Ej, nikt ci nie powiedział, że to niełądnie się gapić?!

Było w tym zdaniu tak autentyczne oburzenie, że mimowolnie oderwała wzrok od jego sterczącego penisa – narzędzia kolejnego upokorzenia, jeśli zaraz się nie ruszysz, głupia krowo, jeśli zaraz czegoś nie zrobisz – i spojrzała mu w oczy. Co dziwne, nie dostrzegła w nich zamiaru zrobienia jej krzywdy. Nie zauważyła, by chciał, nawet jeśli jego sterczący kutas twierdził coś innego, dokończyć na niej Jankowego dzieła.

– Przepraszam – bąknęła wciąż przez palce.

Zorientowała się, że wciąż ma je przed sobą, odsunęła je od ust i wytarła o poduszkę.

– Nie chciałam… – dodała. – Gapić się, znaczy.

Wzruszył ramionami.

– W porządku – stwierdził rezolutnie. – I nie pomyliłem się: on robił ci krzywdę?

Już miała powiedzieć, że nie, nie pomylił się, ale nagle coś, może ta jego pogodność, może szczera troska przebrzmiewająca w jego głosie, skłoniło ją do pytania:

– A co, jeśli nie robił?

Rozłożył ręce w bezradnym geście, ale wciąż z tym samym uśmiechem.

– Wówczas przeproszę – odparł. – Nie jestem z tych, którzy nie potrafią przyznać się do błędu, moja piękna.

Naprawdę, naprawdę nie miała teraz pojęcia, czy mówi poważnie, czy to tylko okrutny żart. Kim on, do diabła, jest? I co zamierza?!

Przynajmniej na to drugie pytanie odpowiedź padła szybko.

– Nie mogę tu długo zostać, bo to się zawsze źle kończy – powiedział. – Zabrałbym cię zaraz ze sobą, ale nie umiem już latać, a poza tym… poza tym ten tutaj – kopnął truchło – sprawił, że mam ochotę porozmawiać z tym drugim twoim kolegą. Bo może się nie znam, ale coś mi się zdaje, że to taki mąciwoda… Jebany… Jebany mąciwoda.

Delektował się tym słownym zlepkiem; mlasnął, jakby naprawdę sprawdzał jego smak. Kaśka zdumiała się, że nie może powstrzymać cisnącego się jej na twarz uśmiechu. Coś było w tym chłopaku… Wariacie! – krzyczał głos w jej głowie. – Mordercy! … że nie mogła się od tego powstrzymać. No i jeszcze teraz mówił o Michale, jakby go znał.

Wbrew wszystkiemu, co uważała w życiu za ważne, wbrew strachowi i obrzydzeniu na myśl o wykrwawiającym się Janku – gwałcicielu, pierdolonym gwałci… Och, zamknij się wreszcie! Wbrew dawnej, zlęknionej, a może zobojętniałej sobie zsunęła się teraz z łóżka i powoli wciągnęła szorty.

– Jeśli chcesz zejść na dół – powiedziała – to uważaj, bo Michał to strasznie niebezpieczny człowiek. Wszystkim swoim gościom podał narkotyki, które sprawiają, że…

Przyłożył topór do ust i delikatnie pokręcił głową.

– Ciii, Wendy – szepnął. – Nie psuj zabawy.

Potem wytarł brudne od krwi stopy w prześcieradło i podszedł do drzwi.

– Zaczekasz tu na mnie? – zapytał.

Ku własnemu zdumieniu pokręciła głową, a potem zrobiła w jego stronę parę niepewnych kroków. Krocze paliło ją żywym ogniem, który z każdą chwilą rozpalał jej wściekłość. Na Janka za to, co właśnie zrobił, na Michała za to, do czego doprowadził. Na tych wszystkich ludzi na dole, bo to ich bierność i służalczość dały okularnikowi taką właśnie moc. Ona była taka sama, ale ten czas już minął.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

A potem z odmętów pamięci wyłoniło się jego imię, to, którym przedstawił się w samochodzie.

– Piotrusiu – dodała.

* * *

Dwadzieścia drewnianych skrzynek po dwanaście trzystutrzydziestomililitrowych butelek. Każda z nich okapslowana, z banderolą, każda z etykietą przedstawiającą ładną, biuściastą dziewczynę w stroju ludowym trzymającą dwa dorodne zielone jabłka na wysokości piersi. Tandetne hasło pod obrazkiem głosiło: „Gdy masz smak na dorodne jabłuszka”.

Napój zwał się po staropolsku jabłecznikiem, nie jakimś tam cydrem, ale Michał łaskawie pozwalał wszystkim na ten rażący błąd, bo przecież nie to miało znaczenia. Liczyło się to, co można zmienić, na co można wpłynąć. Czasem, gdy masz przed oczyma większy cel, nie warto bić się o pierdoły.

Obrócił butelkę, potrząsnął, by sprawdzić, czy na dnie znalazł się podejrzany biały osad. Ale nie, wszystko wyglądało normalnie, chłopcy spisali się znakomicie nie tylko z grillem, lecz także wcześniej z kapslownicą. Zasłużyli na premię, więc zdecydował, że oprócz Betsy da im jeszcze którąś. Sami zadecydują, wszak gdy to wypiją, wszystkie będą chętne i gotowe.

Jak to pisał Aleister Crowley: „Czyń wedle swej woli będzie całym Prawem”, pomyślał Michał, poprawiając okulary i odwracając butelkę, by raz jeszcze spojrzeć na etykietę. Dziewczyna uśmiechała się do niego znad dorodnych jabłuszek, tych prawdziwych i tych metaforycznych. Uśmiechała się dużo ładniej niż wtedy, gdy ojciec zaproponował jej ekstra pieniądze za zajęcie się Michałem. Wtedy grymas był uprzejmy i sztuczny, a jęki – udawane. Wkurwiło go to i gdy już się spuścił, miał ochotę ją uderzyć. Więcej, miał ochotę sprać ją na, ha, ha, kwaśne jabłko!

Zamiast tego jednak zamazał swoją twarz na nagranym potajemnie filmie z tych igraszek i czekał. Kiedyś dziwka znajdzie

sobie męża, kiedyś dorobi się dzieci, a te dzieci pójdą do szkoły. Wtedy dostaną najcenniejszą lekcję od mamusi: bierzesz za coś pieniądze, to rób to, kurwa, dobrze. Albo licz się z konsekwencjami.

Michał uśmiechnął się, a potem wsunął butelkę do skrzynki i skinął na jednego z chłopaków, by wzięli się do roboty. Zbliżał się czas pierwszego toastu. Za dobrą zabawę. Za niezapomniane doświadczenia.

„Tyle jesteś wart, na ile cię sprawdzono", mówiła kolejna z ulubionych Michałowych mądrości. Miał cały notes zadań, sprawdzianów, po dwa na każdego ze swoich gości. Na koniec zostawi sobie Janka i Kaśkę, bo dawno już chciał zobaczyć, jak tych dwoje się parzy. Raz nawet zaproponował to blondynowi mimochodem, ale tamten wziął to za żart. Albo przynajmniej miał nadzieję, że to żart. Michał nie wyprowadził go z błędu. Nie było potrzeby, nie śpieszyło mu się.

* * *

Było ich łącznie około czterdzieściorga, nie licząc chłopców od ojca. Michał wpadł na pomysł, by nazwać ich dzisiaj swoimi pretorianami, i coraz bardziej mu się podobało to nawiązanie do rzymskiego imperium. Szczególnie w kontekście tego, co zaplanował na nabliższy czas.

Każdy ze zgromadzonych trzymał teraz butelkę z jabłecznikiem. Wszystkie były otwarte, ale żadna nienapoczęta. Goście czekali, aż gospodarz wzniesie toast. Dziewczyny w nieskromnie skromnych bikini, chłopcy w szortach i tylko w nich, prężący gładkie lub owłosione klaty, imponujący kratownicami mięśni albo śmieszący balonami opasłych brzuszysk. W klapkach, sandałach, boso. Z burgerami, hot dogami, karkówką w dwóch pajdach chleba, kolbami kukurydzy ociekającymi stopionym masłem. Podrygujący nerwowo i stojący spokojnie. Milczący, szepczący i otwarcie rozgadani. Uśmiechnięci, rozbawieni i czekający na ten przeklęty toast, by mogli wreszcie zacząć się bawić, najlepiej z dala od gospodarza, który każdego z nich przyprawiał o gęsią skórkę.

Jeszcze chwila, pomyślał Michał. Najpierw cesarzowi, co cesarskie. Wzniósł swoją butelkę, jedyną z zawartością nieskażoną narkotykiem. Otworzył usta i… zauważył, że nigdzie nie ma Janka i Kaśki. Westchnął i pokręcił głową z rozbawieniem. Doprawdy, jakby nie mogli chwilkę poczekać.

– Michale, zaczynaj! – rozległo się głośniej.

Jak się okazało, zawołał grubawy Robert z kretyńskim wąsem noszonym w wyniku przegranego zakładu z kolegami z pracy. Tak naprawdę wcale go nie przegrał, ale był wtedy na tyle pijany, że dzień później dał sobie to wmówić i uniósł się honorem.

– Bo cydr się grzeje, a woda i dziewczyny stygną!

– Dla ciebie nie mogą być już bardziej lodowate! – odkrzyknęła mu rudowłosa Aśka.

Była równie śliczna co zadziorna, czym dość dobrze maskowała wrodzoną nieśmiałość i chorobliwy wręcz, a dotąd nierozszyfrowany lęk przed seksem. Swym okrzykiem wywołała ogólną wesołość.

– Mogą być lodowate! – odgryzł się Robert, przekrzykując śmiechy. – To od robienia lodów, nie?

Dziewczyna odruchowo przygryzła wargę i nawet jeśli miała jakąś odpowiedź, nie rzuciła jej w porę, a tym samym bez cienia wątpliwości przegrała starcie. Ktoś jeszcze dorzucił swój żarcik, a Robert pozdrowił go ruchem butelki, jakby doń przepijał.

Michał przyglądał się temu z uśmiechem. W końcu uznał, że wystarczy, i uniósł butelkę wyżej.

– Nie ma co dużo gadać, moi drodzy – powiedział donośnie. – Wasi starzy zasuwają teraz dla mojego ojca, a wy bawicie się u mnie na najlepszej imprezie, jaką możecie sobie wyobrazić. Już niedługo role mogą się odwrócić i to wy będziecie pracować dla mnie, a banda staruchów z obwisłymi fiutami i babek z cyckami po kolana będzie tu balować zaproszona przez dziada na wózku z podpiętą butlą tlenu.

Powiódł wzrokiem po nieco skonsternowanych twarzach i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tak wygląda jebany krąg życia. Zamiast się krzywić, drodzy, wypijmy za to, że dzisiaj to my jesteśmy górą. Pierdolić resztę! Zdrowie!

– Zdrowie! – odkrzyknęli i szyjki butelek powędrowały do ust.

– Do dna, ekipa! – wołał Michał. – Kto zostawi choć kroplę, wylatuje z kolejki do przyszłych atrakcji!

Tego nikt nie chciał, nawet mimo tego, że nie mieli pojęcia, o jakich atrakcjach mowa. Dlatego pili do dna, traktując to jak zabawę, wyzwanie. Nie tak znowu trudne, bo jabłecznik – czy też cydr, pal go licho – naprawdę smakował jak najlepsze dorodne jabłuszka. Smakował jak owoce z drzewa poznania dobra i zła. Skosztujcie, a wiele się o sobie dowiecie.

I ja przy was, pomyślał Michał.

Włączył stoper.

* * *

Szedł dwa stopnie przed nią i nie obejrzał sie ani razu, odkąd opuścilli sypialnię. Gdyby chciała, mogłaby złapać za coś i przyrżnąć w ten jego kudłaty łeb, nawet by się nie zorientował, co się stało, zanim stoczyłby się po schodach. Tylko co by jej to dało? Wszyscy, a w pierwszej kolejności oczywiście Michał, obwinialiby ją o śmierć Janka, bo to przecież ona ściągnęła tu autostopowicza. Nawet jeśli wcale tego nie zrobiła. Ileż to razy słyszała wcześniej o dziewczynach prowokujących mimowolnie a to ubiorem, a to gestem czy nieopatrznie rzuconym słowem. Niczym chodzące butelki seksualnej nitrogliceryny – nigdy nie wiesz, gdy pierdolnie i zmusi Bogu ducha winnego faceta, by zamienił się w obrzydliwe, perwersyjne zwierzę.

Ta myśl przywołała widok dyszącego nad nią Janka, co z kolei wycisnęło jej z oczu łzy wściekłości. W tym momencie cieszyła się, że skurwiel zdechł, żałowała tylko, że nie ona wbiła mu ten toporek w twarz.

Piotruś przystanął na przedostatnim stopniu i wtedy po raz pierwszy się odwrócił. Jak wcześniej, przyłożył broń do ust, nakazując jej ciszę, po czym powoli ruszył na palcach w stronę drzwi wyjściowych. Wciąż z wysokości czwartego stopnia przyglądała mu

się, gdy przywarł do ściany i zerknął przez okno, a potem złapał za klamkę.

Z zewnątrz dochodziły ich teraz coraz głośniejsze, coraz liczniejsze śmiechy. Znak, że narkotyk podany imprezowiczom zaczynał działać.

– Nadal chcesz iść ze mną, Wendy? – zapytał półgłosem Piotruś.

Z rozmysłem pokiwała głową. I wtedy uderzyła ją absurdalna myśl, którą wypowiedziała, nim zdążyła się zastanowić.

– Ale naprawdę zamierzasz wyjść tam nago?!

Wzruszył ramionami.

– Nie mam się czego wstydzić – stwierdził. – No i co zrobią, wyśmieją mnie?

Nie była w stanie się powstrzymać i parsknęła śmiechem. Dołączył po krótkiej chwili do tej wesołości. Wyciągnął rękę w jej stronę.

– No chodź – ponaglił.

Podbiegła więc, a on otworzył drzwi, po czym ujął jej dłoń. Razem wyszli na ganek.

* * *

Emil, który stał najbliżej ganku, uznał ich za najzabawniejszy widok na świecie. A gdy on coś takiego twierdził, to znaczyło całkiem sporo, bo ten średniej postury chłopak z brodą jak prezydent Lincoln i blizną na górnej wardze po operacji redukującej skutki rozszczepienia podniebienia, był prawdziwym mistrzem kawałów. W szkole to on podkładał na krzesła małe woreczki barwy drewna zawierające sztuczną krew. Wystarczyło, że któraś na takim usiadła, i już był ubaw dla całej szkoły do ostatniej lekcji. Potem, gdy podrósł, kupował marihuanę w małych woreczkach tylko po to, by podrzucać ją do plecaków kolegom, gdy przychodzili policjanci z psem. Dodawał gówna do nutelli – tylko odrobinę, ot, z papieru, którym się podtarł; kanapki nie mogły przecież śmierdzieć – a spermy do sosu czosnkowego zrzutkowej pizzy. Potem, gdy inni jedli, on zaczynał temat legend miejskich i zawsze ktoś przytaczał tę z nasieniem

w sosie od kebabów. Emil każdorazowo zarykiwał się wtedy, jakby to był najlepszy dowcip w życiu. Bo i w sumie był lepszy nawet niż te numery podpowiadane mu czasem przez Michała, jedynego człowieka, który wiedział, kto stoi za tymi wszystkimi żartami, a także za szkolnym satyrycznym magazynem „Rzygowina” o objętości czterech stron b5, powielanym w urzędzie miejskim, gdy pracująca tam mama Emila była czymś zajęta. Najlepszy, najzabawniejszy numer świata. Do dzisiaj. Do tej dwójki stojącej teraz na ganku. Ona w biustonoszu i szortach, on z mopem na głowie i dyndającą wcale nie tak znowu okazałą fujarą. Czy na to mu był ten toporek w ręce? By grzmotnąć się w fiuta tępą stroną, aż spuchnie?

Emil aż się popluł z tej wesołości.

– Patrzcie! – zawołał. – Patrzcie na tych zjebów!

Wtedy rzeczywiście wszyscy spojrzeli w ich stronę i okazało się, że ten dowcip jest jeszcze lepszy, niż się wydawał, bo inni nareszcie się na nim poznali i też ryknęli śmiechem. Para bawiła wszystkich. No, prawie, ale Emil ze swojego miejsca, kilka schodków od Kaśki, nie widział ani miny Michała, ani tych gości od grilla i noszenia skrzynek. Nie miał pojęcia, że okularnik nazywa ich pretorianami, ale gdyby się dowiedział, uznałby to za wyjekurwabiście komiczne. Pretorianie. Miał kiedyś taką grę.

Chłopak z mopem na głowie puścił rękę dziewczyny i postąpił krok do przodu. Słońce lśniło na jego złotawej skórze, rozświetlało włosy i bródkę, łypało promieniami na dyndającego pindola. Zboczone Słońce! Zboczone, zboczoniuchne. A przecież wszyscy wiedzą, że Słońce nigdy nie dochodzi. Ha, ha, ha!

Człowiek-mop (ha, ha!) zrobił kolejny krok i wtedy znikąd na ziemi rozciągnął się jego cień – długi, rozedrgany, jakby żyjący własnym życiem. Poruszył cienistymi rękami, choć mopowaty nie poruszył swoimi, a potem zwinął się nieco, zrolował, by pokazać pozostawiony na ziemi napis. Stojąca najbliżej Gośka zgięła się w pół, by z bliska przyjrzeć się literom. Zrobiła to zgrabnie, bo była trzecia na zawodach z gimnastyki, ale coś było nie tak z jej strojem i teraz dół zsunął się nieco, tak że Emil dojrzał rowek między jej pośladkami. Mało nie udławił się łzami rozbawienia.

– Pa… pa…

Próbował powiedzieć „patrzcie”, ale z powodu okropnego bólu przepony mógł jedynie jąkać się tak, jakby się żegnał. I to rozbawiło wszystkich pozostałych do tego stopnia, że dosłownie popadali na ziemię. Wili się i skręcali.

Pan Mop, a może Mopet, jak te pojebane włochate pacynki – Emil uznał, że faktycznie pasuje, bo chłopak wyglądał trochę jak lew – odepchnął wciąż wypiętą Gośkę. Mrużyła na przemian to jedno, to znów drugie oko, jakby do kogoś mrugała, ponieważ litery jej się rozmywały i nie mogła przeczytać słów nakreślonych przez cień. Emil mógł, co stwierdził z niejaką dumą, ale słowa te również wydały mu się śmieszne jak nic przedtem. Mówiły: „Wsparcie w drodze, poczekaj”.

Wtedy pan Mopet odwrócił się i spojrzał na Kaśkę.

– Lubisz tu kogoś?

– Ją – pokazała na Betsy turlającą się w trawie jak świnia w błocie.

Jezusie na bambusie, to dopiero było śmieszne! Emil aż padł na kolana i zwymiotował z uciechy.

* * *

– O, pan Luby. – Profesor Maślecki uśmiechnął się na widok zmierzającego w jego stronę biznesmena. – Właśnie rozmawialiśmy o panu.

Stojący obok niego Krasowski, krótko przystrzyżony blondyn wyglądający stanowczo za młodo, by mógł być kimś więcej niż tylko studentem, uniósł rękę w geście powitania.

– Nie spodziewaliśmy się pana tak szybko – stwierdził. – Ale to dobrze, bo w takim razie jest szansa, że Matylda wyjdzie jeszcze dzisiaj.

Luby błyskawicznie przeniósł wzrok na profesora, by dostrzec jego pierwszą reakcję. Od niej, od tego niekontrolowanego odruchu uzależniał własne stanowisko w tej rozmowie. Jemu bowiem było całkiem obojętne, czy zabierze Dzwoneczka już dziś, czy w przyszłym tygodniu. Byleby była w miejscu, gdzie łatwo ją znaleźć,

gdy Piotruś postanowi wykończyć zdrajczynię. Klinika była niemal tak bezpieczna jak dom, który jej stworzył na obrzeżach Miasteczka.

Ale profesor nie uniósł górnej wargi i nie odsłonił na ułamek sekundy zębów, co mogłoby sugerować złość, nie uniósł brwi na znak zdziwienia, nie rozchylił ust, jakby w pierwszej chwili chciał zaprotestować. Wszystko w jego postawie sprawiało wrażenie, że zgadza się z pomysłem zabrania Matyldy Blaszki vel Mathildy Davies nieznanej w zasadzie nikomu jako Dzwoneczek do jej fałszywego domu i zmyślonego życia. A skoro tak, to i on, Grzegorz Luby, najkłamliwszy z jej biznesowych partnerów, ani myślał sądzić inaczej. Zaraz zabierze ją na drugi zjazd na prawo od głównej i prosto aż do Piotrusiowej zemsty.

– Nie mógłbym być szczęśliwszy – stwierdził na głos, i choć wydało mu się to zaraz zbyt ckliwe, uznał, że mu wybaczą.

Rzeczywiście, obaj mężczyźni, a właściwie starszy pan i chłopiec, spojrzeli na siebie z minami, jakby właśnie zrobili coś naprawdę dobrego. Potem profesor zaprosił ich do gabinetu, gdzie, jak zapewnił, zajmie się przygotowaniem dokumentów i innych spraw formalnych.

W chwili, gdy Luby już miał przekroczyć próg, zatrzymał się, cofnął o krok i przymknąwszy oczy, zaczął machać palcem, jakby pisał w powietrzu.

– Co się stało, panie Luby? – zapytał Krasowski, wyraźnie zaniepokojony.

Profesor dotknął ramienia biznesmena, ale tamten nie zareagował.

– Panie Luby, co się…

Wtedy się otrząsnął. Opuścił palec, kiwnął głową, jakby się na coś zgadzał, zamrugał gwałtownie kilka razy.

– Co? Ach, coś mi się przypomniało i musiałem zanotować w pamięci, to taka metoda, pewnie panowie wiecie, wyobrażenie sobie miejsca, gdzie składuję informacje, by…

– Pałac pamięci – roześmiał się Krasowski. – Tak, panie Luby, to mnemotechnika. Byłem na odpowiednich studiach, wie pan?

Nie, nie byłeś, pomyślał Luby z rozbawieniem, a wszystko, co na ten temat wiesz, osobiście wsadziłem ci do tej durnej blond główki.

Na głos jednak odpowiedział:

– Faktycznie, przepraszam. Czasem ekscytuję się czymś i zapominam, że dla innych to niekoniecznie nowość. Tak samo miałem z pierwszym smartfonem.

Zdał sobie sprawę, że jego palec jest brudny z ziemi, więc dyskretnie wytarł go o nogawkę i przekroczył próg gabinetu.

Miał nadzieję, że Piotruś sobie poradzi, bo że nie posłucha sugestii zawartej w notce, to akurat było pewne. Luby za mocno czuł jego ekscytację na myśl o przygodzie i nowych bliznach. Od tego nie było już odwrotu.

* * *

Michał nie zorientował się w pierwszej chwili, że coś idzie nie po jego myśli. Gdy tylko narkotyk zaczął działać, gdy wokoło rozległy się pierwsze zbyt głośne, wybuchowe śmiechy, zlecił swoim pretorianom, by mieli oko na wszystko wokoło, i ruszył po trawie w stronę pomostu, gdzie po toaście udało się najwięcej dziewczyn. Słodkie ślicznotki w swych wyuzdanych namiastkach kostiumów były w większości drobniutkie, więc i głowy miały słabe. Przynajmniej w założeniu, bo przecież zdarzały się wyjątki. Ta kurwa, matka Betsy, dla której na chwilę zwariował jego ojciec, mogła chlać całą noc, a potem jeszcze odprowadzała ojca do łóżka, wyłączała światła w całym domu i dopiero szła się myć. A przecież była chuda i mała; jej tłusta córeczka mogłaby w sobie pomieścić ze dwie, jeśli nie trzy takie jak ona. Michał jednak wciąż uważał macochę za wyjątek i sytuacja, do której właśnie doprowadził, miała również, poza wszystkim innym, potwierdzić i tę teorię. Wszystko w imię nauki!

Stanął na początku pomostu, wziął się pod boki i upatrywał pierwszej ofiary, czy może raczej obiektu badań. Wokoło narastały śmiechy, w jego polu widzenia ktoś zrobił fikołka, ktoś inny usiadł na trawie i zaczął wyrywać z ziemi pojedyncze źdźbła, a potem przyglądać im się z taką uwagą, jakby sprawdzał banknoty na okoliczność ewentualnego fałszerstwa. Ktoś gdzieś dalej usiłował śpiewać, ale własne wysiłki przyjmował z dużą dawką autokrytyki,

parskając co drugie słowo, przez co nie dało się zorientować, co właściwie usiłuje z siebie wydusić.

Michał postąpił kolejny krok do przodu. Najbliżej niego siedziała na kocu Agata o długich, nienaturalnie czarnych włosach, cudownie wielkich, brązowych oczach i ślicznych, obfitych piersiach. Miała może parę kilogramów za dużo, obnażony brzuch i uda, zwłaszcza w obecnej półleżącej pozycji nie prezentowały się tak dobrze, jak by mogły, gdyby choć trochę się za siebie wzięła, ale Michał potrafił być wyrozumiały dla drobnych niedoskonałości. Gdyby nie to, dopiero czułby się samotny.

Przykucnął więc przy Agacie i sięgnął jej rozpuszczonych włosów, przepuszczając kilka czarnych nitek między palcami niczym rolnik sprawdzający kłosy zboża. Zdarzało mu się kiedyś fantazjować, że owija sobie te włosy wokół nadgarstka, biorąc dziewczynę od tyłu, że szarpie za nie, by przyciągnąć do siebie jej głowę, jakby zmuszał do zatrzymania się niesforną klacz. Gdy się zastanowić, mógłby ziścić tę wizję już dawno temu, wystarczyłoby, żeby zszedł do piwnicy, wyciągnął odpowiednią teczkę i pokazał, co mogłyby zrobić zgromadzone przez niego świstki z jej wymarzoną karierą psycholożki na którymś z zachodnich uniwersytetów. Czy oddałaby się za coś takiego? Michał nie miał wątpliwości.

Teraz jednak nie potrzebował nawet tego, widział to w jej lekko przymglonym spojrzeniu, w tym błogim uśmiechu, jakże odmiennym od ryku tych baranów wokoło.

– O, cześć, Michałku – powiedziała z tym właśnie słodkim grymasem na twarzy.

Choć nie lubił, gdy ktokolwiek zdrabniał jego imię, również pozwolił kącikom ust unieść się nieco.

– Cześć, Agata.

Przemknął koniuszkiem suchego języka po nagle spierzchniętych wargach. Nie dlatego, że był podniecony, o nie. Chodziło o eksperyment i jego powodzenie. Opadł z przykucnięcia na kolana i lekko przechylił głowę na bok niczym zdziwiona sroka.

– Pokażesz mi swoje cycuszki?

Zaśmiała się, ale raczej nie z niego. Ot, nagle wydało jej się to po prostu zabawne. Jej koleżanki, foki prężące się w słońcu na

drewnianym pomoście, podchwyciły ten śmiech i zaczęły huczeć, kwilić i porykiwać po swojemu. Echo poniosło to rozbawienie po jeziorze.

– A czemu bym miała? – zapytała Agata.

Bo tego chcę, pomyślał Michał.

– Bo to będzie zabawne – powiedział na głos.

Zawahała się, ale zaraz parsknęła cicho i odgarnęła włosy, by sięgnąć do sznureczka na karku. Zaraz potem uwolniła dwie nabrzmiałe półkule; biel zakrytej dotąd skóry odcinała się wyraźnie od opalonych fragmentów, ale także, a nawet dużo bardziej, od ciemnych niemal jak jej oczy obramówek sterczących sutków.

Michał wyciągnął do nich rękę, ale zanim dotknął, zapytał:

– Mogę?

To też było dla niej niezwykle zabawne.

– Jasne!

Więc dotknął. Musnął, najpierw trąc delikatnie wnętrzem dłoni w górę i w dół, potem pochwycił między kciuk a palec wskazujący jak wcześniej włosy. Ścisnął.

Któraś z fok leżących obok – Michałowi lekko łzawiły teraz oczy i nie widział dokładnie która, a z resztą jakie to miało znaczenie – zwróciła uwagę na tę scenę. Zareagowała – a jakże! – śmiechem, jednocześnie uznając, że rzeczywiście zdjęcie góry kostiumu to pomysł zabawny jak szlag. Poszła więc w ślady Agaty i również uwolniła swoje piersi, małe, szpiczaste i zadarte w górę jak nosy zarozumiałych bliźniaków. Jakaś inna zawołała, że to wspaniały pomysł. Któryś z chłopaków dostrzegł, co się święci, i zawołał paru kumpli.

Michał natomiast bawił się piersiami Agaty, drugą ręką powoli sunąc w dół po jej brzuchu, wokół pępka i po odznaczającej się na czarno linii drobnych włosków wiodących prosto w głąb skąpych majteczek. To ich dotyczyło następne pytanie Michała, w zasadzie bardzo podobne do pierwszego…

Już nawet otwierał usta, by je zadać, gdy nagle usłyszał:

– Patrzcie! Patrzcie na tych zjebów!

Sam nie wiedział, dlaczego zareagował akurat na te słowa. Coś, najpewniej instynkt, który przecież przez tyle lat go nie zawiódł, kazał

mu to zrobić, kazał wybrać ten krzyk spośród wielu innych podobnych i na niego zareagować.

Ścisnął więc mocniej, bo ze złością, pierś dziewczyny i podniósł się z kolan.

– Zaraz wracam – mruknął bardziej do siebie niż do niej i ruszył w stronę domu.

Wystarczyły dwa kroki, by zorientował się, co się stało i o kogo chodziło krzyczącemu. Na schodkach ganku stała Kaśka, a obok niej niedawny autostopowicz. Nagi i z toporkiem w ręce. Wbrew pozorom, wbrew wszelkim, kurwa, jebanym pozorom, nawet dwie tony wciągniętego nosem wesołka nie sprawiłyby, że Michał uznałby tę sytuację za śmieszną.

Rozejrzał się, szukając swoich pretorian. Dostrzegł, że jeden z nich, ten z włosami zaczesanymi do tyłu i przetrąconym nosem, również wodzi oczami po ludziach. Pewien, że to on właśnie jest poszukiwany, Michał skupił na nim spojrzenie i zamarł w bezruchu. Taki właśnie nieruchomy obiekt na polu pełnym wijących się, naćpanych przygłupów najbardziej zwracał uwagę, więc po chwili pretorianin patrzył już na swego cesarza, pytająco unosząc brwi. Michał skinął głową. Tak, załatwcie go. Chciał dodać do tego gest opuszczonego w dół kciuka, ale uznał, że może on być niezrozumiały dla wioskowego osiłka, a poza tym chyba wcale nie był potrzebny. Krzywonosy poruszył się delikatnie, szepnął coś przez ledwie rozchylone usta do zebranych wkoło kolegów.

– Pa… pa… – zawołał ten sam głos, teraz jednak trudny do rozpoznania, bo śmiech zmienił go w zasapany falset.

Michał zobaczył, że przed nagusem stanęła chyba Gośka i się wypięła. W pierwszej chwili mogło to wyglądać, jakby się oddawała lub chociaż prowokowała, ale nie, ona po prostu dostrzegła coś na ziemi. Coś, co zauważył i golas, bo podszedł do dziewczyny, odsunął ją na bok i również zerknął w dół.

Co to mogło być? – zaciekawił się Michał. Co mogło być tak interesującego, że w całej tej pojebanej sytuacji zwróciło na siebie uwagę? Myśl dręczyła go jak ukąszenie komara, ale nie odważył się zbliżyć przez wzgląd na toporek. Dredowaty był z pewnością

wariatem. Co innego robiłby tutaj nagi i z bronią? Ale co w tym wszystkim robiła Kaśka? Gdzie, kurwa mać, jest Janek?!

– Lubisz tu kogoś? – zapytał golas Kaśkę.

– Ją – odparła i wskazła Betsy.

Betsy, tę dziwkę, której nawet wesołek nie był potrzebny, by uznać, że obsłużenie wszystkich jego pretorian na przemian ustami, cyckami i tłustą dupą to najzabawniejszy i przy okazji najlepszy pomysł na świecie.

No i jeszcze to pytanie. Nie: kogo lubi najbardziej, ale kogo w ogóle. I tylko jedna odpowiedź. Michał się nie łudził, wiedział, że Kaśka go nie lubi – nie dał jej nigdy powodu, dla którego by miała go darzyć sympatią – ale to, że odpowiedziała szczerze, ona, taka zahukana, milcząca i kalkulująca po cichu, jak wyrwać się z tej matni, z tej sieci Michałowych wpływów, było naprawdę niepokojące. Jakby wierzyła, że niedawny autostopowicz może coś zmienić w jej życiu.

Michał zerknął na swoich pretorian, którzy całkiem mądrze ruszyli przed siebie powoli i w dużych odstępach między sobą. Złamany Nos miał w ręku długi ząbkowany nóż; trzymał go ostrzem wzdłuż ręki. Jego kompani po lewej – chudy, żylasty łysol i brzydal z bandaną Marlboro złapali długi, dwuzębowy widelec do mięsa i wygięty pręt zbrojeniowy. Brodaty grubasek po prawej niósł dłuższe, wąskie drewniane polano, a przypominający stracha na wróble narkoman z wytrzeszczem wiecznie załzawionych oczu bez skrępowania dzierżył w ręku tasak.

Wszyscy w piątkę sunęli powoli, jakby grali w jedną z tych dziecięcych zabaw typu „Baba Jaga patrzy”, gdzie nie mogłeś się poruszać, gdy patrzył na ciebie prowadzący. Jeśli choć drgnąłeś, wypadałeś z gry.

Michał drgnął.

– Ej, ty, czterooki – zawołał nagle golas.

Patrzył wprost na niego. Nawet ocienił ręką oczy, by mimo słońca lepiej się mu przyjrzeć.

– Ty tu rządzisz, nie?

Michał przełknął ślinę. Nie dlatego, że się bał, bo wcale nie. Był jednak wściekły, a to również mogło wydusić z niego niechciane,

piskliwe tony, zaś subtelna, dla większości pewnie niedostrzegalna różnica między głosem strachu a głosem gniewu mogłaby podważyć w tym momencie jego autorytet. O ile ktokolwiek z zarykujących się ze śmiechu ludzi w ogóle zwróciłby na to uwagę, rzecz jasna. Ale zawsze mógł się znaleźć taki ktoś…

– Chciałem powiedzieć, że trochę ci zabiłem kolegę, ale to on pierwszy zaczął – kontynuował golas. – Znaczy nie zabijać, ale… nie zachował się jak dżentelmen wobec tej damy.

Wskazał kciukiem stojącą za nim Kaśkę, a potem zmarszczył czoło.

– Wiecie tutaj, co to dżentelmen, nie? – zapytał.

Co najdziwniejsze, Michałowi wydało się, że to całkiem szczerze zadane pytanie, bez drwiny czy złośliwości. Naprawdę chciał wiedzieć.

Pretorianie przebyli już większość drogi i właściwie w każdej chwili mogli być gotowi do ataku.

Michał jeszcze raz przełknął ślinę, ale gdy już się odezwał, i tak brzmiał nieco ochryple.

– Podwieźliśmy cię, byliśmy dla ciebie mili. To chyba świadczy, że wiemy, prawda?

Golas przyłożył rękę z toporkiem do podbródka, jakby zamierzał się nim ogolić albo poderżnąć sobie nim gardło. Poklepał się jednak tylko w policzek i skinął głową.

– To prawda. Ale ten twój kolega przestał nim być, więc go zabiłem. Czy to dla ciebie w porządku?

Nie, pierdolnięty pojebie, to nie w porządku, pomyślał Michał, ale jednocześnie skinął głową z rozmysłem.

– Myślę, że nie mnie to oceniać. Ale póki co… TERAZ!

Nie musiał krzyczeć, zrobiliby to i tak, ale nie mógł się powstrzymać. Chciał mieć w tym ataku swój udział, a ponieważ był za daleko i nie zdążył rozejrzeć się za bronią, w jego gestii pozostało jedynie wydanie tego rozkazu. W końcu to wodzowie zwyciężają bitwy, nawet gdy tylko stoją na wzgórzu…

Dlatego krzyknął i niemal w tym samym momencie w stronę golasa poleciało drewniane polano. Gdy ten cudem się uchylił, by go uniknąć, z trzech stron rzucili się na niego uzbrojeni pretorianie.

* * *

Kaśka wciąż się wahała. Stała na tym przeklętym schodku, patrzyła na zasłonięte dredami plecy i zupełnie odsłonięty tyłek tego tajemniczego, trochę dzikiego chłopaka – Piotrusia, poprawiła się – i nie mogła się zdecydować, czy jest tu teraz z nim, czy może powinna coś zrobić. Facet miał w ręku toporek, którym chwilę temu zarąbał Janka, i ta myśl wciąż odbijała się echem w jej głowie, powodowała, że kolana jej drżały, a żółć wyrywała się z żołądka. Teraz zapytał ją, kogo lubi, jakby chciał dodać: bo wszyscy inni zginą. A ona nie chciała, by ktoś, ktokolwiek jeszcze dzisiaj umarł. Nie chciała raz jeszcze usłyszeć paskudnego dźwięku jak ten, gdy tłuczek do mięsa trafia w kotlecie na resztkę kostki, nie chciała zobaczyć kolejnej rozłupanej czaszki…

Ale wtedy Piotruś się odezwał. Zorientowała się, do kogo mówi, i stwierdziła, że od tych wszystkich myśli jest jeden wyjątek. Był ktoś, kogo chętnie widziałaby martwego. Michał. Przeklęty drań, który ućpał wszystkich swoich znajomych wyłącznie dla własnej uciechy i satysfakcji.

Z wysokości swojego schodka dobrze widziała pomost, a na nim dziewczyny topless. Co do dwóch Kaśka była pewna, że same z siebie nie pokazałyby publicznie piersi, a biorąc pod uwagę kierunek, z którego właśnie zmierzał Michał… Urosło w niej obrzydzenie większe nawet niż to, które czuła do wcale nie tak znowu świętej pamięci Janka. W jakiejkolwiek przemocy seksualnej chodzi o władzę – słyszała o tym kiedyś na jakimś wykładzie. Janek próbował w ten paskudny sposób odzyskać resztki kontroli nad sytuacją i nad nią. Michał robił to, bo mógł.

Dlatego obserwowanie tej sceny, dialogu toczącego się pośród rozbawionej do bólu brzucha publiki, sprawiało, że mimo wszystkich okoliczności coraz mocniej opowiadała się po stronie Piotrusia. Bo on rzucał Michałowi wyzwanie. I kto wie, może uda mu się pokazać temu pierdolonemu okularnikowi, że…

W tym momencie kątem oka dostrzegła ruch, a potem nadlatujące polano, które śmignęło tuż obok uchylającego się

nagusa. Zaraz potem uderzyło o schodki, odbiło się od nich, przekręcając się w powietrzu, i upadło na ganek. Ułamek sekundy później goście w dżinsach, najwyraźniej wolni od narkotyku, bo śmiertelnie poważni, z wyrazem zaciętości na twarzach rzucili się do ataku. Nie tak, jak zwykle na filmach – zrobili to równocześnie i z trzech stron.

Wiedziona odruchem rozsądku Kaśka stłumiła ostrzegawczy okrzyk.

* * *

– TERAZ! – krzyknął nie taki znowu Drapieżnik.

Polano śmignęło Piotrusiowi tuż przed twarzą, ale zanim je zobaczył, usłyszał, jak nadlatuje, więc po prostu odchylił i zrobił mu miejsce. Przeniósł ciężar na prawą nogę, minimalnie przykucnął i opuścił rękę z toporkiem.

Kuchenny nóż prześliznął się ząbkowanym ostrzem po jego włosach, za co w natychmiastowym rewanżu grzmotnął napastnika tępą stroną toporka w bok kolana. Mocno, mocniej, niż można by przypuszczać; facet poleciał na bok podcięty jak młode drzewko.

Piotruś tymczasem wyprostował się, obrócił w palcach trzonek toporka i poczekał, aż chudzielec znajdujący się teraz przed nim spróbuje go dźgnąć widelcem. Jak można było przypuszczać, napastnik chciał wykorzystać do tego swój pęd i przez to był jak rozjuszony byk. Dla wprawnego matadora ominięcie jego dwóch wąsko ustawionych rogów nie było żadnym wyzwaniem. Piotruś miał się za takiego właśnie, więc tylko usunął się na bok w zgrabnym piruecie. Nie zmarnował jednak okazji i przeciągnął ostrzem toporka po pachwinie napastnika. Trysnęła krew tętnicza, a facet był martwy, zanim na dobre wytracił impet. Podobnie jak jego kolega, który sekundę później zamachnął się na Piotrusia prętem zbrojeniowym.

Golas pochwycił pręt w locie. Jego dłoń była niczym ściana – oręż w jednej chwili wytracił cały impet, a wibracja pomknęła niewidzialną błyskawicą po przedramieniu Brzydala. Zaraz potem między sylabami „Malr” i „boro” pojawiła się przerwa, a czerwień

z bandany spłynęła na kostropatą twarz. Toporek został już w głowie, Piotruś miał bowiem nową zabawkę…

…z której o mało co nigdy by nie skorzystał, bowiem w tym samym momencie nieomal sięgnął go opuszczony na jego plecy tasak. Broń jednak, ku zaskoczeniu atakującego, ugrzęzła w dziwnej, czarnej mgle, która w jednej chwili wystrzeliła od stóp golasa i na ułamek sekundy przemieniła się w postać jakby w całości odlaną z czarnego lateksu. Widmo przyjęło na siebie cios, ostrze rozcięło mu ramię i na moment oddzieliło je od reszty ciała. Ale to była tylko sekunda, bo już w następnej postać z cichym „puff” znowu była gęstą, czarną mgłą. Z jej kłębów wystrzelił nagle pręt i wdarł się gwałtem prosto w rozdziawione usta pretorianina. Chrupnęło, a zaraz potem rozległ się cichy brzdęk, gdy upuszczony tasak uderzył o jakiś kamień.

Piotruś puścił pręt i bardzo powoli odwrócił się w stronę ostatniego z napastników, który dotąd trzymał się z daleka. Zacisnął pięści i uniósł je w czymś pomiędzy gardą a jej parodią. Zamachał nimi, jakby uderzał niewidzialną bokserską gruszkę.

– Bijemy się dalej? – zapytał.

Napastnik rozejrzał się wokoło. Spojrzał najpierw na dogorywających kumpli, potem na te wszystkie rozbawione, rozdziawione gęby studenciaków i innej dzieciarni. Teraz już się nie śmiali w głos, tylko przyglądali w tępym, zaślinionym zachwycie. Popatrzył na okularnika, który ich wynajął, na jego pałającą wściekłością i strachem twarz. Wreszcie znowu odwrócił wzrok w stronę golasa.

– A mogę nie?

Nagus wzruszył ramionami, wyraźnie rozbawiony pytaniem.

– Zawsze możesz, to jest właśnie fajne, nie?

– To nie – zadecydował brodaty grubasek.

– Co nie?

– Nie bijemy się – uściślił.

Piotruś opuścił ręce.

Nagle rozległ się ryk. Z początku cichy niczym pomruk nadchodzącej burzy, potem coraz głośniejszy, wreszcie przemienił

się w kilkanaście, a może więcej ciężkich, czarnych motocykli, które wyłoniły się zza zakrętu leśnej drogi.

Ich przyjazd wywołał aplauz i głośne owacje, a Piotruś przechylił głowę z wyraźnym zdziwieniem, po czym, uważnie przyglądając się przyjezdnym, ruszył powoli w ich kierunku.

Motocykle ustawiły się w podkowę. Siedzący na nich odziani w skóry mężczyźni, zatrzymawszy się, opuszczali podpórki, które gładko zagłębiały się w ziemię. Nie zsiadali.

– To chyba o was pisał, nie? – zapytał głośno Piotruś.

Podszedł do maszyny znajdującej się w samym środku półkola. Była z nich wszystkich największa, w czerni i purpurze, bez ornamentów, za to z odsłoniętym silnikiem. Siedzący na niej łysy albinos o oczach czerwonych jak płomień odbity w kropli świeżej krwi zmierzył golasa wzrokiem, po czym powoli, z rozmysłem skinął głową.

– A co dokładnie macie tu zrobić?

Albinos wyciągnął z kieszeni pomiętą paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, wsunął do ust, odpalił od zdobionej zapalniczki. Potem zaciągnął się, wypuścił kłąb dymu i dopiero wtedy odpowiedział:

– Nie mam bladego pojęcia. Masz jakieś pomysły… szefie?

– No, na początek dokończę tu sprawy z takim jednym, bo trochę się panoszy, a potem… – Przerwał i zmrużył oczy. – Czekaj, jak mnie nazwałeś?

Albinos milczał przez dłuższą chwilę, uważnie wpatrując się w rozmówcę. Wreszcie kolejny raz zaciągnął się papierosem i zapytał:

– To żart, prawda? Pytam, bo nie jestem w tym specjalnie dobry. A jazda Skrótem tym bardziej nie poprawia mi humoru.

Jakby wbrew temu, co powiedział, kilku jego rosłych kompanów zarechotało, a to z kolei, niczym początek reakcji łańcuchowej, wywołało kolejną salwę śmiechu imprezowiczów. Albinos splunął na ziemię z pogardą.

– To co robimy? – zapytał.

Piotruś postąpił krok do przodu.

– Stalówka?

– Ej, przestań się tak zachowywać, bo pomyślę, że przejście na tę stronę źle ci jednak zrobiło, Wieczny Chłopcze. I dlaczego latasz nago? Co to, jebany terminator?

Piotruś nie mógł zrozumieć żartu, za to świetnie poszło to grubasowi w koszulce z napisem „Piwo ukształtowało to wspaniałe ciało”, bo parsknął i klepnął się w wielkie udo. Piotruś obejrzał się na niego, a potem wiedziony odruchem poszukał wzrokiem nowej Wendy.

Stała tam gdzie wcześniej, i trudno było wyczytać cokolwiek z jej miny. Piotruś pomachał do niej, a ona odpowiedziała podobnym, acz dalece bardziej niepewnym gestem. To w jakiś sposób odgoniło zdziwienie i przywróciło myślenie Piotrusia na wcześniejsze tory. Odwrócił się nagle i poszukał wzrokiem Michała. Trzeba było okularnikowi to przyznać – wciąż jeszcze nie uciekł. Odwaga czy głupota? Cóż, nigdy nie widział specjalnej różnicy.

– To nie było miłe, ci tutaj, wiesz? – powiedział Piotruś z udawanym wyrzutem. – Zabawne? Tak. Fajne w jakiś sposób. Ale na pewno nie było miłe. Mówiłeś wcześniej o tym, o byciu dla mnie miłym. Ale ty taki nie jesteś. Nie bywasz miły, czterooki, nie?

Rozejrzał się wokoło.

– Czy ktoś cię tu w ogóle lubi?

Parę rąk się podniosło. Dwóch towarzyszy grubasa ze śmieszną koszulką, jakiś krępy ciemny blondyn wsparty o podmurowanie ganku, jakby usiłował utrzymać budowlę w pionie, ze dwie dziewczyny na pomoście, w tym jedna o naprawdę ładnych piersiach. Piotruś zdał sobie jednak sprawę, że tak naprawdę obchodzi go zdanie tylko jednej osoby. Spojrzał na swoją nową Wendy.

– A ty, piękna? Ty go lubisz?

Wszyscy, łącznie z Michałem, spojrzeli teraz na nią. Mogła powiedzieć, co tylko chciała, wiedziała o tym doskonale. Mając wsparcie tego szalonego chłopaka i jego dzikiej bandy motocyklistów, mogła wykrzyczeć całą swoją złość i nienawiść, ubrać ją w najbardziej obelżywe słowa i rzucić w stronę Michała, wypluć je jak najohydniejszą flegmowatą plwocinę prosto w jego parszywą, zakłamaną gębę. Nawet jeśli w ten sposób miało się

okazać, że stawiając na tych nowych, zamiast znanego już zła wybierze nieznane, może nawet jeszcze większe – to co tam, niech będzie! Za okazję dowalenia temu skurwysynowi, w zemście za Betsy, klęczącą teraz na czworaka jak wyjątkowo tłusty psiak i chichoczącą z cicha, i za to, jak zmienił jej Janka w bezmózgiego gwałciciela, była gotowa na kolejne wielkie poświęcenia. Zdychaj, kurwa, pierdolony pojebie!

Gdy jednak się odezwała, jej głos był spokojny, pobrzmiewała w nim nawet delikatna nuta rozbawienia. Zstąpiła ze schodów i niespiesznie minęła Krzyśka, Waldka i Matka, szkolnych trzech muszkieterów. Minęła Gośkę, żartownisia Emila i przestąpiła nad pierwszym z ciał, nawet na nie nie zerkając. Wreszcie stanęła przed samym Piotrusiem i uśmiechnęła się smutno.

– Nie, Piotrusiu. Nie lubię go. Nic a nic.

Odwróciła się i choć stali przecież w pewnym oddaleniu, dostrzegła w oczach okularnika zrozumienie i idący za nim strach.

Właśnie usłyszał wydany na siebie wyrok.

* * *

– Wszystko w porządku, panie Luby?
– Tak, tak, już wychodzę – odparł.

Starał się brzmieć możliwie najbardziej naturalnie, co wcale nie było łatwe, bo w rzeczywistości ani trochę nie było w porządku. Ramię piekło go niemiłosiernie, z twarzy odpłynęła niemal cała krew, a nogi drżały tak, że nie był w stanie podnieść się z sedesu.

Gdybym naprawdę żył, to… już bym nie żył, pomyślał i parsknął. No tak, to było bardzo mądre. Jeszcze raz odetchnął głęboko.

W zasadzie miał, czy też mieli razem z Piotrusiem, dużo szczęścia. Po pierwsze, Luby pomyślał, by go jednak asekurować, a po drugie, profesor miał przy swoim gabinecie osobną łazienkę, co przecież wcale nie było takie oczywiste. Wreszcie, sama sytuacja, to, że jako Cień nie wyszedł z wprawy, a Wieczny Chłopiec nadal potrafił się z nim zgrać w potrzebie. Jak na pierwszy raz po tylu latach poszło całkiem nieźle…

– Tak – mruknął na głos, rozmasowując pulsujące bólem ramię. – Nieźle.

Wciągnął powietrze i znowu spróbował wstać. Udało się, więc spuścił wodę, a potem wymył ręce, opłukał twarz i kilka razy uderzył się otwartą dłonią w policzki. Przyjrzał się, jak jego odbicie nabiera kolorów, a potem przymknął oczy, by zorientować się w sytuacji tam, na odludziu.

Najwyraźniej było całkiem nieźle, bo na miejsce zajechał już Stalówka z ekipą, a to znaczyło, że zniknęło wszelkie niebezpieczeństwo. Stalówka za swoim Piotrusiem poszedłby w ogień i nie dałby mu zrobić krzywdy.

Luby roześmiał się i pokręcił głową. Och, biedny czerwonooki głąbie, gdybyś tylko pamiętał. Gdybyś pamiętał właściwie. Gdybyś nie zaufał kolejnemu małemu chłopcu…

Właściwie trochę żałował, że go tam nie ma. Że nie może tego spotkania obserwować na żywo, że nie może gryźć się w wewnętrzną stronę policzka, by nie wybuchnąć śmiechem na ten widok. Zaskoczony prezentem Piotruś i Stalówka pamiętający coś, co nigdy nie nastąpiło. Ach, urocze!

To, co miał do zrobienia tutaj, było jednak równie ważne, a myśl, co zrobi Piotruś i jak zareaguje, gdy Luby dopełni szczegółów i tego podarku, och, to dopiero będzie!

Wytarł twarz papierowym ręcznikiem, wrzucił go do kubła i wyszedł.

– Przepraszam, panowie. Naprawdę mi głupio – powiedział, dodając do tego odpowiednio skruszoną minę. – Musiałem zjeść wczoraj coś przeterminowanego, bo już od rana się na to zanosiło.

Profesor przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Nie jestem pewien, czy to niestrawność. Trzyma się pan za lewą rękę. Boli pana, drętwieje?

– Tak – Luby się roześmiał. – Ale to nie zawał, doktorze. Walnąłem się łokciem o pojemnik na ręczniki. Wie pan, trafiło w ten czuły punkt, co potem człowiek czuje, jakby go prąd kopnął.

– Rozumiem – powiedział profesor, ale jeszcze przez chwilę przyglądał się podejrzliwie, zanim w końcu wrócił do sprawdzania dokumentów.

Piętnaście minut później wszyscy trzej podjęli odpowiednie ustalenia i zgodnie doszli do wniosku, że rzeczywiście dla pacjentki najlepiej będzie, jeśli znajdzie się teraz w bezpiecznym, znajomym środowisku, co pomoże jej do reszty odzyskać pamięć i wrócić do tak zwanego normalnego życia. Krasowski poszedł przekazać pacjentce tę wspaniałą nowinę, a Luby został jeszcze, by dopełnić wszystkich formalności, w tym nade wszystko uregulować pozostałe do spłacenia rachunki.

Wreszcie zjawił się pod pokojem 1408, zapukał cichutko i wszedł.

Siedziała na łóżku ubrana w luźną jasnoszarą bluzkę odsłaniającą ramię, dżinsy i trampki. Umalowana była bardzo skromnie, ale starannie, w czym najpewniej pomogła jej ta pielęgniarka od zdjęć i ambulatorium. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się nieco niepewnie i z całą pewnością nienaturalnie. Co jednak zauważył, i stwierdził z prawdziwym zadowoleniem, nie było w tym grymasie jawnej niechęci. Cóż, widać nawet nieprawdziwy psycholog, gdy mocno w siebie wierzy, może dokonać prawdziwego cudu. W jej uśmiechu widać było maskowaną niepewność i to uczucie, gdy wiesz, że kogoś znasz, ale za diabła nie możesz sobie przypomnieć skąd. Rozumiał to i – ha, ha – nie miał żalu.

– Cześć – rzuciła.

Podrapał się w szyję.

– Cześć. Gotowa?

– Chyba tak. Za wiele to tutaj nie miałam.

Pokazała na niewielką podróżną torbę, którą jej przywiózł. Wszystkie rzeczy, jakie znajdowały się w środku, kupiono na jego zlecenie. Oczywiście o tym nie wiedziała.

– To dobrze, w takim razie chodźmy, bo… Co, o co chodzi?

Przygryzła wargę, przez co jej uśmiech zrobił się nieco zawstydzony.

– Słuchaj, wiem, że to głupie pytanie, ale jak ja właściwie na ciebie…

– Luby.

Roześmiała się.

– Naprawdę? I nie widziałam w tym żadnej dwuznaczności?

Znowu podrapał się w szyję, na moment uciekając spojrzeniem w bok. Zrozumiała.

– Widziałam?

– Chcesz teraz o tym rozmawiać?

– Nie, Jezu, przepraszam. Wiesz, czuję się trochę dziwnie dzisiaj i…

Nic dziwnego, że czujesz się dziwnie, pomyślał. Pranie mózgu z odmienionym Milczkiem doprawione chemiczno-magiczną mieszanką, jaką szprycowano cię tu codziennie bez niczyjej wiedzy. Może i byłaś na to wszystko odporna, słonko, jako wróżka, ale to wszystko siedziało w tobie, w twoim organizmie, czekając momentu, aż wypowiesz te przeklęte słowa. A potem ruszyło falą.

Zabiłaś dziś w sobie wróżkę, Dzwoneczku. Więc lepiej trzymaj się Matyldy Blaszki, bo, choć wymyślona, jest… jedynym, co ci zostało.

Podszedł do łóżka, usiadł przy niej i wziął jej dłoń w swoje ręce. W pierwszym odruchu chciała się wyrwać, ale się opanowała. Uśmiechnął się.

– Małymi kroczkami, Matyldo, dojdziesz do wszystkiego. I nie, nie byliśmy parą, jeśli to teraz gania ci po głowie. Ot, takie tam, między bliskimi, a do tego atrakcyjnymi przecież przyjaciółmi. Nie masz za co przepraszać, OK?

– OK – odparła z wahaniem.

– No właśnie. Zatem mały kroczek numer jeden. Jedziesz do domu, tam odpoczywasz parę dni, po czym przyjdzie pora na kroczek drugi…

…w którym przyjedzie Wieczny Chłopiec i zrobi z tobą, co zechce.

– Zgoda?

Powoli kiwnęła głową.

* * *

Wieczór był chłodny, bo trochę ciągnęło od jeziora. Wszyscy jednak dobrze się bawili. Motocykliści uprzątnęli zwłoki, po czym ułożyli je

na zbudowanym naprędce stosie. Gdy go podpalili, zajął się aż miło. Imprezowicze doprawieni kolejną porcją wesołego jabłecznika tańczyli wokoło coraz bardziej zwariowane i wyuzdane tańce, tracąc przy tym coraz więcej części garderoby. Najwyraźniej z każdą minutą lepiej się też bawili.

Ekipa Stalówki również dołączyła do imprezy, żaden jednak z jej członków nie zaprawił się wesołkiem, a co najwyżej zwykłym piwem czy ziołem. Cierpliwie odpowiadali dziewczynom, jak to jest czuć pęd we włosach i co oznacza godło na plecach ich kurtek – roztrzaskany zegar cebula – a potem odbierali za to nagrodę w pobliskich krzakach albo po prostu na kocu odrobinę dalej od ognia.

Sam albinos siedział na schodkach wiodących na werandę. W jednej dłoni trzymał dopalającego się papierosa, w drugiej niemal pustą butelkę piwa i przyglądał się wszystkiemu wokoło. Czekał cierpliwie. Piotruś wszak musiał się wyszaleć.

Gdy już skończy z tą dziewczyną, myślał, domkną sprawę okularnika i się zbiorą, zanim te dzieciaki ockną się na tyle, by zdać sobie sprawę, że przed chwilą piekli kiełbaski nad płonącymi ciałami. Zresztą chciał być już w bazie, tak bardzo chciał ją pokazać Wiecznemu Chłopcu, że nie mógł się już, cholera, doczekać.

Ale jeszcze… No właśnie, sprawa okularnika. Popatrzył na niego, przywiązanego do słupa, przywierającego doń pośladkami i drżącego z zimna. Był nagi, jeśli nie liczyć tych jego okularów, poza tym tu i tam troszkę nadwyrężony, po tym jak Piotruś urządził swym Chłopcom konkurs rzucania nożem do celu. Nie każdy trafiał perfekcyjnie, ale żaden na tyle źle, by zrobić okularnikowi porządną krzywdę. A potem, gdy się znudzili, tańczyli wokół niego i polewali go wodą i piwem.

– Masz przejebane, dzieciaku – mruknął Stalówka pod nosem. – Jak zresztą każdy, kto staje naprzeciw Piotrusia.

Dopił ostatni łyk odgazowanego już piwa i cisnął butelkę daleko w stronę jeziora.

* * *

Wbrew temu, co myślał Stalówka, nie spali właśnie ze sobą. Czy też raczej, jak pewnie ująłby to motocyklista, Piotruś nie dymał właśnie swojej Wendy. Choć musiała przyznać, było to dosyć mylące, gdy po tej całej zabawie wokół Michała, po tym, jak polanę rozświetliły płomienie stosu, a ludzie zaczęli tańczyć i pić więcej zaprawionego cydru, podszedł do niej i powiedział, że musi mu w czymś pomóc, i to najlepiej w chacie na piętrze. Naprawdę, sama by pewnie pomyślała, że chodzi o seks, gdyby nie widziała wtedy jego spojrzenia i miny, takiej… po dziecięcemu niewinnej. A potem wziął ją za rękę.

Teraz Kaśka patrzyła na Piotrusia, siedząc na łóżku w pokoju sąsiadującym z tym, gdzie na podłodze leżał martwy jej były chłopak. Z pewnym zaskoczeniem zauważyła, że przyjęła to jako prosty fakt, zupełnie nieporuszona. Patrzyła, jak przegrzebawszy uprzednio bagaże chyba wszystkich obecnych imprezowiczów, znalazł sobie wreszcie takie ubrania, które chciał na siebie włożyć. Były to brązowe sztruksy któregoś z podobnych mu posturą chłopaków oraz – i to było zabawne – jej bluzka, ewidentnie damska, za to z pryzmatem z okładki Floydów. Do tego skrócił swe groteskowo długie dredy, tak że obecnie sięgały zaledwie łopatek, podczas gdy ich resztki niczym węże wiły się u jego wciąż bosych stóp. Wszystko to w jakiś sposób mu pasowało, sprawiało, że myśl w głowie Kaśki, dziwaczna, zdumiewająca i zupełnie, zupełnie nie na miejscu, jeszcze się nasilała.

– Jak wyglądam? – zapytał, rozkładając ręce i powoli się przed nią obracając.

– Fantastycznie – odparła i faktycznie tak uważała. Ta myśl…

– No! – przystanął nagle i wziął się pod boki. – A co zrobimy z okularnikiem?

– Michałem?

– Aha. To drapieżnik i trzeba go… upolować. Polowałaś kiedyś na drapieżniki?

Pokręciła głową, a wtedy doskoczył do niej, przyklęknął i ujął za rękę.

– To chodź, pokażę ci, jak się to robi. To proste, uwolnimy go…

Gdy tylko poczuła znowu ciepło jego dłoni, myśl jeszcze bardziej przybrała na sile, aż stała się niemal pewnikiem.

– … a potem każemy biec i policzymy do dziesięciu, żeby było uczciwie. A wtedy…Ej, co rob…

Pochyliła się i pocałowała go.

A on nieco nieudolnie, ale przez to jeszcze bardziej uroczo, odwzajemnił ten pocałunek.

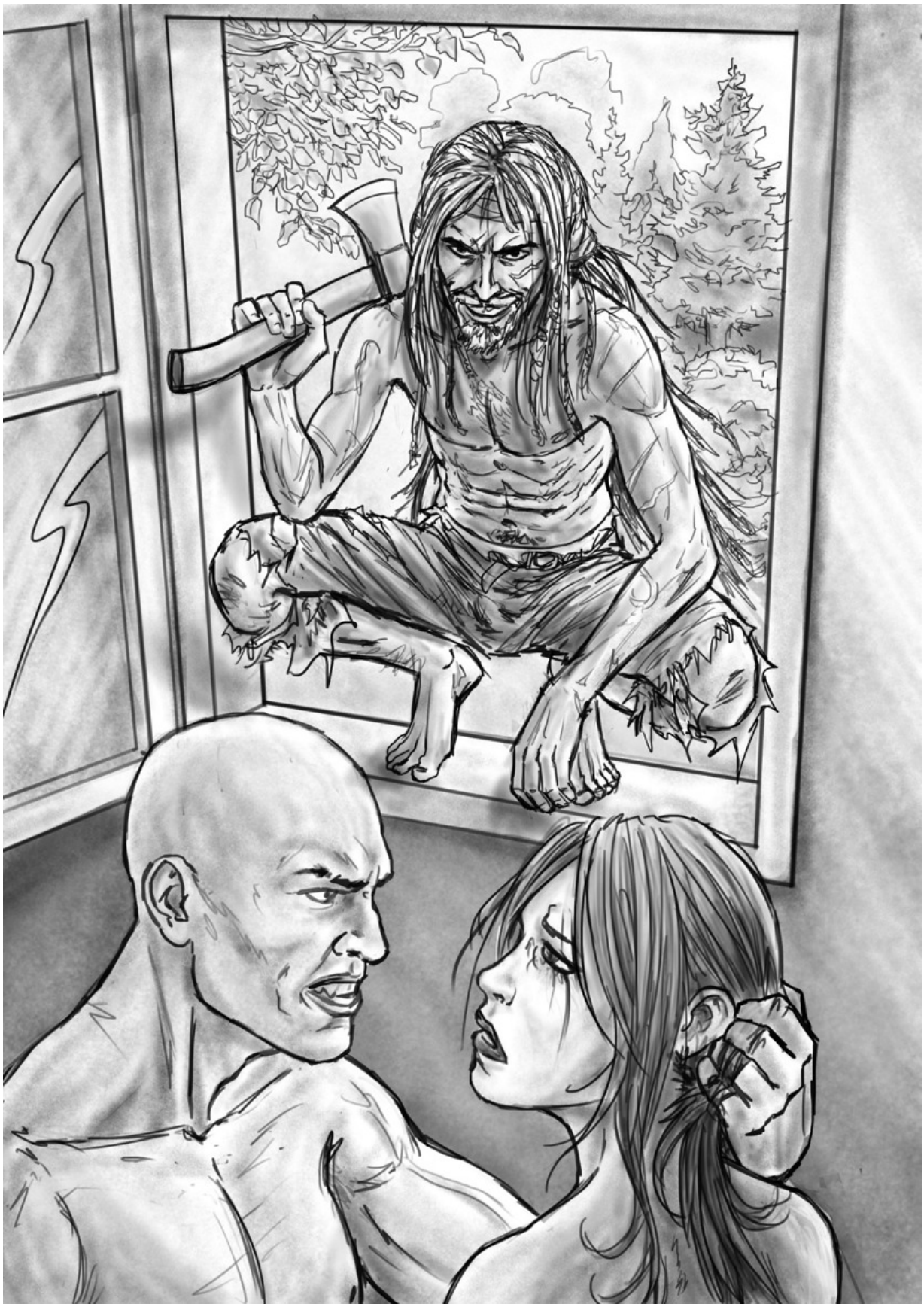

CZTERY

Kot leżał na drzewie i widział wszystko, samemu nie będąc widzianym przez nikogo. Zajął miejsce na najniższym konarze, w przekroju niemal dwukrotnie grubszym od niego, i w mimowolnym odruchu łowcy zgromadził wokół siebie wszystkie cienie i mroki, tak jak czasem robił to z poduszkami na kanapie. Każdy, kto teraz spojrzałby w stronę drzewa, dostrzegłby więc pewnie niewiele więcej niż cienistą narośl, chmurę, którą racjonalny umysł raz-dwa przerobiłby na jemiołę, by już więcej się tym nie kłopotać. Według Kota ludzkie umysły były tak leniwe, że odrobina ciekawości z pewnością zwyczajnie by je zabiła.

Nie ruszał się. Łebek trzymał na wyciągniętych prosto łapkach, ogon i czerwony krawat zwisały swobodnie obok konaru. Czasem mrugał, czasem oddychał. Czasem zapominał o jednym i drugim. Nudził się. Czekał. Wczorajsze spojrzenie w dziś powiedziało mu, że to właśnie ten dzień. Pokazało mu jego samego siedzącego tu właśnie, na tym drzewie, z łebkiem na łapkach, z ogonem i krawatem zwisającymi swobodnie obok konaru. Znudzonego, czekającego…

Gdyby chciał, mógłby to zmienić, Koty nie wierzą w proroctwa czy wizje ani nawet w to, co wolno czy trzeba – ale uznał, że to dobre miejsce, by zacząć, gdy się zacznie.

Czyli teraz.

Kot widział, jak pod dom podjeżdża samochód. Najpierw wysiadł z niego stwór bez ciała przebrany za człowieka, a zaraz potem ona. Kobieta, którą Kot szanował. Na którą czekał. Wyszła z samochodu o własnych siłach, poruszała się sprawnie, ale uważny obserwator – a takim z pewnością był Kot – bez trudu dostrzegał nerwowe tiki, zgarbienie, zmrużone oczy, jakby zaspane, ale wcale nie, po prostu

przywykające do nowej rzeczywistości. Była złamana, kaleka, pozbawiona woli życia w świecie, którego nie znała. Dla Kota było to niezrozumiałe – przywykł do przeżywania dziewięciu żywotów na różnych płaszczyznach czasu, w różnych rzeczywistościach – ale przyjmował, że tak właśnie jest z ludźmi i tymi trochę do nich podobnymi. Jedno życie naraz, od początku do końca, to i tak dla wielu z nich było zbyt dużo do ogarnięcia. A cóż dopiero taka zmiana…

Kobieta, którą Kot szanował, zapytała o coś stwora bez ciała przebranego za człowieka, a ten odpowiedział i objął ją ramieniem. Wzdrygnęła się tak lekko, że może nawet nie zauważył. A potem raz jeszcze powiodła wzrokiem po atrakcjach Lunaparku, w którym się znajdowała, po obręczy młyńskiego koła, po szczytach i zboczach kolejki górskiej, wieżach karuzeli, i dała się poprowadzić w stronę ganku. Po chwili oboje zniknęli w domu.

Kot czekał. Wiedział bowiem, że to jeszcze nie czas, póki stwór bez ciała przebrany za człowieka jest w środku. Nie żeby Kot się go bał, co to, to nie, ale przecież byłoby to wbrew zasadom tej gry, w którą właśnie się włączył. A gry, zwłaszcza jeśli wymagające, należało szanować. Zabijały nudę. Nie taką jak ta teraz, ale prawdziwą…

Wreszcie stwór bez ciała przebrany za człowieka wyszedł. Rozmawiał z kimś cicho, trzymał rękę przy uchu, jakby nie tylko trzymał w niej telefon, lecz także próbował zasłonić usta. Nie mógł jednak ukryć przed Kotem zadowolenia. To, co słyszał, wyraźnie go cieszyło. Potem wsiadł w samochód i odjechał.

Kot podniósł się, przeciągnął, wyprężył grzbiet. Zrobił nawet kilka kroków, ale potem zadarł łebek, by spojrzeć w niebo, i położył się znowu. Bo właściwie miał lepszy pomysł, choć ten wymagał poczekania jeszcze chwilę, aż kobieta, którą Kot szanował, zaśnie.

Wyciągnął więc łapki przed siebie i oparł na nich łebek. Cienie, które w chwili, gdy wstał, rozpierzchły się, teraz zbiegły się z powrotem wokół niego. Z daleka mógł wyglądać jak chmura, która uczepiła się gałęzi. Albo jemioła…

* * *

Łysy, czerwonooki przywódca motocyklistów nie był zadowolony, gdy się dowiedział, że Piotruś zamierza ją zabrać ze sobą. Oczywiście nic nie powiedział, ale Kasia – nie, Wendy, tak ją teraz nazywał i do tego powinna się zacząć przyzwyczajać, jeśli naprawdę zamierza się zdecydować na tę zmianę – widziała to w jego minie, widziała w sposobie, jaki przygryzł wargę. Takich jak ona nie zabiera się do domu. Z takimi kończy się na poddaszu i wychodzi, dopinając spodnie.

Ale Piotruś był inny. Brzmiało to cholernie naiwnie w ustach dziewczyny chwilę wcześniej zgwałconej przez faceta, którego znała od dziecka i miała nie tylko za swojego chłopaka, ale i w jakimś stopniu przyjaciela, ale cóż mogła poradzić, że tak właśnie czuła. Piotruś – morderca, szaleniec, a najwyraźniej też przywódca gangu motocyklowego – wobec niej zachowywał się jak… wrażliwy, niedoświadczony adorator. Teraz stał taki właśnie, chudy, żylasty, z tymi swoimi rozpuszczonymi dredami, w dżinsach i jej bluzce z pryzmatem Floydów odsłaniającej umięśnione ramię. Trzymał ją za rękę i z wysokości ganku spoglądał na zgromadzonych na polanie motocyklistów. Polecił odwiązanie Michała i przywiązanie go nago w poprzek jednego z motocykli niczym upolowaną sarnę. A potem zeszli po tych kilku drewnianych stopniach, bo Piotruś musiał wybrać sobie maszynę.

Nikt się nie odzywał, słychać było tylko śmiechy imprezowiczów przy ognisku, gasnących powoli zupełnie jak płomienie, i ciche pojękiwanie Michała. Aż wreszcie Piotruś przystanął naprzeciw klasycznego indiana należącego do umięśnionego, krępego chłopaka o śniadej skórze i bliźnie przecinającej kartoflowaty nos.

– Nada się? – zapytał, patrząc na Kaśkę.

Wzruszyła ramionami na znak, że się nie zna. Piotruś roześmiał się jak z najlepszego dowcipu.

– No tak, ja też nie wiem – powiedział. – Ostatni raz jeździłem na motocyklu, gdy… Nie, nie chcę cię przestraszyć, moja droga Wendy. W każdym razie było to dawno temu.

Podszedł bliżej i położył rękę na manetce, co dla kartoflowatego nosa stanowiło znak, że musi zejść i poszukać sobie innego środka transportu. Zrobił to posłusznie, choć z zauważalnym ociąganiem. Chudy drobiazg, drobniejszy nawet od Piotrusia strach na wróble w skórzanej kamizelce narzuconej na obciągnięty skórą szkielet, przysunął się nieco w stronę baku, dając znać, że jest gotowy na wzięcie plecaka. Kartoflowaty przyjął ten gest z wdzięcznością. Wspiął się na tylne siodło i złapał za uchwyty.

Piotruś wciągnął głęboko powietrze, wypuścił je, odchylając głowę do tyłu, po czym wskoczył na motocykl. Wyciągnął rękę do swojej Wendy.

Właśnie wtedy łysy czerwonooki zapytał, czy Piotruś zabiera ją ze sobą.

– Nie widać? – zdziwił się zapytany.

I była w tym głosie tak wyraźnie słyszalna zaczepka, że łysy nie odważył się kontynuować tematu. A może po prostu nie chciał?

Więc teraz jechali razem, ona i on, Piotruś i Wendy, pomiędzy innymi motocyklistami. Grupa stworzyła kolumnę po dwóch, jeden obok drugiego. Po ich lewej jechał Łysy i tak jakoś zerkał czasem, odwracał głowę minimalnie, by spojrzeć, ale absolutnie nie prowokować. Kasia odsunęła się na moment od pleców Piotrusia, w które się wtulała, by odsłonić wizjer kasku i posłać Łysemu całusa. Ten pokręcił tylko głową i przyspieszył nieco.

A ona? Czuła się wspaniale. Tak wspaniale, że w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy sama nie jest aby pod wpływem tego dziwacznego narkotyku, który zmusił ludzi do śmiechu, a Betsy… No właśnie, cholera, gdzie jest Betsy? Co się dzieje z tą cholerną, tłustą wariatką? Usłużna wyobraźnia natychmiast podsunęła obraz zasmarkanej z rozchichotania przyjaciółki wyławiającej z ogniska dopieczoną kończynę któregoś z trupów. Czy Betsy oblizałaby się na widok dobrze wypieczonej łydki? Czy spękana skórka na serdelkowatych palcach przyprawiłaby ją o ślinotok?

Kasia potrząsnęła głową z rozbawieniem. Naprawdę, dziewczyno? Takimi ścieżkami wędruje teraz twój umysł? Choć w sumie czemu się dziwić, skoro jednego wieczoru tyle się

wydarzyło, a finałem jest nocny pęd nie wiadomo dokąd, z bandą motocyklistów? A co będzie, jeśli pomyliłaś się co do Piotrusia? Jeśli tak naprawdę jesteś przekąską na potem, a gdy już z tobą skończą u siebie w obozie, nigdy więcej nie złączysz nóg? Co wtedy, głupia krowo?

To był głos Michała i aż się musiała obejrzeć, by się upewnić, czy to aby na pewno złudzenie. Znienawidzony okularnik przewieszony przez tylne siedzisko jednego z motocykli i nakryty troskliwie kawałkiem brezentu nie miał jednak ani sposobności, ani też pewnie ochoty, by się teraz do niej odzywać.

Znowu wtuliła się w siedzącego przed nią chłopaka, a ten na moment oderwał dłoń od kierownicy, by musnąć jej rękę. I choć w duchu śmiała się ze swojej naiwności, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest we właściwym miejscu i z właściwym…

(mordercą)

… facetem.

* * *

Podniósł się, przeciągnął, wyprężył grzbiet, a potem ruszył biegiem wzdłuż gałęzi.

Inny Świat rozstąpił się przed Kotem niczym kurtyna przed estradową gwiazdą, ale on wiedział, że to pułapka. Dlatego nie doszedł do końca konaru, choć wiszące tam truchło kołysało się kusząco, tylko dał susa w szare, rozedrgane powietrze. Maleńka czaszka truchła ożyła nagle, kłapnęła wściekle zębami ostrymi jak szpilki i syknęła, uwalniając trupie gazy nagromadzone w napęczniałym wnętrzu. Kot, zupełnie na to nie bacząc, wylądował, przetoczył się i przywarł do ziemi. Machnął ogonem w lewo i prawo, dając ostrzegawczy sygnał robactwu wypełzającemu spod pyłu i popiołu. Potem podniósł się i ruszył pośród cieni i łypiących nań oczu, pośród jęków i skowytów, drzew wijących się w konwulsjach, krzewów skręcających artretycznie, cieni, które przybierały postacie ludzi i zwierząt tylko po to, by rysować na ich twarzach wściekłość bądź przerażenie, a potem rozrywać ową chwilową powłokę na

tysiące krwawych ochłapów. Tu, poza drogą, Inny Świat wił się, syczał i skwierczał, kłębił dymem i płonął czernią. Kot szedł…

Pobliskie drzewo stało się starą kobietą o obwisłych piersiach, które poruszały się niczym worki wypełnione kociętami. Maleńka, dziecięca dłoń, a potem główka próbowała się przebić przez pomarszczoną skórę, ale drzewo tylko zamachnęło się niedawną gałęzią, obecnie ręką o dwóch tylko, za to nienaturalnie długich palcach wyrastających wprost z nadgarstka, i pacnęło się w pierś. Rozległ się trzask i drzewo znowu było drzewem. Tylko narośl huby wyglądała teraz jak roztrzaskana czaszka niemowlęcia. Kot szedł…

Pył, piach i popiół ustąpiły poszyciu z zaschniętych igieł, w którym wiły się szare czerwie przypominające trochę rozciągnięte, miniaturowe mózgi. Najwięcej ich było między korzeniami na zwłokach sarny, której pusty oczodół wpatrywał się w kota z wyrzutem. Jej wyliniała skóra drgała jak w konwulsjach. Kot szedł…

Tam, gdzie powinien stać dom, znajdowały się ruiny. Z dziury po sęku łypało przekrwione oko, na progu dwa szczury wżerały się w trzeciego, który piszczał coraz ciszej. Pusty stryczek wiszący na belce ganku rzucał cień dyndającego wisielca. W przegniłym, ociekającym czernią fotelu siedziało dziecko obrane z całej skóry z wyjątkiem twarzy; przygryzając koniuszek języka, czesało spaloną lalkę. Kot prychnął z pogardą… a dziecko uśmiechnęło się do niego i wyciągnęło rączkę.

W progu pojawił się kłąb mgły w kształcie mężczyzny dopinającego pasek spodni. Z wnętrza dochodził teraz szloch i ciche zawodzenie skrzywdzonej kobiety.

Kot przystanął i przechylił łebek zdziwiony. Co się działo z Innym Światem? Nie tylko zachowywał się, jakby chciał go przestraszyć, wywołać obrzydzenie, lecz także zabierał się do tego tak, jakby Kot był człowiekiem, w dodatku nierozgarniętym. To go drażniło, wzbierała w nim wściekłość, miał ochotę miotać ogonem na lewo i prawo. Zamiast tego jednak skoczył na mężczyznę uformowanego z cienia i pazurami podarł go na pasy. Kobiece jęki natychmiast ucichły urwane w pół tonu, ręka dziecka, ta ze szczotką, zatrzymała się w połowie ruchu.

– Czego boi się kot? – zapytała dziewczynka po ludzku.

Kot prychnął i wszedł w głąb ruin.

Poruszał się w ciemności, pośród mylących dźwięków i rozpraszających podrygiwań powłoki odmienionego Innego Świata. Szedł, aż znalazł Kobietę, którą szanował, siedzącą nago w kącie pokoju. Dociskała kolana do piersi i drżała, szczękając zębami. Oczy miała zamknięte i Kot wiedział, że tak naprawdę wcale jej tu nie ma, że śpi teraz w nie swoim łóżku i śni jeden ze złamanych snów. To tutaj to tylko brama, droga dla Kota.

Podszedł do niej powoli, a ona wyciągnęła nogi przed siebie i usiadła w rozkroku w wulgarnej pozie. Wciąż miała zamknięte oczy, wciąż szczękała zębami.

Kot przysiadł na jej udzie i chlaśnięciem łapy rozciął Kobiecie skórę na brzuchu. Pękła, a spod niej wylała się gęsta smoła czerni. Prychnął niechętnie, po czym zanurzył się w nią i wszedł w ciało Kobiety. Świat znowu się zmienił…

* * *

Inny świat, inny czas. Tu wszystko jest teraz cienką czerwoną nitką pośrodku niczego, rozwarstwiającą się niczym wełna. Drobne włókna uciekają na boki, kończąc się nagle i gwałtownie jak żywot myśli, które nieopatrznie skręciły w jedną z takich odnóg.

Przez czerń z sykiem przelatują obrazy ryte w dymie. Kłęborzeźby. Mgłofilmy. Świat wkoło płonie i skwierczy, choć brak tu ognia. Jest tylko ciemność.

Kot stąpa ostrożnie po nitce, łapa za łapą. Jeszcze nigdy tu nie był, ale to akurat działa na jego korzyść, gdyż – był tego pewien – wszystko tu się zmieniło.

Wreszcie dochodzi do pulsującego, napęczniałego kłębka. Tak go widzi. Czy też ją. Jaźń? Duszę? Istotę? Nie to ma znaczenia, bo Kota nie obchodzą nazwy. Unosi łapę i paca raz, drugi…

Gdzieś w oddali słyszy syk zasysanego powietrza. Zupełnie tak, jakby ktoś wynurzył się spod powierzchni wody po długim nurkowaniu.

Kobieta, którą szanował, właśnie się obudziła. Choć tak naprawdę wcale nie…

* * *

Gdy wjechali na obrzeża miasta, Łysy dał ręką sygnał, a następnie zjechał na parking pobliskiego centrum handlowego. Kolumna motocykli wtoczyła się w ślad za nim i natychmiast zmieniła ułożenie. Rozciągnęła się na boki i poruszała na przełaj po liniach oddzielających miejsca parkingowe, rozjeżdżając się tuż przed stojącymi samochodami i zjeżdżając zaraz za nimi niczym rzeka opływająca kamień.

Ludzie wychodzący zza przeszklonych, rozsuwanych drzwi, pchający wózki pełne zakupów i taszczący torby – foliowe i papierowe, ale obowiązkowo z logo sklepu – przyglądali się motocyklistom z ciekawością i przestrachem. Dzieci pokazywały ich sobie palcami i dostawały po tych palcach od nazbyt nerwowych matek. To niełądnie pokazywać pana motocyklistę, który może za to zabić tatusia, a mamusi zrobić inną krzywdę.

W końcu zaparkowali w równym rzędzie na wprost wejścia. Zdjęli kaski, któryś coś zawołał, inny zasalutował ochroniarzowi, starszemu panu w białej koszuli i z odznaką na kieszonce lśniącej jak jaja złotego cielca. Mężczyzna uniósł rękę, ale nie odpowiedział salutem, tylko przyłożył dłoń do pagonu, gdzie miał zawieszony mikrofon radia.

Łysy zsiadł z motocykla i podszedł do Piotrusia i Kaśki. Po drodze z tylnej kieszeni spodni wyjął wymiętoloną paczkę papierosów i wsunął jednego oklapłego lucky strike’a do ust. Zanim odpalił, naprostował go troszkę.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – zapytała Kaśka.

W odpowiedzi dostała spojrzenie pełne pogardy i kłąb szarosiwego dymu.

– Musimy się tu zatrzymać, Wieczny Chłopcze – powiedział Łysy. – Cień chce z tobą rozmawiać i powiedział, że to pilne i że dobrze by było, żeby odbyło się właśnie tutaj.

Wskazał za siebie. Żarząca się końcówka papierosa wyglądała w jego ręku jak dioda laserowego wskaźnika.

– Tu, na parkingu? – zdziwił się Piotruś. – Bo chyba pora taka, że już zamykają.

– Market jest całodobowy – odparł Łysy. – I wiesz, ja tylko przekazuję wieści. Gdyby o mnie chodziło, już byśmy popierdalali do domu, bo nam gorące powitalne przyjęcie stygnie.

– Jedzenie?

– Też.

Kaśka nie mogła nie dostrzec kolejnego posłanego jej spojrzenia czerwonych oczu. Spojrzenia mówiącego: „Tam, gdzie jedziemy, czeka na niego tysiąc lepszych od ciebie i jakikolwiek jad wpuściłaś mu przez fiuta, już pierwsza z nich wyssie go do ostatniej kropelki". Powinna się go bać, tego całego Stalówki, i wiedziała o tym, ale cóż mogła poradzić, że jego łysa, jajowata głowa i te szkarłatne ślepia wyłaniające się teraz zza papierosowego dymu wyglądały tak groteskowo demonicznie? Jak z taniego horroru dla tępych, spragnionych wrażeń nastolatków. Jak z opowieści z jebanej krypty. Cudem poskromiła pełne rozbawienia parsknięcie i zaprezentowała najśliczniejszy z arsenału uśmiechów.

Piotruś tymczasem wyprostował się, przeciągnął i popatrzył po kompanach wzrokiem prawdziwego przywódcy. Wreszcie stwierdził:

– Jeśli mam się spotkać z Cieniem, to się z nim spotkam. Nie musicie tu wszyscy siedzieć i czekać.

– Ale… – chciał zaprotestować Stalówka, jednak Wieczny Chłopiec powstrzymał go gestem.

– Cokolwiek tam naszykowaliście, cokolwiek czeka, lepsze trochę napoczęte niż…

Przerwał i skupił wzrok na stojącym kilka metrów przed nim rosłym, krótko ostrzyżonym jegomościu w obcisłej koszulce i sportowych spodniach. Mężczyzna trzymał dwa kartonowe pudła zawierające według opisu po sześć butelek gorzkiej żołądkowej; uważnie przyglądał się odsłoniętemu ramieniu Piotrusia.

– Co jest? – zapytał Wieczny Chłopiec.

Tamten wzruszył ramionami, splunął i odpowiedział:

– Nie wiedziałem, że pedały też jeżdżą na motorach. To te wibracje między nogami?

Piotruś spojrzał na Stalówkę, Stalówka na niego. Niedopałek pofrunął na asfalt, z każdym odbiciem sypiąc snop maleńkich iskier. Albinos obrócił się i bez słowa ruszył w stronę niefrasobliwego żartownisia. Był kilka kroków od celu, gdy nagle z dwóch samochodów dwie alejki dalej wysiedli koledzy ubranego w dres wielkoluda. Wyglądali niemal jak on, różniły ich detale – długość włosów, kolor spodni, ozdoby na szyi, wzory tatuaży, czasem minimalnie postura. Różniło ich także to, co trzymali w rękach, a czym wyraźnie sugerowali gotowość do starcia. Powoli i ostentacyjnie skierowali się w stronę wejścia do sklepu. Wielkolud, gdy zobaczył ich kątem oka, nabrał jeszcze większej pewności siebie.

– I co, łysy zjebie? – zwrócił się do Stalówki. – Myślisz, że mnie przestraszysz tymi swoimi pedalskimi kontaktami? A może wpadł ci w oko prawdziwy mąż… kurwa!

Mocne kopnięcie kolanem w dno dolnego kartonu sprawiło, że ten na górze podskoczył i przesunął się lekko, a potem poleciał na bok, odprowadzany aż do asfaltowego końca pełnym bezsilnej wściekłości spojrzeniem właściciela. Stalówka wykorzystał ten moment nieuwagi, by raz jeszcze kopnąć mężczyznę, tym razem uzbrojoną w ciężki bucior stopą, w bok kolana. Chrupnęło, ale dźwięk ten zlał się z łupnięciem o ziemię kartonu i trzaskiem butelek, a potem jeszcze z krzykiem kompanów dresiarza i rykiem odpalanych równocześnie motocykli.

Jakaś kobieta przy sklepie wrzasnęła, że tu są dzieci i że wezwie policję. Ale było już za późno na rozsądek.

Stalówka wyrwał drugi karton z rąk osuwającego się na bok wielkoluda i spuścił mu go na głowę, gdy ten już upadł. Motocykliści zataczali szerokie kręgi na parkingu, by nabrać rozpędu i zmierzyć się z nadbiegającą już teraz, uzbrojoną w pałki, noże i łyżki do opon załogą z dwóch bordowych wozów. Ktoś zapiał głośno i piskliwie, ktoś inny wydał z siebie indiański okrzyk, poklepując przy tym otwartą dłonią szeroko rozdziawione usta.

Kaśka przyglądała się temu po trosze ze strachem, a po trosze z niekłamaną fascynacją. Oglądała się to na lewo, to na prawo, widziała śmigające w każdym kierunku motocykle, słyszała świst krowiego łańcucha rozkręcanego nad głową jednego z motocyklistów, który był już na kursie kolizyjnym z gigantami w dresach. Kaśka, na litość boską, co z tobą?! – darł się w niej głos rozsądku, głos jej matki z dnia, gdy znalazła u niej pigułki antykoncepcyjne i dodała dwa do dwóch. Przecież to jest istne szaleństwo! To przestępcy! I wariaci. Mordercy. To…

– … duzi chłopcy – powiedziała na głos Kaśka. Nie, nie Kaśka. Wendy. Zgrabnie zsunęła się z motocykla i pocałowała Piotrusia w odsłonięte ramię. – No już, jedź do nich, Wieczny Chłopcze!

Odwrócił głowę gwałtownie i spojrzał na nią zdumiony. Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się ten śliczny, uroczy, szczeniacki uśmiech. Wyprostował się, odpalił motocykl.

– Szykuj całusa – powiedział.

– Nawet tysiąc.

Pokręcił głową z rozbawieniem.

– Jeden wystarczy aż nadto. Potem… robi się inne rzeczy.

Roześmiała się i odstąpiła o krok, a on skręcił manetkę i wyrwał do przodu, drąc się na całe gardło:

– BANGARANG!

Niemal w tym samym momencie rozległ się ogłuszający wizg, zgrzyt i pełen bólu wrzask, gdy maszyna tego z łańcuchem wywróciła się na bok i przejechała tak parę metrów, rozcierając nogę motocyklisty na miazgę i sypiąc deszczem iskier. Mało brakowało, by upadek zaliczył i kolejny chłopiec, ale ten poderwał się z siedzenia, i wychylił na bok jednocześnie ze skrętem, robiąc wymyk tuż przed przeszkodą. Koła jego motocykla przejechały tylko po łańcuchu łączącym teraz wywróconą maszynę z nieprzytomnym dresiarzem trzymającym się za owiniętą metalowymi ogniwami szyję.

Reszta przeciwników rozpierzchła się, szukając schronienia za kubłami, skrzynkami, zagrodą na wózki. Jeden nawet wbiegł do sklepu, wywracając nastolatka, który całe parkingowe zajście kręcił smartfonem. Chłopak mógł jednak mówić o szczęściu, bo po upadku odruchowo przetoczył się na bok i dzięki temu cudem uniknął śmierci

pod kołami motocykla, który wpadł do przedsionka sklepu, jeszcze zanim zamknęły się szklane drzwi. Siedzący na nim blisko czterdziestoletni facet o rozwichrzonej, posiwiałej brodzie i takich też, przerzedzonych włosach okalających placek lśniącej łysiny, darł się w niebogłosy, na przemian to piejąc, to krzycząc: „UHUU!”.

Ledwie motocykl odjechał metr, chłopak sięgnął po telefon, ale ten nie miał tyle szczęścia i zamienił się w sprasowaną elektroniczną miazgę. Szkoda, doprawdy, gdyż następne ujęcie byłoby spektakularne. Oto bowiem nagle zza rogu wychylił się gruby, krągły ochroniarz z irokezem na głowie i wystawiwszy rękę, właściwie zdjął motocyklistę z maszyny, która zwyczajnie pognała sobie dalej. Ochroniarz – o twarzy miłej, pyzatej, jak u bałwanka z dawnej bajki – zrobił krok do przodu i wtedy okazało się, że drugą ręką trzyma za koszulkę próbującego uciekać dresiarza. I choć ten był naprawdę spory, jego szarpanie i miotanie nie robiły na grubasie najmniejszego wrażenia. Poprawił uchwyt motocyklisty, bez wysiłku podniósł ich obu i z całej siły zderzył głowami. A potem po prostu upuścił nieprzytomnych i zwiotczałych na ziemię.

Chłopak widział jeszcze motocykl wpadający do fontanny plującej kolorowymi wężykami wody, a potem dostrzegł, że wielki, okrągły ochroniarz na niego patrzy i kołysząc się przy tym jak wańka-wstańka, rusza w jego stronę. Dzieciak zaczął wycofywać się rakiem.

– Spokojnie – powiedział grubas. – Nic ci nie zrobię. Nie lubię krzywdzić ludzi. To nie w moim stylu.

Każde z tych zdań brzmiało jak źle wyuczona kwestia w szkolnym przedstawieniu, robionym przez i dla amatorów, i to jeszcze bardziej przeraziło chłopaka. Zerwał się z ziemi i ruszył, oglądając się za siebie. Wpadł najpierw na drzwi, które nie zdążyły się rozsunąć, potem na kucającego przy śmietniku ojca osłaniającego kilkuletnią córkę, wreszcie, kilka metrów dalej wprost pod rozpędzony motocykl. Runął na ziemię i wlókł się klika metrów za ciężką maszyną, a jego twarz rozsmarowała się na asfalcie jak dżem żurawinowy. Na szczęście już tego nie czuł.

* * *

Wszędzie się coś działo. Z bliska brzmiały krzyki, wrzaski i jęki, z oddali – dźwięki policyjnych syren. Cały parking tętnił od tej przeklętej zadymy, ale Piotruś był niepocieszony. Gdziekolwiek bowiem dojeżdżał na swojej rozpędzonej maszynie, tam było już po wszystkim. W jednym miejscu dresiarz siedział oparty o ścianę z szeroko rozłożonymi nogami. Stukając o ziemię łyżką do opon, przyglądał się tępo śladowi opony na swoim zmiażdżonym kroczu i brzuchu. W innym miejscu kolejny dres oraz jeden z motocyklistów spleceni w niemal miłosnym uścisku szamotali się coraz bardziej niemrawo; obaj krwawili z licznych ran kłutych. Wielu motocyklistów, którzy mieli wszak ogromną przewagę liczebną, krążyło po całym parkingu, krzycząc jak Indianie i obdarowując kopniakami zaparkowane samochody. Gdzieś tam przewrócona maszyna dawała znać kręcącym się kołem, że jeszcze jest sprawna, choć przetrącona kierownica mówiła coś innego.

Wszędzie ludzie, wszędzie hałas, wszędzie zabawa, ale… chwilę temu. Minutę, sekundę, ułamek chwili, zanim dotarł na miejsce motocykl Piotrusia. To było naprawdę frustrujące i Wieczny Chłopiec raz po raz oglądał się na swoją Wendy, czekając tylko, aż ta parsknie śmiechem, zakpi. Wściekłby się za to na nią oczywiście, ale miałaby rację. Kompletnie nie czuł jeszcze tego świata. Nie czuł się pewnie na tej maszynie, ci Chłopcy nie byli tak naprawdę jego Chłopcami. No, może oprócz Stalówki, ale on nawet tam, w domu, był jakiś inny. O, teraz też stał pośrodku tego wszystkiego, palił papierosa i popijał wódkę z ocalałej butelki, jak gdyby nic, co działo się wokoło, go nie dotyczyło. Choć przecież w jakimś sensie on to wszystko zaczął.

No właśnie, on. Nie Piotruś, chociaż to było właśnie zadanie przywódcy. To on został obrażony, a tu…

Zatoczył koło, odjechał w zacieniony, pusty kąt parkingu i ruszył do przodu, nabierając prędkości. Zaraz jednak mało nie zatrzymał maszyny w miejscu, bowiem z mroku wyłoniła się wysoka postać, która w pierwszej chwili sprawiała wrażenie, jakby była jedynie

człekokształtną częścią tej ciemności. Choć to wrażenie zaraz minęło, Piotruś wiedział, że musi przystanąć. Wiedział, kto to taki i jak wiele mu zawdzięcza.

Czterdziestoparoletni mężczyzna stojący przed Piotrusiem był jego Cieniem.

– Kopę lat, dzieciaku – powiedział.

– Nie nazywaj mnie tak – obruszył się zupełnie po dziecięcemu Wieczny Chłopiec. – Myślałem, że mnie zdradziłeś.

Cień uśmiechnął się, a z pomiędzy jego pożółkłych zębów wysączył się szary dym. Dopiero wtedy Piotruś zorientował się – i przyjął to z niejakim zdumieniem – że jego Cień pali. Żar między palcami wyglądał jak oczko pierścionka.

– A co teraz myślisz? – zapytał.

– Że to ty mnie tu ściągnąłeś. I podziękowałbym, ale Piotruś Pan…

– … nie dziękuje, on się odpłaca – dokończyli razem i wybuchnęli śmiechem.

Syreny policyjne rozbrzmiewały coraz bliżej, dogasające bluzgi tonęły w ogłuszającym ryku motocyklowych silników. Piotruś spojrzał w stronę swojej Wendy i miał jej odrobinę za złe, że się teraz za nim nie rozgląda.

– Odpłaciłeś już jej? – zapytał, lecz nie miał wcale na myśli swej nowej towarzyszki.

Cień zdawał sobie z tego sprawę, więc tylko pokręcił głową.

– Nie więcej bólu, niż to było konieczne, Piotrusiu. To twoja rzecz. Ale nie śpieszy się chyba, prawda? Najpierw mam dla ciebie kilka gier i zabaw.

Piotruś przeniósł wzrok na Cienia, zmarszczył czoło.

– Co masz na myśli?

– Ilu swoich chłopców widziałeś, Piotrusiu? Tych swoich, swoich, których ta dziwka zabrała, których porwała po twojej wielkiej wiktorii?

Wieczny Chłopiec podrapał się po potylicy.

– No, poznałem tylko Stalówkę, ale nie przyglądałem się im szczególnie, bo…

– Dotąd mogłeś widzieć tylko jego, mój drogi. Jego, a teraz… – wskazał wejście do centrum, gdzie przy drzwiach stał gruby, pyzaty

ochroniarz z irokezem – …jeszcze tego.

Znajdowali się naprawdę daleko, w dodatku było ciemno, a wszędzie wkoło mnóstwo rozpraszaczy. Ale Cień wiedział, do kogo mówi. Piotruś miał ponadprzeciętny wzrok i dlatego teraz bez trudu odgadł tożsamość grubasa.

– Kruszyna?

– Otóż to. Gdy zabrałem ich tej dziwce, każdemu dałem nowe życie, odpowiednio prawdziwe, by w nie uwierzyli, i wystarczająco żałosne, by byli skłonni je porzucić dla ciebie w jednej chwili, mimo że są dorośli, a dorosłym zmiany nie przychodzą tak łatwo. Tylko Stalówka był mi potrzebny od początku, by zgromadzić tych wszystkich sługusów – ręką wskazał na krążące po parkingu motocykle – i jakoś utrzymać ich w ryzach. Te wszystkie patałachy to niegdysiejsi członkowie jej gangu oraz paru tych, z którymi walczyła, kłóciła się, wchodziła w układy…

Cień zaciągnął się papierosem.

– Tak, Piotrusiu, ta dziwka była tu naprawdę wyjątkowo obrotna i zrobiła dużo przez ten czas. Sporo się napracowałem, by wywrócić ten świat do góry nogami… Ech, zresztą nieważne. Opowiem ci później, bo na razie powinieneś zebrać tych zawadiaków i stąd zjeżdżać. Zajmijcie się żywymi, ja ogarnę resztę. Pogadamy na miejscu.

Zrobił krok w stronę ciemności i w jednej chwili był już tylko oczami i ustami, z których wydobywał się siwy dym.

– Na miejscu? – zapytał Piotruś. – To znaczy?

– Stalówka ci powie. No już, nie chcemy dziś spotkania z policją, więc zostało ci jakieś… – oczy spojrzały w dół, pewnie na niewidoczny zegarek – … sześćdziesiąt sekund, jeśli szybko przejdziecie w Skrót.

Potem Cień zwyczajnie zniknął, ucinając tym samym dalszą dyskusję.

Piotruś wbił bieg i ruszył w stronę Stalówki i Wendy. Syreny były już teraz naprawdę głośne, a zza zakrętu łypało na przemian to czerwone, to znów niebieskie światło.

* * *

Nic nie wskazywało na to, że zdążą, ale gdy Piotruś podjechał do Stalówki i powiedział mu o rozmowie z Cieniem, albinos zapytał tylko:

– Powiedział, że zajmie się tymi, co leżą?

– Tak. Dokładniej to… Tak, tak właśnie powiedział.

Stalówka skinął głową, po czym szybkim krokiem pokonał kilka metrów dzielących go od motocykla. Wsiadł na niego, odpalił, włożył do ust palce i gwizdnął – raz przeciągle i dwa razy krótko. Cokolwiek by mówić o nieogarnięciu czy nieudolności towarzyszących mu motocyklistów, te dźwięki w jednej chwili niczym trzaśnięcie bicza zapanowały nad chaosem, a ciężkie maszyny zgromadziły się zaraz obok wjazdu już ustawione w kolumnę.

Piotruś przyglądał się temu, po czym przeniósł wzrok na grubego ochroniarza pomagającego teraz przypadkowym świadkom. Poczciwy Kruszyna, serce oblane tłuszczem. Nieprzeciętna siła, ale nic poza tym. Choć może nie trzeba było więcej? Wieczny Chłopiec miał ochotę podjechać teraz do niego i zaprosić go do wspólnej przygody. Już prawie ruszył, ale zrozumiał, że nie wie, co właściwie miałby powiedzieć. Nie wiedział, jak się zaprasza do zabawy dorosłych. W co bawią się dorośli, czy też raczej, w co mógłby się bawić dorosły Kruszyna?

Jego motocykl poruszył się, a zaraz potem poczuł ręce, jej ręce, oplatające go na wysokości żeber. Pocałowała go w kark.

– Jedziemy do domu? – zapytała. Zupełnie, jakby wiedziała, dokąd tak naprawdę zmierzają. Jakby rzeczywiście już tam była, jakby to był jej dom, a oni byli ze sobą od zawsze. Kto wie, może naprawdę była Wendy? Tą jedyną, prawdziwą? Tą, której szukał w każdym oknie i…

– Ruszamy? – Choć brzmiało to jak pytanie, zapewne ze względu na Piotrusia, tak naprawdę było poleceniem i skinienie głowy Wiecznego Chłopca dopełniło jedynie formalności.

Stalówka sięgnął do kieszonki w kurtce i wydobył z niej mały woreczek. Odsypał trochę na wierzch ręki, wciągnął nosem, potem

rzucił woreczek Piotrusiowi.

– Wystarczy, że jedno z was wciągnie, a drugie przy przejściu zamknie oczy – wyjaśnił, ale oni równo podzielili proszek między siebie.

Inni w szyku też zażyli swoją porcję. Bez pośpiechu, choć pierwszy radiowóz właśnie podskoczył na progu zwalniającym na przeciwległym krańcu parkingu.

Kolumna motocykli ruszyła. Minęli leżące na ziemi trupy i przewróconą maszynę. Jakiś motocyklista z krzywym nosem i brwiami jak zaniedbane krzewy zawołał wtedy do Stalówki, co z rannymi.

– Cień! – krzyknął albinos i to jedno słowo najwyraźniej zamykało temat, bo nikt już się więcej nie obejrzał.

W ogłuszającym ryku silników gang wpadł na drogę i po chwili motocykle wjechały w ciemność. Rzeczywistość zafalowała jak uderzona membrana, a potem była już tylko noc i wycie policyjnych syren.

* * *

Dzwoneczek poderwała się gwałtownie i przez chwilę poruszała ustami niczym ryba wyrzucona na brzeg, łapiąc powietrze spazmatycznymi haustami. Jej piersi, niezdrowo białe w księżycowym blasku wpadającym przez okno, wznosiły się i opadały lekko w takt przyspieszonego bicia serca. Spała nago, bo jakoś nie mogła się przekonać leżącej na krześle koszulki nocnej, choć przecież ta rzekomo należała do niej. Jak całe to miejsce zresztą, ta sypialnia, która teraz, w ciemności, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej obcej, niż gdy zjawiła się tu z Lubym kilka godzin temu.

Zasłoniła piersi rękami. Miała wrażenie, że ktoś na nią patrzy.

Czy się bała? Czy drżenie, uporczywe kłucie w okolicy mostka, to nieprzyjemne uczucie głęboko w brzuchu, jakby mentalna blizna po doznanym kiedyś bólu, świadczyły właśnie o strachu? Nie była pewna, choć gdyby miała obstawiać, powiedziałaby, że jednak nie.

To nie był strach, bo bać się możesz tylko wtedy, gdy ci zależy. A jedyne, na czym zależało jej, Matyldzie Blaszce – wciąż nazywającej siebie Dzwoneczkiem, jak z głupiej bajki – pochodziło z urojeń, posklejanych przez jej umysł strzępów podświadomości, których w ciągu pół roku zebrało się na tyle, że ułożyła z nich sobie całe życie.

Nie, to nieprawda, odezwał się głos w jej głowie. Nazywała go penetratorem, bo był niczym język penetrujący nieustannie świeżą dziurę po zębie, nie pozwalając jej się zagoić. Kędzior powiedziałby pewnie, że brzmi to jak ksywka aktora porno i…

Stop! Kędzior nic by nie powiedział, bo Kędzior nie istnieje. Nie ma go, podobnie jak Stalówki, Bliźniaków, Kruszyny, a ten, kogo brała za Milczka, to tak naprawdę jej terapeuta, który…

Myśl urwała się nagle. Dzwoneczek zamrugała gwałtownie, a potem przetarła oczy i jeszcze mocniej wytężyła wzrok. Tak, to nie było urojenie, naprawdę go widziała, choć mogłaby przysiąc, że jeszcze przed momentem w tamtym miejscu nie było niczego prócz ciemności. Teraz jednak na skraju jej łóżka siedział czarny kot w czerwonym krawacie.

Pieprzony Pan Proper.

„Czy ty… czy…”, chciała powiedzieć.

Żadne słowo nie wydostało się jednak z jej ust. Pojawił się tylko maleńki obłoczek srebrzystej pary, jakby w pomieszczeniu było zimno. Odruchowo nań zerknęła. Rozwiał się niczym poranna mgła nad drogą.

Kot podniósł się powoli, przeciągnął, wyprężył grzbiet. Wskoczył na parapet i łapą uchylił okno, a następnie wyszedł na zewnątrz. Powietrze po drugiej stronie zafalowało, a on nie tyle znalazł się za oknem, co zniknął za kotarą rzeczywistości, którą ktoś dla żartu pomalował w nocny widok. Po chwili wrócił, wystawił z powrotem tylko łebek, tak że ten wyglądał, jakby unosił się w powietrzu. Przechylił go na bok w niemym pytaniu. *Idziesz?*

Dzwoneczek podniosła się z łóżka i ruszyła w ślad za zwierzęciem. Przez moment wahała się jeszcze, stojąc przy parapecie. Kto wie, może zmartwiła się, że właśnie traci resztkę ciężko wypracowanej normalności? Może bała się, że to wszystko

sen i lada chwila do tej nie swojej normalności wróci? Omiotła wzrokiem skąpany w mroku pokój, następnie stanęła na parapecie i wystawiła pokrytą bliznami nogę na drugą stronę. Przez chwilę miała wrażenie, że ją widzi, zanurzoną jakby w brudnej wodzie, ale gdy wsunęła tam i rękę, nie była w stanie dojrzeć ni kawałka od łokcia w dół, dopóki nie przeszła cała na drugą stronę.

Kot czekał na nią nieopodal, tuż obok pagórka rozdziawiającego się jak paszcza z trzema rzędami ostrych zębów. Wokół zwierzaka wiły się pnącza świszczące cicho za sprawą nadwiędłych kwiatów w kształcie odwróconych dzwonów. Sączył się z nich srebrzystobiały śluz, który na ziemi lśnił w blasku ohydnie białego księżyca napęczniałego niczym twarz topielca.

Dzwoneczek ruszyła naprzód, obejmując się ramionami, zła na siebie, że nie włożyła chociażby tej przeklętej koszulki. Pod jej nagimi stopami na przemian to pękały z trzaskiem chitynowe pancerzyki, to znów wiło się robactwo albo przelewał lepki, ciepły śluz. Pomyślała z obrzydzeniem o spermie i jak na zawołanie poczuła jej słony, wyrazisty zapach, a pobliskie drzewo, zgięte w pół za sprawą wiatru, rozpękło się nagle, uwalniając kopulującą parę. Brzydkie twarze mężczyzny i kobiety wyrażały jedynie skrajne znużenie.

Kot zaczekał, aż Dzwoneczek znajdzie się w odległości kilku kroków od niego, po czym ruszył przed siebie. Podążyła za nim, starając się zmierzać dokładnie jego śladem, stawiać stopy tam, gdzie zwierzak był jeszcze przed chwilą. Patrzyła też tylko na uniesiony ogon. Nie widziała, nie chciała widzieć zwłok rozkładających się w rowach, już napęczniałych, już pewnie z organami wewnętrznymi w postaci obrzydliwej mazi i gazu, ale wciąż poruszających ustami, wciąż próbujących ją ostrzec. A może, paradoksalnie, dodać odwagi? Na powierzchni mgły wyświetlały się wbite jej do głowy wspomnienia. Czas, gdy mieszkała pośród motocyklistów w Anglii, ciągnący się wieczność moment, gdy gwałcili ją ci, którzy jeszcze kilka dni wcześniej traktowali ją jak matkę – ale nieważne, co mówili, nigdy jej tak nie nazywali, dla nich nigdy nie była mamą, o nie! – a potem dni, gdy mieszkała w Barcelonie, której nie mogła docenić za sprawą ciągłego strachu. Wreszcie przyjazd tu

i współpraca z Lubym, który jednak tutaj, na żadnej wizji, na żadnym obłoku mgły nie miał twarzy. Był tylko czarną sylwetką, postacią odzianą w niezastygły jeszcze lateks. Widziała swój wypadek i był niemal taki, jakim go zapamiętała, ale dział się we Wrocławiu, a Barcelona spoglądała nań tylko z billboardu reklamującego jakąś książkę. To właśnie usiłowali jej wmówić: billboard według nich nałożył się w jej głowie na dawne czasy i stąd myśl, że jej wypadek wydarzył się tam.

To niezwykła, niebywale spójna wizja, mówił z podziwem jej Milczek, który przecież nie umiał mówić i… Ale nie, czekaj, wróć. Teraz sobie przypomniała, że przecież tam, w Nibylandii, chłopiec mówił jak wszyscy inni i dopiero później postanowił milczeć. To był wybór, nie kalectwo. Wybór, który…

Syknęła z bólu i kolejny obłok pary wyrwał się z jej ust. Spojrzała w dół i zobaczyła, że droga wije się teraz wokół jej stóp cielskami tysięcy węży. Jeden z nich wgryzał się właśnie powyżej jej kostki, a jego jad czernią barwił jej żyły. Po chwili cała noga była nimi pokryta niczym mapą rzek. Dzwoneczek stłumiła jednak odruch kopnięcia gada. Uniósłszy głowę, zrobiła kolejny krok. Kot spojrzał na nią z aprobatą.

Szli tak gadzią drogą pod księżycem o twarzy topielca, między drzewami wijącymi się to w bólu, to znów w rozkoszy. Sunęli odprowadzani pustym wzrokiem nadpalonych, potłuczonych lalek z porcelany i szklistych oczu trzymających je dzieci. Widzieli człowieka, który wypychał sobie policzki własnymi wnętrznościami i mlaskał przy tym ze smakiem. Z jego brzucha sączyła się czerń o zapachu zepsutego mięsa i melasy. Nie widzieli obrazów na powierzchni mgły, nie słuchali twarzy wyłaniających się spod warstwy wijących się pędraków, by rzucić proroctwo. Ślizgali się na śluzie i krwi, po których nawet Kot nie dwał rady iść z gracją, ale zawsze powstawali i zadzierali głowy.

Aż wreszcie doszli do wzgórza porośniętego skórą, przypominającego połówkę starego jabłka. Kot wskoczył na nie, wysunął pazury i zjechał po skórze niczym po firance, tnąc ją na pół. Z wnętrza wypadł martwy, zasuszony robak większy niż

Dzwoneczek. Wyschnięte segmenty jego ciała wyglądały jak kręgi ludzkiego kręgosłupa.

Kot wszedł do jabłka, a za nim podążyła niegdysiejsza wróżka. W środku płonęły świece o zapachu palonych włosów, oświetlając kościane krzesła i lampy obciągnięte skórą. W kącie pokoju coś się ruszało, więc Dzwoneczek złapała za pobliski świecznik i poświeciła w tamtą stronę. Dostrzegła ogromnego karalucha przewróconego na grzbiet i przebierającego w desperacji odnóżami. Ruszyła w jego stronę, nie wiedząc po co, ale Kot był szybszy. Doskoczył i rozpruł brzuch insekta, a następnie zanurzył w nim pysk. Gdy go wyciągnął, cały był brudny od zielonkawej, zgniłej substancji, ale najwyraźniej zupełnie go to nie kłopotało. W zębach trzymał bowiem coś, na czego widok Dzwoneczek wydała z siebie pierwszy prawdziwy, głośny dźwięk po tej stronie.

– Tak – powiedziała.

I słowo to stało się słowem właśnie, nie tylko obłokiem.

Podeszła do kota i wyjęła z jego pyska brudne, lepkie, ale niewątpliwie wróżkowe skrzydła. Jej skrzydła.

– Tak – powtórzyła, padając z nimi na kolana i tuląc je do piersi niczym najcudowniejszy ze skarbów.

Kot natomiast starannie wylizał brudną od śluzu łapę, po czym na nowo wysunął pazury, wycofał się kilka kroków i skoczył… prosto na Dzwoneczka. Rozorał jej twarz tuż pod prawym okiem. Wrzasnęła.

I obudziła się naprawdę.

* * *

– Spokojnie, proszę pani – powiedział gruby ochroniarz, kładąc rękę na plecach przestraszonej kobiety.

Drżała i mocno przyciskała do siebie dziecko. Istniała realna obawa, że zaraz zrobi mu tym krzywdę. Chłopczyk, cztero-, może pięcioletni chlipał cichutko i również wtulał się w matkę; stanowili dwie integralne części tej samej rzeźby.

Ochroniarz ostrożnie podniósł ich oboje naraz i powoli, bez wysiłku przeniósł w głąb sklepu. Potem wrócił po następnych.

Nie bał się. Nie pamiętał, by kiedykolwiek się bał, a teraz czuł tylko wściekłość, uczucie, z którego ani chybi będzie się musiał wyspowiadać w następny piątek. Tak naprawdę trochę się z tego cieszył, bo ostatnio nie miał zbyt wielu grzechów i czuł się źle, wiedząc, że ksiądz Zygfryd pewnie się już nudzi, słuchając tylko o tym, jak to jakiś grubas robi komórką dyskretne zdjęcia kobietom w sukienkach, a potem dotyka się, patrząc na nie. To była jedyna pokusa, której nie umiał w sobie zwalczyć, i za karę skazany był w kółko na powtarzanie jej księdzu. Teraz doszła jeszcze ta wściekłość. Zastanawiał się czy to, że się z niej cieszy, też jest grzechem. W takiej sytuacji byłyby już trzy.

Ryk silników ucichł na krótką chwilę, światła reflektorów przestały zasuwać po ścianach jak pijane świetliki i motocykliści znowu zebrali się pod samym wejściem. Ochroniarz zastanawiał się, czy gdyby teraz tam wypadł i spuścił im wszystkim łomot, dostałby za to medal i pochwałę od kierownika. Jednak pobicie tylu ludzi to znowu byłby grzech, i to może nawet ciężki. Ale zaraz, czy on właśnie nie uderzył dwóch spośród tych wariatów? Nie zrobił tego mocno, ale chyba nadal się liczy. I czy to jest tylko cztery, czy cztery i pięć?

Tuż za ruchomymi drzwiami dostrzegł pana Stanisława, starszego ochroaniarza poruszającego ustami jak ryba bez wody i trzymającego się za lewą rękę. Wiedział, co to znaczy – pan Stanisław był chory na serce. A oni go wystraszyli.

Ochroniarz poczuł, że robi mu się gorąco na twarzy, a ręce same zaciskają się w pięści. Pan Stanisław jest dobrym człowiekiem, a dobrych ludzi należy bronić i to już nie jest grzech, kiedy w ich obronie spuszcza się łomot pierdolonym obszczymurom. Pierdolonym jebanym skurwotafonom w skórach ze świńskiej pizdy napierdalającym na tych ich… tych ich… tych… no kurwa motorach!

Licznik grzechów bił jak oszalały i chyba zbliżał go do piekła, bo z każdą chwilą robiło mu się coraz bardziej gorąco. Ruszył w stronę wejścia akurat w chwili, gdy ustawione w kolumnę motocykle ruszyły powoli przed siebie. Jeśli teraz pobiegnie, jeszcze je złapie. Jeszcze zrzuci przynajmniej kilku, a potem…

Tuż przed nim skapnęła nagle z sufitu ogromna kropla smoły, która w jednej chwili rozlała się w kałużę, a w następnej uniosła,

stając kimś na kształt… człowieka ubranego w smołę.

– Och!

To była jedyna reakcja ochroniarza, zanim czarna ręka wystrzeliła w stronę jego ust i w jednej chwili pokryła niemal całą twarz niczym maska.

– Śpij – szepnął stwór, a ochroniarz, choć wcale nie chciał, zrobił co mu kazano.

Dopiero wtedy Cień pozwolił sobie na pełną transformację w Lubego. Pochylił się na moment, zaczerpnął kilka razy powietrza, by rozkołysać rytm oddechu, po czym pobiegł w głąb sklepu, zająć się pamięcią i świadomością pozostałych świadków zdarzenia.

Było ich kilkunastu, jeśli liczyć garstkę klientów i dwóch pracowników z kas. Co prawda, ci ostatni wcale nie musieli nic widzieć, ale Cień wolał nie ryzykować. Uporał się z nimi szybko, każdego z nich usypiając podobnie jak Kruszynę, bo to teraz było najpilniejsze działanie. Resztą, uznał, zajmie się później.

A potem, gdy przyjechała policja, łącznie trzy radiowozy, sześciu funkcjonariuszy – prawdziwie silne zbrojne ramię prawa wysłane do walki z gangiem motocyklistów – gdy już zaparkowali i wysiedli, dobywając broni, z uśmiechem na twarzy wyszedł im na spotkanie.

Wiedział, że wraz z Piotrusiem wróci prawdziwa zabawa i frajda. Nie miał pojęcia, że stanie się to szybko.

* * *

Droga – spękana, podziurawiona, postrzępiona na poboczach jak wyrwana z zeszytu kartka – ciągnęła się prosto w nieskończoność. Nie było horyzontu, nie było perspektywy. Patrząc przed siebie, miała wrażenie, że stoją w miejscu.

Co innego, gdy spoglądała w bok, ale tego wolała nie robić za często, bo wtedy po obu stronach widziała drzewa wyglądające jak obrani ze skóry ludzie. We wszelkich możliwych pozach, wysocy pod niebo albo niscy niczym karły. Ze splecionymi nogami, przodem, bokiem, zgięci i stojący na palcach. Jedne drzewotwory wyciągały przed siebie ręce, których palce przechodziły w suche szpony

gałązek, inne wznosiły ramiona ku białemu jak brzuch ryby księżycowi. Rozdziawione usta były niczym dziuple – w ich pustych wnętrzach mogły uwić gniazda obrzydliwe ptaki pokryte błoną zamiast piór i ze szpiczastymi zębiskami nadającymi ich dziobom wygląd piły.

Potem zauważyła zwyczajną kobietę, nawet ładną, zwłaszcza w nieskazitelnie białej sukience ślubnej, z twarzą rozpromienioną szczęściem. Stała obok starego, złamanego znaku oznaczającego przystanek autobusowy i ściskała męską dłoń urwaną nieco za nadgarstkiem. Z kończyny wystawał kawałek kości, biały jak suknia kobiety.

Kaśka wtuliła się mocniej w plecy Piotrusia i próbowała zamknąć oczy, ale to wcale nie pomogło, bo wtedy zaatakowały ją zapachy i dźwięki – słodka woń jagodowego placka doprawionego zapachem soli morskiej i żelaza, włosów świeżo wymytych owocowym szamponem i teraz tlących się lekko na gazie. Szept kochanków, romantyczny i bez wątpienia zrodzony z miłości, choć pełen tak paskudnych słów i jeszcze obrzydliwszych deklaracji, że Kaśce zrobiło się niedobrze. Otworzyła oczy i z ulgą zorientowała się, że głosy i zapachy nieco zelżały.

Był za to chłopczyk, może pięcioletni, ale z grymasem obleśnego starca na twarzy. Nagi, maleńką dłonią trzymał się za siusiaka i wodził stanowczo za długim, pobielałym językiem po szczerbatych zębach.

Mdłości nasiliły się i już była pewna, że tym razem ich nie opanuje, ale wtedy powietrze przed nimi zafalowało, a oni wypadli na żwirową drogę normalnego świata.

Przed nimi rozciągał się obudowany palisadą las pełen rozłożystych dębów. Kaśka już z daleka dostrzegła liny i światła w koronach drzew, zauważyła też zasieki na szczycie palisady i wieże wyglądające na strażnicze. Gdy dojechali pod samą bramę, na jednej z nich pojawił się strażnik. Rozpoznawszy Stalówkę, przekazał coś przez radio i po krótkiej chwili brama, drewniana, ale zamocowana na metalowej szynie, przesunęła się na bok, odsłaniając ogromny plac cały wylany asfaltem z wyjątkiem tych miejsc, gdzie wyrastały drzewa. Teraz na środku tego parkingu

skąpanego w żółtawym świetle wszechobecnych lamp stały uginające się od jedzenia stoły i skrzynki pełne wszelkich napojów, od wody po czysty spirytus.

Motocykle wjechały za bramę, a wtedy ktoś zawołał: „Teraz” i dwie szarpnięte liny uniosły stelaż z rurek, na którym ubrane w erotyczną bieliznę tancerki natychmiast ułożyły się najpierw w słowo „WITAJ”, potem „PIOTR”, a wreszcie „BIERZ” i „NAS”. Każda z dziewczyn odpowiadała za jedną literę, a ostatni wyraz ułożyły z siebie trzy środkowe, podczas gdy dwie po bokach miały wypiąć się z uprzęży, zeskoczyć na ziemię i doskoczyć do Piotrusia. Udało się jednej, druga zaplątała się nogą i spadła boleśnie na bark. Zaraz kilku spośród zgromadzonych wokoło mężczyzn rzuciło się do niej, wyjąc jak wilki, bardziej pomacać, niż pomóc.

Druga z dziewczyn opadła gładko na ziemię. Zmysłowo kołysząc biodrami, ruszyła w stronę motocyklistów. Była zgrabną, drobną blondynką o dużym biuście i wydatnych ustach, naturalnie czerwonych jak dojrzałe czereśnie. Włosy obcięte miała na wysokości szczęki, by tym mocniej kusić zgrabną szyją i śliczną linią obojczyków. Nogi w siatkowych kabaretkach były wręcz stworzone, by opleść się wokół męskich bioder w rozkosznym uniesieniu.

Motocykliści, ci w kolumnie i ci po obu stronach parkingu – razem blisko setka mężczyzn w różnym wieku – wyli teraz niemal wszyscy i wyklepywali rytm na kolanach, a dziewczyna zgrabnie dostosowała do niego krok. Minęła pierwszego Chłopca z kolumny, muskając koniuszkiem palca jego pierś, a potem wyciągnęła rękę po świeżo odpalonego papierosa Stalówki, ale cofnęła ją, gdy dostrzegła jego znudzone, lecz jakże wymowne spojrzenie. Wreszcie zatrzymała się przed Piotrusiem i wsunęła palec do ust z zaciekawioną miną małej, niegrzecznej dziewczynki. *Co chcesz, bym teraz zrobiła?*

Piotruś roześmiał się na ten widok i zakręcił palcem młynka, nakazując jej, by się obróciła. Zrobiła to, a potem zgięła się w pół na wyprostowanych nogach, prezentując jędrne pośladki osłonięte jedynie cienką nitką stringów. Wciąż pochylona odchyliła ręce do tyłu, położyła dłonie na kształtnych półkulach i rozsunęła je zapraszająco na boki. Wycie przeszło w ujadanie, szczekanie, pianie na granicy szaleńczej zbiorowej ekstazy.

Piotruś poruszył się na siedzeniu, sięgnął ręką do krocza.

Dziewczyna wypinała się jeszcze przez moment, po czym wyprostowała się powoli, odwróciła i tym samym zmysłowym, rozkołysanym krokiem podeszła do Wiecznego Chłopca. Zdjęła mu dłoń z przyrodzenia, zastąpiła ją swoją, jego rękę natomiast położyła na swojej piersi. Syknęła z rozkoszą, gdy wsunął palec w rowek między jej piersiami.

Coś poruszyło się za jego plecami. Kaśka powoli zsiadła z motocykla i przez moment przyglądała się toczącej się na jej oczach scence z rękami wspartymi na biodrach i wyraźnie zdegustowaną miną. A potem nagle postąpiła dwa kroki do przodu, złapała dziewczynę od tyłu za włosy i kopnięciem podpatrzonym u Stalówki na parkingu trafiła tamtą pod kolana. Blondynka pisnęła z zaskoczenia i bólu, gdy nogi ugięły się pod nią i runęła na asfalt. Pozostała wyprostowana, bo Kaśka wciąż trzymała ją za włosy. Teraz jeszcze obeszła ją lekko, odchyliła jej głowę mocniej do tyłu i ręką zaciśniętą w pięść uderzyła w drobny, lekko zadarty nosek. Trudno powiedzieć, co widziała w tej ślicznej, symetrycznej twarzy, w tych przestraszonych oczach, w ustach uformowanych w pełne zdziwienia „och!”. Czy była to pozbawiona wyrazu twarz Michała, czy wściekła, czerwona od nabrzmiałych żył gęba dyszącego nad nią, gwałcącego ją Janka? A może nie było tam wcale wspomnienia, ale zimna kalkulacja, prosta operacja, która już na starcie zapewni jej miejsce, jakiego oczekiwała dla siebie od nowego życia?

Powód nie miał znaczenia. Liczyły się tylko ciosy, ten tępawy, w jakiś sposób przyjemny bliski swędzeniu ból w dłoni, gdy knykcie zderzały się z chrząstką nosa, z kośćmi policzkowymi, miąższem warg. Liczył się ryk rozentuzjazmowanego tłumu, głośne owacje i przerażone piski pozostałych tancerek z rusztowania. Liczyło się piękno, które z każdym kolejnym ciosem przestawało być zagrożeniem.

Decyzja, by się tu znaleźć, by pojechać nie wiadomo dokąd z młodocianym mordercą i jego gangiem, była najbardziej popierdoloną i niezrozumiałą w jej życiu, ale już ją podjęła i wciąż widziała w niej szansę na nowy początek. Jaka będzie w tym nowym życiu? Czy stanie się ofiarą, jak w poprzednim, czy sama zacznie

ustalać zasady? To wszystko zależało od tej chwili, od tej unoszącej się i opadającej pięści, od niemych błagań tej dziwki, która chciała jej ukraść Piotrusia.

Nagle poczuła ukłucie, więc przerwała na moment i uniosła dłoń, by się jej przyjrzeć. Z palca wskazującego wystawał teraz mały, różowy kawałek kości. Ząb. Wybiła tej kurwie ząb. Odchyliła jej głowę jeszcze mocniej i stanęła bokiem, by pokazać ją Piotrusiowi. Ten wzdrygnął się, ale obrzydzenie wciąż wymieszane było z rozbawieniem.

– Wciąż ciekawi cię, jak smakują jej usta, Wieczny Chłopcze?

Wzruszył ramionami, a wtedy ona pochyliła się nagle, również na prostych nogach, również wypinając pośladki w stronę wiecznego chłopca. Ująwszy zmasakrowaną twarz dziewczyny, wpiła się ustami w nabrzmiałą miazgę warg tamtej.

Tłum zawył jeszcze głośniej i nie ustawał w jazgocie, aż odsunęła się wreszcie i z ustami brudnymi od krwi zwróciła się do Piotrusia.

– To skosztuj.

Postąpiła krok w jego stronę, a on przyciągnął ją do siebie i pocałował. W tym pocałunku nie było już niepewności i nieśmiałości jak wtedy w domku Michała. Była dzikość i siła wojownika dumnego ze swojej kobiety.

A gdy otworzyła oczy i spojrzała zza ucha Wiecznego Chłopca na Stalówkę, ten zaklaskał z uznaniem.

* * *

Gdy Cień zjawił się blisko dwie godziny później, zabawa trwała już w najlepsze. Na parkingu szaleli pijani motocykliści na odrapanych enduro; pod drzewami, we wszystkich rogach kątach obozu, a nawet pod stołami Chłopcy ujeżdżali dziwki z głośnymi kowbojskimi wrzaskami. Inni pili na umór, dojadali żarcie z grilla i próbowali śpiewać. Ktoś się bił, grupa śmiałków grała w masę na betonie, nieopodal bramy toczył się pojedynek na pochodnie.

Piotruś siedział u szczytu stołu z Wendy na kolanach i kolejne pocałunki zapijał czerwonym winem. Nie chciał się upić, nie teraz,

gdy czekała go rozmowa.

Dostrzegł Cienia, przeprosił na chwilę i ruszył w jego stronę. Poklepał po głowie jak bulwa przerośniętego mięśniaka, który, skończywszy z czułością opatrywać zmasakrowaną twarz blondynki – oszołomionej teraz mieszanką vicodinu i wódki – zabierał się właśnie do ściągnięcia jej majtek. Ten wyszczerzył się z zadowoleniem.

W tym czasie Cień zawołał do siebie dwóch w miarę trzeźwych motocyklistów i kazał im wyciągnąć ze swojego samochodu kompanów pozostawionych wcześniej na sklepowym parkingu. Było ich pięciu: trzech rannych, w tym jeden ciężko, dwóch martwych w bagażniku.

– Mieliście szczęście, Wieczny Chłopcze – powiedział Cień, gdy Piotruś już się zbliżył. – Zdążyłem jakoś to uprzątnąć i namieszać wszystkim w głowach. Ale nie zawsze będziecie mieć tyle szczęścia. Będziesz musiał wprowadzić tu jakieś porządki.

Piotruś pokiwał głową na znak, że rozumie i że to oczywiste.

– A co z Kruszyną? – zapytał.

– To samo co ze wszystkimi pozostałymi. Czeka na swój moment, Wieczny Chłopcze. Czeka, choć jeszcze o tym nie wie, aż zjawisz się, by zabrać go na największą przygodę jego życia.

– To?

Piotruś pokazał kciukiem za siebie.

– Ależ skąd. To jedynie fundament. Zrobiłem, co mogłem, ale umówmy się, to ty jesteś mistrzem zabawy. Potrzebujesz tylko chwili, by się zaaklimatyzować. Potrzebujesz ludzi, którzy zapomnieli o wszystkich urazach i teraz dzięki sugestii są niczym pionki i figury rozstawione na szachownicy. Ale to ty siedzisz za stołem. Ty grasz.

Piotruś wzruszył ramionami.

– Nie lubię szachów.

– Nie mówiłem o szachach. Ci wszyscy tutaj – wskazał ręką na bawiącą się gawiedź – są przekonani, że zawdzięczają ci życie. Każdemu z nich sprzedałem opowieść, ich umysły miesiącami lepiłem jak glinę, aż znaleźli się tutaj, czekając na ciebie. Ale w przypadku tych naprawdę ważnych, tych, na których zależy ci tak czy inaczej, zrobiłem ci tylko nowy, czysty start. Kędzior, Milczek,

Bliźniacy, Kruszyna… oni wszyscy czekają, Piotrusiu. Czekają, aż ich odnajdziesz. A ta zdradziecka dziwka czeka, aż podejmiesz co do niej decyzję, choć żaden z nas nie ma wątpliwości, jaki będzie wyrok, prawda?

Kolejne wzruszenie ramion. To było tak oczywiste, że naprawdę nie wymagało komentarza. Zamiast tego Piotruś zapytał:

– Co pamięta Kędzior?

– Mniej więcej to co na wyspie, potem ma lukę i wspomnienia już stąd. Z początku myślałem, żeby opowiedzieć mu, jak to wypchnąłeś go do tego świata, ratując go przed Hakiem, ale po namyśle uznałem, że może ci się to nie spodobać.

– Słusznie. – Wieczny Chłopiec podrapał się po kroczu. – To co teraz, Cieniu?

Zapytany sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej papierosy.

– Jutro przedstawię ci pierwszą propozycję rozgrywki – zapalił, zaciągnął się dymem, wypuścił. – Dotyczy Bliźniaków, jest dość pilna i zapowiada się na pełną ryzyka i dobrej zabawy. Dziś natomiast…

Nie musiał kończyć, bo cała ta leśno-asfaltowa forteca dudniła i huczała odpowiedzią.

Dziś baw się najlepiej, jak potrafisz, Piotrusiu Panie.

* * *

Gdy się ocknęła, wciąż była naga, zupełnie jak we śnie. Policzek pulsował tępym bólem, a szyję łaskotały krzepnące strużki krwi. Palce dłoni i stóp lepiły się do siebie i mogłaby przysiąc, że w jej sklejonych w strąki włosach coś się rusza.

Nie znajdowała się już jednak w makabrycznym świecie Skrótu, a w wyłożonym drewnem gabinecie Lubego. Siedziała w skórzanym fotelu, przyjemnie chłodnym i nieprzyjemnie lepkim; oddychała płytko. Ręce przyciskała do piersi, jakby coś tuliła, ale w rzeczywistości nie było tam niczego. Tylko jej ręce i piersi, jedna dłoń zaciśnięta w pięść…

Rozchyliła palce, spojrzała na to, co znajdowało się we wnętrzu, i wybuchnęła śmiechem.

– Panie Proper, ty szelmo! Ty niecnoto! – zawołała i zaśmiała się coraz głośniej. – Ty pierdolony… kocie! Dziękuję!

Spojrzała raz jeszcze. Na jej brudnej dłoni leżał sklepowy paragon.

PIĘĆ

Tak, słucham?

Ukłucie paniki. Kobiecy głos? Dlaczego? Odsunęła od ucha bezprzewodową słuchawkę, jeszcze raz sprawdziła numer zapisany pospiesznie na żółtej karteczce i porównała go z tym na maleńkim, zielonym wyświetlaczu. Numer się zgadzał, czyli albo pieprznęli się w centrali, albo…

– Haaalo!

– Przepraszam, pom… – zaczęła, ale wtedy do niej dotarło.

Przecież on jest żonaty. Poznała nawet jego żonę. Miała na imię, no… Ma…

– Cześć, Monika, z tej strony Dzwoneczek.

– O, witaj! – Wyraźnie się ucieszyła. – Coś się stało?

– Nie, w porządku, tylko… – Dzwoneczek zerknęła na stojący na biurku zegarek. – Ojej, dopiero teraz zobaczyłam, że jest tak wcześnie. Mam nadzieję, że was nie obudziłam.

– Nie, skąd – Monika się zaśmiała.

Gdzieś w oddali, w jej dźwiękowym tle rozległ się męski głos, na którego dźwięk serce Dzwoneczka zabiło szybciej. Jej rozmówczyni odkrzyknęła coś, z czego zrozumiałe było jedynie imię wróżki, a potem na nowo odezwała się do słuchawki:

– Paragon jest w łazience, poczekasz chwilkę czy oddzwonić do ciebie?

– Poczekam.

– Świetnie. I w ogóle znakomicie cię słyszeć. Ostatnim razem żałowałam, że nie udało nam się dłużej porozmawiać ani nawet pożegnać, a teraz… O czekaj, jest już mój mężulo. Ej! Wytarłbyś się, łamago, wszystko zachlapie…

Jej głos przeszedł w śmiech, czy też raczej figlarny chichot. Trwało to dłuższy moment, dla Dzwoneczka pełen szumów, trzasków i pojedynczych zrozumiałych słów. Wreszcie w słuchawce rozległ się niski, głęboki głos Paragona:

– Ho, Dzwoneczku, widzę, że nagle wszyscy sobie o mnie przypomnieliście.

Wróżka aż się wyprostowała na fotelu. Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.

– Jacy wszyscy?

– No… najpierw Kościej, teraz ty. – Były Chłopiec się roześmiał. – Może rzeczywiście trochę przesadziłem z tym „wszyscy", ale po takim czasie, gdy nagle… Nieważne, co tam?

Dzwoneczek zanotowała na osobnej kartce imię Kościeja jako tego, o którym również zupełnie zapomniała. Jeśli z Paragonem nie wyjdzie, będzie musiała zwrócić się do Ukraińca. Kto wie, może i tak będzie musiała, choć wiedziała, że znalezienie go nie będzie łatwe. Ale co, do kurwy nędzy, było łatwe w jej pieprzonym życiu?

– Dzwoneczku, jesteś tam? – zaniepokoił się Paragon.

– Jestem, jestem. Paragon, powiedz mi, za ile możesz tu być?

Tego się nie spodziewał. Nagle wciągnął powietrze, musiał się też wyprostować, a może pobledną ć, bo Dzwoneczek słyszała zatroskany głos Moniki pytającej pewnie, co się stało. Niemal widziała, jak mąż powstrzymuje ją od pytań gestem wzniesionego palca. *Nie teraz.*

– Dzwoneczku, co się stało?

– Wszystko! – stwierdziła, a potem, choć nie była jeszcze pewna, dodała: – Pan!

Znowu odgłos wciąganego powietrza, wydech z wulgarnym bluźnierstwem, a potem spokojne, acz stanowcze:

– Daj mi cztery godziny. Coś zabrać?

Była przygotowana na to pytanie. Przewertowała żółte karteczki i odnalazła tę z listą. Przeczytała ją teraz.

– Dobra – powiedział, gdy skończyła. – Będę miał wszystko. Jadę.

– Ale spokojnie, nie panikuj, tylko jedź ostrożnie – poprosiła. – To ważne, ale nie aż tak pilne, byś miał się narażać na

niebezpieczeństwo. A, i jeszcze jedno. Dziękuję, Paragon.

– Naprawdę nie ma za co… mamo.

* * *

Piotruś obudził się w domku na drzewie. Jak się tam dostał, było dla niego nieodgadnioną tajemnicą, zwłaszcza że ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była próba przejścia przez podest, zeskoczenia z niego i dotarcia do rosnących wzdłuż palisady krzaków, by się odlać. Próba udana tylko połowicznie, ostatecznie bowiem spadł z podestu i zlał się pod siebie. Pewnie dlatego leżał teraz na posłaniu nago – by nie zasmrodzić izdebki szczynami.

Rozejrzał się wokoło i uśmiechnął, bowiem pomieszczenie z jednej strony bardzo przypominało jego pokój w Drzewie Wisielców w Nibylandii, a z drugiej było zupełnie, zupełnie odmienne. Tam, gdzie powinna wisieć tęcza zaplątana w pajęcze sieci, znajdowała się zielono-żółto-czerwona flaga z dużym czarnym liściem pośrodku. Skradziony piratom sekretarzyk zastępowała skrzynka z przymocowaną do niej lampką nocną i listwą, do której wpięty był pancerny laptop. Kolekcję szpad, rapierów i sztyletów na ścianie po lewej zastąpiły japońskie miecze i noże, a także repliki filmowych broni podpisane *Conan* i *Kurgan*. Szafa po lewej, jak tamta po brzegi wypełniona ciuchami, nie miała zdobień czy lwich nóżek, za to lustro znajdowało się nie po wewnętrznej stronie drzwiczek, a na zewnątrz. Było też zdecydowanie większe i czystsze. Na razie.

Jedynym, co pozostało właściwie niezmienione, były hamak niemal pod samym sufitem oraz siennik, na którym teraz Piotruś siedział. Ten ostatni nawet w jakimś stopniu pachniał tak samo – wiatrem, ogniskiem, świeżo skoszonym sianem i…

Wieczny chłopiec pociągnął nosem raz, drugi, po czym odwrócił się gwałtownie i rozgarnął kłębowisko koców. Pod nimi spała jego nowa – jedyna, one zawsze są jedyną – Wendy. W przeciwieństwie do niego kompletnie ubrana leżała na brzuchu i posapywała cichutko przez sen. To jej zapach, woń świeżego potu, parującego przez skórę alkoholu i wietrzejących perfum wzbogacił teraz jedyny

w swoim rodzaju bukiet siennikowych woni. I coś mówiło Piotrusiowi, że wpisze się w niego na stałe.

Przypomniał sobie, co ta dziewczyna przeżyła wczoraj: scenę w domku, opresję, z której ją wyciągnął, a potem to, jak podziękowała mu tak, jak Wendy powinna, całusem. Później wydarzenia pod centrum handlowym i wreszcie przyjazd tutaj. To, jak ostro rozprawiła się z tamtą dziwką, jak wyraźnie zaznaczyła, że chce być jego i że nie lubi konkurencji. Raaany, to było naprawdę dobre!

Przez moment zastanawiał się, czy jej nie dotknąć, ale się rozmyślił. Wstał, podszedł do szafy i znalazł w niej dżinsy. Wciągnął je na tyłek, po czym przejrzał pozostałą zawartość. Zdecydował się na biały T-shirt z oderwanymi rękawami i bordową satynową kamizelkę. Pas wybrał gruby, z Uroborosem – wężem pożerającym własny ogon – na klamrze. Na niego nawlókł pochwę jednego z długich noży myśliwskich o drewnianej rękojeści. Zamontował ją z tyłu, pod kątem, i dla pewności sprawdził, jak łatwo może dobyć broni w razie potrzeby.

Zadowolony z rezultatu dobrał jeszcze jedno ostrze, które mieściło mu się w wysokich trampkach ozdobionych krzyżem z brytyjskiej flagi, a potem związał włosy czerwoną bandaną. Przejrzał się w lustrze i uznawszy, że wygląda dokładnie tak, jak chciał, wyszedł z izdebki. Złapał za uchwyt zamocowany na linie opadającej pod ostrym kątem niemal prosto na podest i zjechał na dół. Tam, przy stole, pośród wciąż śpiących i wciąż pijanych motocyklistów, czekał na niego Cień.

– Kawy? – zapytał na powitanie.

Piotruś wzruszył ramionami. Kiedyś powiedziałby, że ani mu w głowie pić smołę, ale to było, zanim został kapitanem piratów. Wtedy się nauczył, że nie ma nic lepszego po nocy z alkoholem niż poranek z kawą. Nawet jeśli wydaje ci się, że nie miewasz kaca.

– Czarną i dużo cukru – powiedział, wchodząc na podest.

Przestąpił nad pochrapującym grubasem, urwał zimnej już przepiórce jej pieczone udko, ugryzł. Potem strącił z fotela śpiącego na nim patykowatego szczyla, usiadł i oparł nogi na stole.

– Jak spałeś? – zapytał Cień.

Nalał do kubka kawy, którą miał w srebrnym termosie wyglądającym trochę jak pocisk do ogromnego działa.

– Jak nowa Wendy?

– Śpi. A jak spałem, nie wiem. Spałem. Kto urządzał mój pokój?

– Jak myślisz?

Piotruś wzruszył ramionami. Wziął podany mu kubek, upił łyk i się skrzywił.

Cień odpalił papierosa.

– Rozmawiałem dziś rano ze Stalówką – rzekł. – Opowiedział mi o akcji twojej pani. Był pod wrażeniem. Ja też jestem, ale uważaj na nią. Jeśli jest coś, czego nauczyłem się tu, na tym świecie, to właśnie to, że niespecjalnie dobrze znamy się na kobietach. Gdybyś ty wiedział, co ta dziwka…

– Nazywaj ją po imieniu.

– Dobra – Cień wzruszył ramionami. – Gdybyś wiedział, co Dzwoneczek była w stanie tu przeżyć, co zrobić i jak to wszystko ogarnęła… No cóż, byłbyś pod wrażeniem.

Piotruś cisnął obgryzioną kostkę za siebie i pochylił się, by sięgnąć do trójkątnych kanapek z szynką i nieco już zwiędłą sałatą. Nie dał rady, więc machnął ręką i odpuścił.

– Co takiego ogarnęła? – zapytał.

– No, wszystko. – Cień zatoczył łuk ręką z papierosem. – To jak, powiedzmy… wychowała Chłopców, jak opracowała recepturę na syrenie łzy i na hurtową produkcję swojego proszku. Dostosowała się do tego świata dużo szybciej niż ja, a przecież ja miałem dużo większe możliwości, dużo większe moce. Zresztą ta cała przykrywka, ten zmyślony Luby, jego pieniądze i wpływy, na nic by mi się zdały, gdybym nie podkradł jej pewnego dnia tych przeklętych łez i receptury. Gdyby nie to, cóż… nadal by cię tu nie było.

– Ale wygrałeś – stwierdził Piotruś.

Cień pokiwał głową.

– Tak, Piotrusiu. Bitwę. I dlatego, że znałem jej słabe punkty, wiedziałem, jak zastawić pułapki, podsunąć jej małego, mimowolnego zdrajcę, wywrócić jej świat do góry nogami. Ale nie łudźmy się, dobry strateg korzysta ze słabych punktów wroga, ale

zna przede wszystkim te mocne. I tu, Wieczny Chłopcze, leżymy bardziej, niż myślisz.

Zaciągnął się raz jeszcze, dopił kawę, po czym odstawił kubek i sięgnął do stojącej obok fotela teczki.

– Dlatego właśnie mówię ci, byś uważał z tą Wendy, i dlatego, choć decyzja co do Dzwoneczka należy do ciebie, mam nadzieję, że załatwisz ją szybko i ostatecznie – kontynuował, mocując się z zamkami neseseru. – Nie dziś, nie jutro, nie śpieszy się aż tak, zresztą mamy pilniejsze plany, z którymi zaraz cię zapoznam. W stanie, w którym jest obecnie, mogłoby minąć nawet parę tygodni czy miesięcy, zanim doszłaby do siebie i odkryła, że została oszukana. Ale to jej „nie wierzę we wróżki”, które zdjęło jej czary i cię tu wreszcie wpuściło… Pracowałem na to cały swój czas tutaj, przeszło dwadzieścia lat przygotowań, planów i prawie rok wdrażania. Ale to było, Piotrusiu, tylko chwilowe zwątpienie. Nie miejmy co do tego wątpliwości. I nie chcę nawet myśleć, do czego zdolna będzie ta dziwka, jeśli damy jej czas, by się pozbierała.

* * *

Zauważyła go przez dużą, częściowo przyciemnioną witrynę kawiarni, jeszcze zanim wszedł do środka. Zareagowała jednak tylko zdjęciem modnych okularów w rogowej oprawce i wyprostowaniem się.

Siedziała w głębi lokalu na miękkiej sofie pochylona nad parującym, ogromnym kubkiem kawy. Ubrana w jasne, szerokie płócienne spodnie i białą bluzkę na ramiączkach, ze starannie ułożoną fryzurą i jeszcze chwilę temu wielkimi okularami na nosie niemal w niczym nie przypominała dawnej siebie i przez moment nie była pewna, czy Paragon ją rozpozna. Ale było wcześnie, wciąż jeszcze przed południem, i lokale jak ten, zwłaszcza w małych miasteczkach, nie narzekały na tłumy klientów. Dlatego ledwie wszedł i omiótł pomieszczenie wzrokiem, już ją widział, już szedł ku niej.

Niewiele się zmienił. Włosy miał teraz trochę dłuższe, zaczesane do tyłu z rozsądnym dodatkiem żelu. Zapuścił też całkiem długą, choć również bardzo zadbaną brodę, która wydłużyła mu twarz i nadała jej jeszcze groźniejszy wygląd. Miał na sobie skórzany płaszcz do połowy uda, a pod nim T-shirt ze sterowcem Led Zeppelin.

Przechodząc koło kontuaru, ukłonił się brzydkiej barmance i bez zatrzymywania się wyjął kartę. Zanim doszedł do stołu, zdążył wybrać, odwrócić się i złożyć zamówienie. Bezużyteczne już teraz menu położył na mijanym stoliku.

Dzwoneczek obserwowała go uważnie. Był poważny, ale zachowywał się swobodnie; ruchy miał wyluzowane, co zupełnie nie pasowało jej do tego, jakim go zapamiętała. Czyżby to też była mimo wszystko pułapka pamięci? Czyżby Paragon, owszem, istniał, ale naprawdę był w jej życiu kimś innym, jak Milczek? Może dawnym kochankiem, może…

Nie, potrząsnęła głową i odruchowo złożyła ręce do klaśnięcia. Uwierz w siebie, dziwko. Z tobą jest wszystko w porządku. To świat popierdoliło. To wszystko jego sztuczka. Cień tam, w piwnicy, miał rację i słusznie się bał. Piotruś znalazł wreszcie sposób, by przełamać barierę i ich znaleźć. Znalazł sposób, by ją podejść. Tylko jakim cudem tego dokonał?

– No to jestem – powiedział Paragon, sadowiąc się na wielkim, skórzanym fotelu obok jej stolika. – Sama? Sądząc po twoim głosie i słowach, sprawa jest poważna, więc chyba powinniśmy być tu wszyscy.

– I jesteśmy – odparła. – Wszyscy, którzy na ten moment zostali.

Uśmiech w jednej chwili zszedł z jego twarzy. Wyprostował się, spojrzał jej w oczy.

– Jak to? Jak to, kurwa?! Wszyscy… Co się stało?

Wzruszyła ramionami i przyłożyła ręce do twarzy, jakby chciała zetrzeć z niej zmęczenie.

– Nie wiem, mam teraz przede wszystkim pierdolnik w głowie i same znaki zapytania. Od wypadku…

– Jakiego wypadku? – wszedł jej w zdanie.

Zaczęła więc od początku, mówiąc mu o wszystkim – zarówno o tym, co zapamiętała, jak i o tym, co jej przypominano. Mówiła o Barcelonie, która rzekomo wcale nią nie była, o Lubym i dziwnej z nią relacji, o Milczku… Tak, zwłaszcza o nim, mówiącym.

– Jak to w ogóle możliwe? – zapytał Paragon. – Jak niemowa może tak po prostu…

– On nie był niemową. On po prostu nie mówił. I jak to możliwe? Nie mam pojęcia, ale podejrzewam…

Umilkła na chwilę, bo do ich stolika podeszła właśnie młodsza wersja brzydkiej barmanki – zapewne córka – i postawiła przed Paragonem parujący kubek z białą kawą. Mężczyzna podziękował i sięgnął po cukiernicę.

– Wybacz, Paragon, ale nie wiem, nie pamiętam, ile ty naprawdę wiesz o tym… no, o miejscu, skąd pochodzimy. Ja i Chłopcy…

Wyciągnął otwartą dłoń, zakołysał nią w lewo w prawo. *O tyle, o ile*.

– A wiesz w ogóle, skąd się wzięły syrenie łzy?

Tu pokręcił głową.

– Wiem tylko, jak działają – odparł. – To znaczy, do czego ich używałaś… Używaliśmy.

Dzwoneczek upiła kawy i przez chwilę wpatrywała się w widok za oknem. W ruchliwą ulicę miasteczka, przechodniów, zmieniające się światła na skrzyżowaniu. W końcu przełknęła ślinę i zaczęła mówić, wciąż wpatrzona w jakiś odległy punkt:

– Syreny, przynajmniej tamte w Nibylandii, bo nie znam innych, prawie zawsze były ponure. Nie lubiłam ich, Chłopcy też nie, choć ich śpiewy były naprawdę piękne i gdy kładłeś się wieczorem i wytężyłeś słuch, usypiały cię lepiej i milej niż niejedna kołysanka. Sprawiały, że czułeś się lepiej, ale tylko dlatego, że nie rozumiałeś słów. Bo to były żale, cierpienie całego morza, które wdzierało się z wodą w ich ciała, wsączało przez skórę i rozdzierało im ducha na strzępy. Wiedziały o każdej krzywdzie, jaka stała się na powierzchni wody i pod nią. Więcej nawet, nie tylko o niej wiedziały, lecz także ją czuły całymi sobą od czubka głowy po koniec ogona. A najgorsze, że jedyne, co mogły z tym zrobić, to o tym śpiewać. Albo płakać… Sądzisz, że mogę tu zapalić?

– Wątpię. – Paragon rozejrzał się po lokalu, zauważył tabliczkę z przekreślonym papierosem. – Chcesz się gdzieś przenieść?

– Nie, w porządku, wytrzymam. – Upiła kolejny łyk. – W każdym razie jedyny moment, kiedy syreny były szczęśliwe, to ten, gdy zapominały. Kiedy leżały na kamieniach ponad taflą wody i gdy płacząc, wylewały z siebie resztkę soli, żalu, złych wspomnień. Podobno tak działał właśnie ich organizm – przyjmowały, brały na siebie cały żal, filtrowały go i oddawały morzu w postaci łez zsyłających zapomnienie. Pewnie kiedyś, gdy było ich więcej, owo zapomnienie wystarczyło, by oczyścić wody z całego cierpienia. Teraz tylko ogłupiało niektóre ryby. Ale one, kiedy tak siedziały na kamieniach i już wypłakały, co miały wypłakać, były najradośniejszymi stworzeniami pod słońcem. Szczebiotały, żartowały, flirtowały z Piotrusiem i z Indianami, śpiewały sprośne piosenki piratów, pewnie nie rozumiejąc z nich wiele – bez swej pamięci nie były za mądre. Aż wreszcie w tej całej euforii zapominały się, wskakiwały do wody i już, wszystko zaczynało się od nowa. Aż do tego dnia, gdy jedna z nich wpłynęła do jaskini i tam, kawałek dalej, w głębi znalazła podziemne jezioro.

Przerwała i przeniosła wzrok na Paragona. Wyraz jego twarzy sprawił, że uśmiechnęła się smutno.

– Tak, to wszystko jest ważne, a przynajmniej tak mi się wydaje. Jest ważne, jeżeli mam rację.

– A jeśli nie masz?

Rozłożyła ręce.

– Wtedy nie mamy nic, Paragon. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

Kiwnął głową powoli, z rozwagą i zakręcił palcem młynka. *Opowiadaj dalej.*

– Jezioro, wypełniona wodą skalna niecka, było oddzielone od morza jak to tylko możliwe, bo nie dość, że nie łączyły się żadnym kanałem, to jeszcze ten mały zbiornik znajdował się wyżej, dlatego nawet przypływy nie mieszały wody. I teraz opowieść milczy na temat tego, co nakłoniło syrenę, by przeczołgać się te kilka metrów po skale, by dostać się do tej drugiej wody. Ciekawość? Zwykła nuda? Tak czy owak zdecydowała się na to, a gdy już się tam

znalazła, usłyszała niesiony echem śpiew sióstr, co, w połączeniu ze słonym cierpieniem morza, jakie zalegało w jej ciele, sprawiło, że zapłakała. Słone krople jej łez wpadły do wody w jeziorze i… zaczęły się gromadzić na powierzchni niczym plama nafty czy benzyny. Nie mieszały się z wodą nic a nic.

Ktoś wszedł do kawiarni. Choć Dzwoneczek siedziała daleko od drzwi i nowo przybyły nie miał prawa jej słyszeć, natychmiast przerwała swoją opowieść. Wznowiła ją dopiero, gdy wąsaty jegomość złożył zamówienie przy barze i zajął stolik przy drugim oknie.

– To było dla syreny niezwykłe i naprawdę cudowne uczucie, którym natychmiast podzieliła się z siostrami, a one z Piotrusiem. Pamiętam, że ten dał im naszą chochlę i wiaderko, by mogły w ten sposób oczyszczać wodę z łzawego osadu i kąpać się do woli w jeziorze. Bo to była największa wada wypłakiwania łez na słonecznych kamieniach – syreny nie mogły wytrzymać za długo bez wody. To je wysuszało i w konsekwencji zabijało. Teraz ten problem zniknął, bo mogły się spokojnie wypłakać, zebrać chochelką do wiadra te wszystkie łzy, które wpadły do jeziorka, a potem kąpać się do woli w czystej od cierpienia wodzie. Po raz pierwszy, odkąd pamiętały, syreny były naprawdę szczęśliwe. Ale oczywiście do czasu, bo pewnej nocy, w wyniku armatnich strzałów z Wesołego Rogera ukruszył się nad jeziorem jakiś stalaktyt. Było w nim coś, co zmieniło skład wody i sprawiło, że teraz nie tylko nie odrzucała łez, ale wręcz przejmowała ich właściwości. Wystarczyła jedna kropla, by wywołać reakcję w całym zbiorniku. Oczywiście nikt o tym nie wiedział aż do dnia, gdy Piotruś zjawił się tam i znalazł stado zdziczałych, wygłodzonych syren, niepamiętających niczego prócz swych najprymitywniejszych instynktów. Pewnie gdyby Wieczny Chłopiec zjawił się tam parę dni później, zaczęłyby się nawzajem zjadać albo po prostu zapomniałyby, jak oddychać. Piotruś zresztą sprawdził to potem bardzo dokładnie, już jako piracki kapitan, gdy postanowił przeprowadzać eksperymenty z łzami. Zresztą właśnie z wyników tych eksperymentów, okrutnych i nieludzkich, zamierzam teraz skorzystać. To jedyna szansa.

Paragon milczał przez długą chwilę, sącząc kawę łyk po łyku. W końcu odstawił kubek.

– Skąd ty miałaś łzy?

Westchnęła.

– Wzięłam ze sobą z Nibylandii małą buteleczkę oraz małą próbkę wody z jeziorka, zabraną nie wiadomo dlaczego, jeszcze zanim zbiornik wypełnił się łzami, ale już z tymi kawałkami stalaktytu. Jego kawałek też zresztą zabrałam. Myślałam, że tylu jest mądrych ludzi na Ziemi, że ktoś pomoże mi w razie czego sporządzić tu taką wodę, która zamieni się w łzy. Jak się okazało, nie pomyliłam się, a odtworzenie receptury takiej wody zajęło jednemu takiemu, którego poznałam, niecały rok. Co ciekawe, łzy pomnożone w ten sposób tracą tylko jedną swoją pierwotną właściwość – przestają być słone. W podobny sposób zresztą… hmmm, opracowałam metodę masowej produkcji swojego proszku. To, co mogłam sama stworzyć, gdy magię wspomogłam nauką, dało skalę przemysłową…

Znowu zjawiła się brzydka kelnerka i zapytała, czy podać coś jeszcze. Paragon podziękował, Dzwoneczek zamówiła następną kawę, tym razem małą.

– Czeka nas pracowita noc – powiedziała.

Brzydka kelnerka uznała, że to eufemizm dla całonocnego, cudzołożnego rżnięcia i skrzywiła się z dezaprobatą. A gdy Paragon jednak zmienił zdanie i poprosił o espresso i wodę, westchnęła, by ową dezaprobatę jeszcze podkreślić.

– Mówiłaś o jakichś okrutnych eksperymentach – powiedział wreszcie, gdy znowu zostali sami. – Co miałaś na myśli?

– Zobaczysz – odparła. – Swoją drogą, czy to nie zabawne, że patrzenie, jak wtedy robił to Piotruś, z jakim zaciekawieniem wyczekiwał efektów swych nieludzkich badań, było dla mnie tym ostatnim impulsem, ostatnim dowodem, że najwyższa pora zabierać stamtąd Chłopców i dawać nogę, bo Piotruś do reszty…

– … stracił niewinność? – podpowiedział Paragon, ale ona tylko się roześmiała.

– Och, ależ skąd. Piotruś jest pewnie niewinny po dziś dzień. Po dziecięcemu niewinny, a to najgorszy rodzaj niewinności. Jesteś taki, bo zwyczajnie nie rozumiesz, że robisz coś złego. Możesz być

okrutny, zawistny, egoistyczny, ale dopóki nie wiesz, co to zło, tak szczerze, głęboko w sercu nie wiesz, nadal jesteś niewinny. Taki właśnie jest Piotruś Pan. To najbardziej przerażająco niewinna osoba w tym i wszystkich światach. I wiesz, co jeszcze?

Pochyliła się i wyciągnęła w jego stronę rękę, a gdy podał jej swoją, ścisnęła ją mocno.

– Dziś, by walczyć z niewinnością, będę musiała… będziemy musieli… wyrządzić zupełnie świadome zło osobie, którą kocham. To jedyna droga, jedyna opcja, jaką teraz mamy, Paragon. Ty i ja. Jedyna nadzieja, jaką mają moi Chłopcy… o ile jeszcze żyją.

* * *

Wendy usiadła na posłaniu, przeciągnęła się. Tak, właśnie Wendy, nie Kaśka, dziś nawet już nie pomyślała o sobie dawnym imieniem. Nawet przez głowę nie przemknęło jej, żeby dać znać rodzicom, gdzie jest, nie pomyślała, że ktoś może się o nią martwić, że może jej szukać, wreszcie nawet, że może ją posądzić o przekroczenie obrony koniecznej i zabójstwo. Nie, to były problemy zupełnie innej osoby, tylko fizycznie do niej podobnej, ale pod każdym innym względem skrajnie odmiennej. Spojrzała na opuchniętą prawą dłoń, na nabrzmiałe, zaróżowione knykcie, niedomytą krew między palcami i uśmiechnęła się z satysfakcją. Wcześniej nigdy nikogo nie uderzyła, nie tak naprawdę.

– Trudno by było – mruknęła. – Dopiero wczoraj naprawdę się urodziłam.

Jej głos, jak przystało na głos zupełnie innej osoby, brzmiał trochę podobnie do starego, był jednak niższy, głębszy, odrobinę ochrypły. Zmysłowy, pomyślała. Jak w starych filmach. Podniosła się na jednej ręce, wstała, zrobiła kilka skłonów, odchyliła się do tyłu z rękami w górze, zrobiła parę przysiadów. Wtedy zauważyła lustro. Podeszła do niego bliżej, uśmiechając się półgębkiem. Próbowała iść jak ta dziewczyna wczoraj, noga za nogą, zmysłowy ruch biodrami, ręce wzdłuż bioder, ale nie bezwładne, tylko pracujące

z resztą ciała od ramion po koniuszki palców. Jak w tańcu, gdzie liczy się każdy gest i żaden nie jest przypadkowy.

Zatrzymała się krok przed lustrem, uniosła dłoń i powiodła palcem wskazującym po chłodnej szklanej tafli, jakby gładziła męską pierś.

– I jak tam, Wieczny Chłopcze? – Wykreśliła kółko wokół niewidzialnego sutka. – Gotowy na przygodę?

Nieistniejący Piotruś nie odpowiedział, ale i tak zaśmiała się, jakby właśnie usłyszała świetny żart, po czym obróciła się na pięcie – znowu jak ta dziewczyna wczoraj – i powoli zgięła w pół, pilnując, by nogi w rozkroku nie ugięły się ani odrobinę. Poczuła bolesne napięcie na wysokości kolan i u podstawy kręgosłupa, ale nie przestawała się zginać, póki nie dotknęła wyciągniętymi rękami podłogi. Poruszyła pośladkami raz i drugi, po czym powoli wróciła do wyprostowanej pozycji. Zerknęła przez ramię i mrugnęła do swego odbicia.

– Dobra, dobra – wymruczała. – Na teraz wystarczy, niecierpliwcze.

Znowu się roześmiała i już normalnie przeszła przez izbę, nie poświęcając jej wystrojowi większej uwagi. Jedyne, co ją zaciekawiło, to długi jak jej dłoń, składany nóż z wąskim ostrzem i rogalikowatym zagięciem na końcu kościanej rękojeści. Widziała kiedyś taki w domu Michała. Należał do ojca chłopaka i podobno była to typowa broń hiszpańskich nożowników. Już wtedy zrobił na niej wrażenie swą bezwzględną delikatnością, swym brutalnym, bezlitosnym pięknem. Maleńkie dzieło sztuki z ostrzem białym jak promień słońca w upalny dzień i katalońskim pejzażem skrupulatnie wyżłobionym w kości, a potem wypełnionym ciemnobrązowym barwnikiem. Można powiedzieć, że się zakochała.

To znaczy tamta. Ona się zakochała, bo to ona widziała tamten nóż. Ta druga, z którą Wendy dzieliła wspomnienia… a teraz również i miłosny zachwyt wobec hiszpańskiego noża.

Ostrożnie zdjęła go z uchwytu, złożyła i schowała do tylnej kieszeni krótkich dżinsowych szortów. Nie chciała go ukraść. Zamierzała zapytać Piotrusia, czy pozwoli jej go zatrzymać. Była

jednak pewna, że się zgodzi, i w zasadzie w sercu traktowała to już za sprawę zamkniętą.

Nie bądź taka pewna siebie. A już na pewno nie bądź taka pewna mężczyzn, doradziła jej w myślach matka. I znowu, nie jej matka, tej drugiej, bo Wendy nie miała rodziców. Wendy zrodziła się z gwałtu, nieśmiałego pocałunku, a potem z krwi tej pieprzonej dziwki. Dlatego teraz nie miała najmniejszych skrupułów przed okazaniem braku respektu.

– Pierdol się! – powiedziała do głosu w swojej głowie.

A potem, zachwycona tym, jak te słowa brzmią wypowiedziane jej nowym głosem, powtórzyła jeszcze raz:

– Pierdol się.

Roześmiała się głośno.

Zabulgotało jej w brzuchu i zdała sobie sprawę, że chyba jest głodna. Jak przez mgłę pamiętała wczorajszy wieczór skąpany w oparach alkoholu i namiętnych pocałunków, ale nie przypominała sobie ani jednej z licznych potraw stojących na uginających się stołach, którą by choć skosztowała. Teraz na samo wspomnienie jej usta wypełniły się śliną.

Koło posłania znalazła buty, wciągnęła je na nogi i wyszła z domku na niewielki taras. Zobaczyła linkę zjazdową, a obok drugą, luźną, do wciągania specjalnego uchwytu. Szarpnęła za nią, ale stawiała opór, więc Wendy wybrała sznurową drabinkę. Bez trudu zeszła na dół; kolejna umiejętność, którą zawdzięczała Kaśce i za którą musiała jej kiedyś koniecznie podziękować.

Przestąpiła nad śpiącym na ziemi zarzyganym brodaczem i raźnym krokiem ruszyła w stronę stołów. Nie zamierzała kierować się do podestu. Widziała tam Piotrusia i Cienia rozmawiających ze sobą, pokazujących sobie jakieś kartki, plany chyba i dyskutujących zawzięcie. Nie chciała być jedną z tych głupich lasek wchodzących między męskie sprawy i łaszących się jak suka o odrobinę uwagi. Zamiast tego usiadła przy stole z jakimś młodzikiem – tak go nazwała w myślach, choć w rzeczywistości mógł być w jej wieku, a nawet trochę starszy – który podgrzewał sobie nad świeczką mięsną roladę nabitą na widelec.

Przyjrzała mu, położywszy jedną rękę na biodrze, po czym pokręciła głową z dezaprobatą.

– Co? – warknął.

Miał przećpane, przekrwione oczy podkreślone czarną kredką niewyspania i wysypkę świeżych pryszczy na czole. Do tego pocił się obficie i wielkie tłuste krople drążyły tunele w brudzie na jego twarzy. Widziała to wszystko, rozumiała, więc nie zamierzała się obruszać na ostre brzmienie tej zaczepki.

– Źle się do tego zabierasz – powiedziała łagodnie. – Popatrz.

Złapała metalową miskę leżącą obok i wysypała z niej kilka udek na pobliski talerz. Następnie z pustego koszyka po chlebie wysypała okruchy, rzuciła go na ziemię, nadepnęła raz i drugi. Pozbierała gałązki i wrzuciła do miski.

Przyjrzała się uważniej stołowi i dostrzegła butelki po whisky wypełnione jakimś przezroczystym płynem. Pamiętała, że pytała o to wczoraj i ktoś, najpewniej Stalówka, odpowiedział, że to czysty spirytus. Wzięła teraz jedną z nich i wylała resztkę zawartości na to, co zostało z koszyka.

– Ogień – poleciła.

Chłopak podał jej świeczkę. Wrzuciła ją do miski, buchnął ogień.

– Teraz odczekaj chwilę, potem dorzuć drugi koszyk, ruszt i masz grilla – powiedziała. – Możesz mi za to zrobić ze dwie grzanki.

Chłopak wyszczerzył postrzępiony żółty garnitur zębów.

– Dzięki, mała – powiedział z prawdziwym uznaniem.

To właśnie ono uratowało go przed widelcem wbitym w dłoń. Zamiast tego Wendy wzięła z talerzy jedno z zimnych udek, ugryzła i powiedziała:

– Ostatni raz mnie tak nazywasz, chyba że chcesz podpaść mojemu…

Zawahała się. Jak powinna go nazywać? Piotrusiem, jak się przedstawił? Wiecznym Chłopcem, jak mówili do niego niektórzy, wyraźnie wybrani? Swoim facetem, starym… no jak? Pomyślę o tym później, uznała i teraz ograniczyła się tylko do wskazania go brodą. Chłopak obejrzał się przez ramię i zaraz przestał się głupio szczerzyć.

– Przepraszam – prawie szepnął. – Nie wiedziałem, że…

– Spokojnie, nie gniewam się.

– Jezu, czasem jestem taki potwornie głupi. Czasem po prostu…

Posłała mu prawdziwie czarujący uśmiech i raz jeszcze skubnęła udko. Razem z mięsem urwała kawałek ciągnącej się skórki i teraz ten strzęp zwisał jej z kącika ust jak dorysowany język.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Otto – odparł chłopak. – Mój tata był podobno Niemcem – dodał jakby z obowiązku.

Kiwnęła głową. Zwróciła uwagę na słówko „był” w tym zdaniu. Był, znaczy nie żył czy może przestał być jego ojcem? Czy Otto, jak ona, zaczął z Chłopcami nowe życie? Jeśli tak, to jak dawno temu? Było tyle pytań, tyle ciekawych historii związanych z każdym z tych zawadiaków. Choć pewnie wszyscy razem wzięci nie mieli ich tyle co jej Piotruś. Nie wiedziała, skąd to wie. Po prostu tak czuła.

Raz jeszcze powiodła wzrokiem po potrawach, po czym zaczerpnęła dłonią jasnożółtego purée ziemniaczanego i ruszyła wzdłuż stołu. Plan miała taki, by powoli, od niechcenia kierować się w stronę podium, by być tam w pobliżu, akurat gdy Piotruś i Cień skończą rozmawiać. Wtedy przyjdzie i się przywita. Nie wcześniej.

Ponieważ jednak obaj mężczyźni czuli się tu, w obozie, pewnie i bezpiecznie, rozmawiali głośno i przez to, im bardziej Wendy zbliżała się do ich stołu, tym lepiej słyszała, o czym mówią.

– Czyli czekaj, oni nie wiedzą, kim jestem, tak? – zapytał Wieczny Chłopiec.

– Nie mają zielonego pojęcia – odparł Cień. – Pewnie widzieli gdzieś kiedyś barwy klubu, ale…

– Barwy?

– Te naszywki na kurtkach chłopaków, wszystkie te…

– Aaa, to! O tym też będziemy musieli pogadać, ale to później… Dawaj dalej, co z nimi…

Wendy zauważyła, jak Cień wygrzebuje spomiędzy sterty papierzysk dwa usztywnione, lśniące prostokąty formatu B5. Zdjęcia, jak założyła. Zdjęcia tych, o których mówią.

– Tak wyglądają teraz i wierz mi, Wieczny Chłopcze, naprawdę dawali ostatnio czadu. Byli jak Dillinger i jego banda, jak Bonnie i Clyde, tylko bez pierdolenia się nawzajem. Siedem banków

w niecałe trzy miesiące. Najbardziej brawurowe i pojebane akcje, jakie możesz sobie wyobrazić!

Brwi Wendy uniosły się lekko. Czyżby właśnie rozmawiali o… Tańczących Bliźniakach? Tak właśnie nazwały ich media, kiedy okazało się, że po każdym skoku zostawiają mały *pendrive*, a na nim swe taneczne popisy wraz z krótkim instruktażem. Te filmiki, każdorazowo zakończone zapowiedzi: „Rozruszamy was”, były nawet teraz, po schwytaniu braci, największym hitem nie tylko polskiego internetu. Na całym świecie miały już po przeszło sto milionów obejrzeń każdy! Tylko co tych dwóch miało wspólnego z jej Piotrusiem? Czyżby…

Wieczny Chłopiec skrzywił się nieznacznie i podrapał po brodzie.

– Niech cię dobrze zrozumiem, Cieniu. Wyciągnięcie tych dwóch oznacza, że… rusza za nami pościg z całego świata, tak? Skupiamy na sobie spojrzenia wszystkich, staniemy się publicznym wrogiem numer jeden, tak?

Cień pokiwał głową.

– Technicznie nie numer jeden, skoro jest nas aż tylu, ale…

– I ty chcesz właśnie od nich zacząć, tak? – upewnił się Piotruś. – Nie od Kruszyny, nie od Kędziora czy Milczka, nie od pozbycia się Dzwoneczka, ale właśnie od nich? Tych, którzy podpalą nam ogon?

– Tak. – Cień wyjął z paczki kolejnego papierosa. – Pierwotnie plan był zupełnie inny, ale wczoraj się okazało, że jutro będą chłopaków przewozić autostradą i… Zabij mnie, uznałem, że to będzie fajna zabawa.

Piotruś wyszczerzył się w szalonym uśmiechu.

– Bo będzie – powiedział. – I ciebie nie da się zabić, Cieniu. Więc chrzanić to, zrobimy, jak mówisz. Jaki jest twój plan?

Znowu rozległ się szelest kartek, przekładanych planów, wreszcie na wierzch poszła mapa.

– Myślę, że jutro weźmiesz ze sobą czterech, pięciu naszych – zaczął Cień. – Stalówkę i jeszcze paru najżwawszych i najbardziej powalonych, a potem… Wendy, skoro i tak słuchasz, może po prostu do nas dołączysz, zamiast się czaić pod podestem?

Dziewczyna się roześmiała.

– Nie chciałam się wtrącać – wyjaśniła. – Ale skoro proponujesz…

– To był sarkazm.

– A to dowód na to, że ma on zawsze dwa ostrza – odcięła się. – Mówicie o Tańczących Bliźniakach?

Cień chciał już odpowiedzieć, ale Piotruś parsknął i trzepnął się otwartą ręką w kolano.

– Jak ich nazwałaś? – wyskrzeczał, rycząc ze śmiechu. – Tańczące Bliźniaki? Tańczące? Raaany!

Próbowała przebić się przez jego rozbawienie, by wyjaśnić, ale śmiech Piotrusia był zaraźliwy i po chwili śmiali się już w trójkę. Umilkli, gdy usłyszeli krzyk od strony parkingu dla motocykli.

– Ej, kto tu przywiązał do maszyny i zostawił jakiegoś gołego okularnika?

Piotruś i Wendy popatrzyli po sobie.

– Ej, powaga. On tu sra pod siebie właśnie!

– Co?! – rozległo się nagle zupełnie trzeźwe z drugiego końca obozu. – Jak to sra?! Zaraz dam skurwielowi srać mi na maszynę!

Dosłownie moment później przez plac przebiegł półnagi, bosy motocyklista. Podskakiwał zabawnie, próbując dopiąć skórzane spodnie. Pod pachą trzymał odrapany kij baseballowy.

– O ty chuju! – wrzasnął, gdy dobiegł do maszyny. – O ty jebany chuju, chodź no tutaj, obsrańcu.

Tępe razy kijem i stłumione jęki utonęły zaraz w morzu rozbawienia tego, który wszczął ów alarm. I podobnie jak wcześniej śmiech Piotrusia, ten również był zaraźliwy.

* * *

Jechali w milczeniu samochodem Paragona. Dzwoneczek wpatrzona w widok za oknem, nieobecna myślami, a może wsłuchana w piosenkę, którą chwilę temu DJ zapowiedział jako utwór zespołu Phantom and Friends, zatytułowany *Old Man Canyon*. Kilka głosów śpiewało właśnie refren:

Don’t let the ones that want to steal your dreams
They’ll steal your dreams away
Just laugh and let it go.

Paragon myślał, jak bardzo jest to tekst na czasie. Tyle tylko, że oni nie zamierzali się śmiać i iść w swoją stronę. Dzwoneczek, która straciła wszystko, ruszała na wojnę, by to wszystko odzyskać. I z tego, co zdążył się zorientować, nie zamierzała przebierać w środkach. A była postacią z pierdolonej bajki i u nich takie rzeczy należało brać nad wyraz serio.

A on? Co on robił w tym wszystkim? On, który rzucił to już dawno temu, który znalazł nowe życie i szczęście, który obiecał sobie, obiecał swojej żonie, że zbuduje im dom, ba!, zbuduje świat, w którym będą się czuli bezpiecznie. To oznaczało rzeczywistość bez Skrótów, bez Chłopców, bez Dzwoneczka. Dotąd radził sobie z tym naprawdę świetnie, aż tu nagle bum, bum, bum i wszystko wróciło. Wizyta mamy przed ponad rokiem, ta, w której jej pomógł, była jego pierwszym kieliszkiem po latach trzeźwości. Była jego powrotem do nałogu.

Nienawidził się za to. Czy też może dokładniej: jego dorosła część nienawidziła go za jego słabość, za nieodpowiedzialne podejście, za to, że dzieciak w nim znowu przejął kontrolę. Bo ten ostatni, szczeniak w piaskownicy jego serca, bawił się właśnie najzajebiściej na świecie. O tak!

– Skręć tutaj – powiedziała Dzwoneczek wciąż wpatrzona w okno.

– Tu?

– Tak, między te garaże. Trzeci od lewej, ten z czerwonymi drzwiami. Stań przed podjazdem, bo się beton kruszy.

Zrobił, jak kazała, wyłączył silnik, schował kluczyki.

– Niezła okolica – mruknął.

Pokiwała głową, po czym otworzyła drzwi.

– Bagażnik otwarty? – zapytała.

– Tak.

Wysiadła, a on zaraz za nią. Otworzyła garaż, włączyła światło, po czym oboje zabrali z bagażnika i wnieśli do środka szereg

zamówionych przez wróżkę, a kupionych przez Paragona komponentów. Wszystko położyli na długim blacie pełnym fiolek, kolb, mikserów i innych urządzeń typowych dla laboratorium chemicznego.

Paragon przyglądał się temu przez chwilę, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– No dobrze, co to właściwie ma być? – zapytał w końcu.

– To tu dzieje się prawdziwa magia, kochanie – powiedziała Dzwoneczek, krzątając się po wnętrzu i włączając kolejne listwy, lampy, mikser, chłodziarkę. – Co ty myślałeś, że wróżki szczają magicznym proszkiem?

Paragon rozłożył ręce.

– Nie wiem, co myślałem, ale na pewno nie zakładałem laboratorium jak w jebanym *Breaking Bad*. Miałaś takie w… no tam?

– Inne – Wróżka się roześmiała. – Zupełnie inne. Ale tam nie potrzebowałam proszku na skalę przemysłową. Wystarczyło wieczorem nasmarować się odrobiną miodu pszczół zrodzonych o północy w czasie pełni, a potem, gdy podczas snu proszek uwalniany przez pory skóry zmieszał się ze słodkością, zebrać ją rano gąbką nasączoną poranną rosą. Potem wystawić na słońce, by wyschło, skruszyć i…

– Pierdolisz!

– Nigdy nie wiesz, słodziutki. Nigdy nie wiesz. No dobra, wsiadaj do bryki i przeparkuj, by nie wzbudzać podejrzeń. Kilometr na północ masz stację benzynową i parking. Potem wróć tutaj. Nałożysz na siebie to i pomożesz mi przy tym syfie.

Podążył wzrokiem za wskazaniem jej palca i dostrzegł żółty, gumowy kombinezon z kapturem oraz maskę przeciwgazową. Jezu, to rzeczywiście jest jak ze świata Waltera White’a.

– Masz tylko jeden? – zapytał.

– Ja jestem wróżką, koleś. Co ciebie obroni?

Kiwnął głową i wyszedł na podjazd. Na masce samochodu dostrzegł Pana Propera liżącego się po jajach.

– O, jeszcze ciebie tu brakowało – powiedział do kota.

Ten uniósł łebek i spojrzał na Paragona z wyraźną niechęcią. *Przeszkadzasz*.

– Muszę przestawić brykę, więc albo wsiadasz, albo…

Kot wysunął końcówkę języka, jakby się namyślał, po czym podniósł się, przeciągnął i wystawił pazury. Paragon się roześmiał.

– Panie Proper, proszę! Żona mnie zabije.

Kot parsknął, ale schował pazury i zeskoczył z maski. Bez pośpiechu wszedł do garażu i tam znalazł sobie miejsce na starej oponie.

* * *

– Dobra, jeszcze raz, bo gówno zrozumiałem – powiedział Piotruś.

Stalówka westchnął i przejechał ręką po twarzy. Ponownie przyjrzał się modyfikowanym enduro, maszynom, które przeciągnął przez granicę technicznego prawdopodobieństwa i uczynił najbardziej finezyjnymi, najefektowniejszymi na świecie urządzeniami do popełnienia samobójstwa. Cztery takie cuda w żółto-czarnych barwach stały teraz przed nim na placu, on zaś od kwadransa tłumaczył szczegóły ich specyfikacji Wiecznemu Chłopcu. A teraz ten chciał, by mu to wszystko powtórzyć? Nie ma chuja, albinos musiał obudzić w sobie nie mechanika, a pedagoga.

– Podkręć za mocno, a odlecisz. Dosłownie.

Piotruś się rozpromienił.

– No i widzisz? Można prosto! – zawołał i zamarkował kilka bokserskich ciosów. – Druga na prawo i prosto, aż do pierdolonego świtu!

Albinos pokręcił głową z mieszaniną rozbawienia i dezaprobaty. On rzeczywiście był jak wielki dzieciak.

– Dasz sobie z tym radę? – zapytał.

– A czy papież sra w lesie?

– Co? – Albinos zmrużył oczy.

– Nic, żarcik taki. Połączyłem dwa… Dobra, nieważne, dam radę. Jak to się odpala?

To nie brzmiało obiecująco. Wygląd Wiecznego Chłopca, te wszystkie kolorowe nitki, którymi Wendy ozdobiła mu dredy, te piórka i frędzle przy spodniach, ta różowa, cienka jak mgiełka koszulka

wiązana na karku i odsłaniająca niemal całe plecy, wszystko to wyglądało jak jeden wielki żart. Choć wcale nim nie było i Piotruś pokazał to dziś rano dosadnie dwóm Chłopcom, którzy śmiali się naigrywać z jego nowego wizerunku. Sprał ich prawie tak, jak jego Wendy sprała wczoraj tę blondynkę. Wyglądało na to, że polowy szpital obozowiska wypełniał się ofiarami składanych publicznie oświadczeń.

Stalówka wsunął papierosa do ust, podszedł do najbliższego motocykla i zdjął kask z kierownicy.

– Tu masz starter – pokazał i podał kask Piotrusiowi. – Spróbuj, tylko ostrożnie, nie mamy takich więcej, a do jutra nie wyczaruję nowego.

Piotruś skinął głową.

– A kto jeszcze z nami jedzie? – zapytał.

– Z tego co wiem Edgar, Musli i Tommy Dżi. To chyba najlepsi nasi akrobaci w tej chwili i…

– To może dawaj ich na boisko, co? – przerwał mu Piotruś.

– Jakie boisko? – zdziwił się Stalówka.

Piotruś pokazał ręką na pełnowymiarowe boisko do koszykówki. Oba kosze zamontowane były na ruchomych konstrukcjach i zablokowane cegłami, by stały w miejscu. Linie boiska namalowano białą farbą.

– Tamto. Rozsunie się kosze na całą długość, rozstawi pośrodku parę tych ramp do ćwiczeń, co stoją pod płotem, i zagram z chłopakami dwóch na dwóch. Chyba jeszcze pamiętam, jak się to robi…

– Przecież ty nigdy nie jeździłeś na enduro!

– Ale grałem w koszykówkę – wyjaśnił Piotruś, dosiadając maszyny. – Powinienem jeszcze pamiętać zasady. A co do jeżdżenia, to sam mówiłeś: wystarczy, że przyspieszę i polecę, tak? No więc na lataniu znam się jak chyba nikt. Dawaj ten kask!

* * *

Paragon usiadł w samych majtkach na składanym krzesełku przed garażem i zapalił. Dawno temu udało mu się już rzucić to kurestwo, ale widać był to taki sam nałóg, jak przebywanie z Chłopcami – rzucasz tylko na chwilę, choćby ta chwila trwa czasem lata.

Słońce prażyło, muskularne ciało byłego motocyklisty lśniło od potu, upał doprowadzał niemal do szaleństwa. Ale w środku było teraz jeszcze gorzej. Zwłaszcza w tym pierdolonym, żółtym kondomie. Dlatego wyszedł, gdy tylko przestał już być potrzebny. Teraz siedział i czekał.

Na papierosa skapnęła z nosa wielka kropla. Potem druga. Strząsnął popiół.

Za jego plecami zazgrzytały drzwi i wyszła Dzwoneczek. Ubrana w krótkie szorty i stanik prezentowała się całkiem nieźle, ale zdecydowanie nie tak dobrze, jak ją zapamiętał. Żebra odznaczały się jej aż nadto wyraźnie, umięśniony brzuch wyrzeźbiony był jak u kulturystek, co Paragon zawsze uważał za przesadę. Obojczyk sprawiał wrażenie obciągniętego skórą, powyginanego wieszaka, którym zamocowano do tułowia umięśnione ramiona. Piersi nie były już tak jędrne; dwa nieco sflaczałe baloniki w miseczkach stanika. No i jeszcze ta wielka, różowa blizna ciągnąca się przez niemal całą długość nogi.

Jeszcze raz, nie wyglądała źle. Paragon był pewien, że gdyby Dzwoneczek dała sobie trochę czasu, dobrała odpowiednią dietę – może porozmawiała na ten temat z jedną z koleżanek Moniki – bez większego problemu mogłaby odzyskać dawną świetność. Ale odbudowane mięśnie i całkowite zaniedbanie całej reszty świadczyły wyraźnie o aktualnych priorytetach wróżki.

Rozłożyła krzesełko obok Paragonowego i usiadła.

– Dasz mi papierosa? – zapytała.

Podniósł z ziemi paczkę.

– Zapalniczka w środku – powiedział. – Jak idzie?

– Wystygnie i jesteśmy gotowi.

Zapaliła, oddała mu paczkę, a on odłożył ją na miejsce.

– Zrobiłam z górką, więc powinno spokojnie wystarczyć.

– To łzy, nie? – zapytał.

Uśmiechnęła się smutno.

– Wręcz przeciwnie, kochanie.

– Nie rozumiem.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci o tym jeziorku, o wodzie, która najpierw wypierała łzy?

– Tak.

– No właśnie.

Nadal nic nie rozumiał, ale postanowił nie wnikać. Nastraszyła go trochę wtedy w kawiarni i teraz uznał, że im mniej wie, tym lepiej.

– A co potem?

– Potem czeka mnie wizyta domowa i…

– Nie – przerwał jej. – Co potem?

Wzruszyła ramionami.

– Pytasz, jak długo będę cię jeszcze męczyć?

– Dzwoneczku, to nie tak, ale…

Odwróciła się do niego i położyła mu palec na ustach. Uśmiechała się przy tym jak za naprawdę dawnych czasów, gdy mówiła mu, żeby się nie martwił potworami spod łóżka, bo zaraz przyniesie miotacz płomieni i się z nimi rozprawi. A potem rzeczywiście tak robiła.

– Poznałam twoją żonę, Paragon – powiedziała. – Poznałem twoje życie i wierz mi, gdybym była na twoim miejscu, nie zastanawiałabym się nawet minuty. Dlatego proszę, zróbmy pierwszy krok na drodze do odzyskania mojej rodziny, a potem spokojnie wrócisz do swojej, dobrze?

Przez moment chciał się obruszyć. Chciał powiedzieć: „Przecież ja też jestem twoją rodziną”, ale wiedział, że to już nieprawda. Mógł ją nadal nazywać mamą, ale tak naprawdę jedyne, co teraz robił, to spłacał zaciągnięty dawno temu dług. Czy tego chciał, czy nie, gdy już będzie po wszystkim, staną się sobie obcy jak dawni przyjaciele z czasów szkolnych, których widuje się potem już tylko na zjazdach i może w przelocie na wakacjach.

– Zobaczymy, Dzwoneczku.

To jedyne, co mógł teraz powiedzieć.

* * *

Zebrali się wszyscy. Nie było w tym nic dziwnego, bo zapowiadało się widowisko, którego nikt nie chciałby ominąć. Na specjalnie wydłużonym boisku do koszykówki z domalowanymi nowymi liniami stało klika ramp, kilka skoczni, sztuczna poręcz, schody… Wyglądało to na pierwszy rzut oka jak rupieciarnia ze sprzętem dla skejtów, ale gdy się przyjrzeć, można było się dostrzec jakiś ład. Odstępy między atrakcjami ustawiono tak, by dało się manewrować, zjeżdżając z jednej i wjeżdżając na kolejną, podobne urządzenia ustawiono prawie symetrycznie na obu połowach, wreszcie wielkie cyfry i strzałki pociągnięte białą farbą mówiły, że na przykład rzut z wysokości rampy – wyżej niż poziom boiska – liczy się tylko za punkt, ale już trafienie podczas motocyklowego skoku z tej samej rampy daje aż cztery.

Właściwie wszystko już było gotowe. Zawodnicy zakładali rękawice, publiczność zaczynała skubać przekąski i zabierała się do podśpiewywania, pyzaty chłopaczek z tłustymi włosami zaczesanymi na bok szedł niepewnie, niosąc ogromną obręcz, na którą nie znalazło się miejsce. A szkoda, bo gdyby zapłonęła, na pewno podniosłaby atrakcyjność zabawy. Przynajmniej zdaniem Piotrusia.

Teraz jednak Wieczny Chłopiec nie myślał o obręczy. Właśnie odbierał pakiet pocałunków na poczet zwycięstwa od swojej Wendy, czemu cierpliwie przyglądali się Stalówka i Cień.

– Nadal uważam, że to głupi pomysł – stwierdził albinos. – Jak się rozpieprzą, to cały jutrzejszy plan, też przecież jebnięty, weźmie w łeb.

Cień zaciągnął się papierosem.

– Nie żeby to był jakiś solidny plan. W razie czego będziemy improwizować.

– Chyba że to Piotruś będzie miał wypadek…

– Wtedy też.

– Chyba że… – zaczął jeszcze raz Stalówka, ale machnął ręką.

Przecież jego obiekcje nie miały najmniejszego sensu. Mecz i tak się odbędzie, nie było się już obecnie jak wycofać. Zresztą, gdy tak patrzył na twarze czterech zawodników, nikt nie zamierzał tego zrobić.

W drużynie z Piotrusiem był Musli nazywany tak dlatego, że jego twarz – pobrużdżona, pełna blizn, pryszczy i katarakt – wyglądała, jakby zasnął z gębą w misce z płatkami, a potem pozwolił, by to wszystko zaschło i zostało tak już na zawsze. Musli był dobrym chłopakiem, wysportowanym i smukłym, a do tego prawdziwie nieustraszonym. Miał jednak, na ile Stalówka zdążył go poznać, spore problemy z dostrzeganiem, kiedy ktoś go wkręca, co niejednokrotnie czyniło go obiektem niewybrednych żartów. Trudno więc było jednoznacznie powiedzieć, czy granie u boku Piotrusia napełnia go bardziej dumą, czy nieufnością.

Drużyna przeciwna składała się z Edgara, czarnowłosego gota o pomalowanych oczach i tatuażach pokrywających niemal całe ciało, przedstawiających wyschnięte drzewa i krzewy. Tylko jeden drobny obrazek na sercu przedstawiał maleńką – jakby z oddali – upiorną rezydencję z włączonym pojedynczym światłem. Edgar niewiele mówił, ale gdy się odzywał, wtrącał dużo gówno wartych słów, takich jak „azaliż”, „miast” czy „jednakowoż”. Często stosował je błędnie.

Tommy Dżi z kolei miał zamiłowanie do dawnych gangsterów. Nosił spodnie na szelkach i fedorę, a w jego domku nad łóżkiem wisiał robiony na zamówienie Tommy gun, któremu zawdzięczał przezwisko.

Zdaniem Stalówki wszyscy trzej – Piotrusia jeszcze nie widział w akcji – byli na swych maszynach naprawdę dobrzy i jak bardzo nie byłoby to wszystko bezsensowne, zapowiadało się niezłe widowisko. Wyszedł więc wreszcie na boisko, wspiął się na schodki i podniósł stojącą na nich tubę.

– No dobra, pojeby! – zawołał, co oczywiście zapewniło mu długą, głośną owację. – Nikt z was nie zna zasad, ale nie o nie przecież chodzi, a o dobrą zabawę. Żadnego pomagania zawodnikom, ale i żadnego utrudniania. Jak ktoś coś rzuci na boisko, osobiście mu to potem wpierdolę całe w dupę, jasne?

Reakcja publiczności nie zostawiała wątpliwości. Było jasne. Stalówka odwrócił się do drużyn.

– No to co, gotowi?

Edgar, Tommy Dżi i Musli pokiwali głowami. Piotruś uniósł rękę, że jeszcze moment, po czym pozwolił Wendy przewiązać sobie wokół ramienia wstążkę.

– Zdejmij jeszcze tę bluzkę – powiedziała dziewczyna. – To jedna z moich ulubionych.

Piotruś musnął delikatny, różowy materiał.

– Więc tym bardziej trzymaj kciuki, bym nie upadł – odparł.

Odpalił silnik i odpychając się nogami, wytoczył się na boisko.

Gdy zawodnicy zajęli pozycje, pojawił się Cień, trzymając piłkę do koszykówki. Rzucił ją Stalówce. Ten wskazał zawodnikom dwie rampy po obu swoich stronach.

– Stąd startujecie – powiedział.

Złapał piłkę oburącz i przykucnął lekko.

– Zajmijcie miejsca.

Zajęli. Z jednej strony Piotruś, z drugiej Tommy Dżi.

– Gotowi? No to JUŻ!

Piłka poleciała w górę, silniki ryknęły i oba motocykle wyrwały do przodu. Rozpęd był krótki, ale moc ukryta w maszynach niebywała, więc ułamek sekundy później obie były już w powietrzu, a dwie ręce sięgały po piłkę.

Tommy Dżi był bliżej, dlatego to on wygrał powietrzny pojedynek. Zanim opadł, łukiem pchnął piłkę w stronę Edgara, który złapał ją, zakozłował i rzucił z połowy boiska. Kosz! Publiczność zawyła.

Piotruś tymczasem opadł na ziemię, zawrócił, wspierając się na nodze, i od razu przygazował, by znaleźć się na swojej połowie. Musli rozpoczął grę spod kosza, podał Piotrusiowi… ale nie dość dokładnie, a może to po prostu Edgar był szybszy. Wyrwał do przodu, przejął piłkę i skorzystał z bocznej rampy wyglądającej trochę jak wzbierająca fala. Przez moment lecąc prawie w poziomie, cisnął piłkę płasko i po raz kolejny zdobył dwa punkty. Dopiero wtedy wyskoczył z siodełka i pozwolił motocyklowi polecieć przed siebie, a sam przetoczył się po ziemi. Maszyna runęła parę metrów dalej z wizgiem i zgrzytem.

Stalówka zacisnął zęby. Jak nic, właśnie szlag trafił centrowanie układu kierowniczego i kto wie, co jeszcze strzeliło. Ale publiczność darła się w niebogłosy, poobijany Edgar się kłaniał, a Tommy Dżi

stojący na rampie krzyczał coś do Musliego i nie były to specjalnie przyjacielskie okrzyki.

Tylko Piotruś patrzył na to wszystko z zaciętą miną dziecka niegodzącego się z porażką. I wtedy się stało. Ktoś z publiki rzucił mu piłkę, a on złapał ją w locie i ruszył. Nic sobie nie robił z krzyku Stalówki, że jeszcze nie, że muszą poczekać, sprawdzić czwartą maszynę. Rozpędził się, kopnięciem zwalił na ziemię Edgara i wjechał na rampę. Wzbił się w niebo, zacisnął zęby, przymknął oczy. Tylne koło maszyny o parę centymetrów minęło głowę Tommy'ego Dżi, a potem… motocykl zniknął z głośnym „puff", by pojawić się przed samiuteńkim koszem. Piotruś wsadził piłkę w obręcz i przytrzymał się jej, pozwalając, by również jego maszyna zaliczyła glebę. Publiczność wyła w ekstazie.

Piotruś dyndał jeszcze chwilę na koszu, po czym opadł na ziemię i skłonił się pięknie najpierw jednej stronie, potem drugiej.

– To dopiero początek! – zawołał.

Nie dostrzegł, że w tym momencie Stalówka podniósł głowę znad maszyny Edgara i pokręcił głową jak lekarz nad pacjentem, który nie dał rady.

Nie mogło być jednak mowy o przerwaniu meczu, nie teraz. Na widowni nikt już nie siedział. Wszyscy stali i wymachiwali rękami, skandując: „BANGARANG! BANGARANG!".

– Zrób coś – powiedział do albinosa Cień.

– Chuja mogę teraz. Będzie cud, jeśli wyprowadzę tę maszynę na jutrzejszy…

– ZRÓB COŚ!

Głos Cienia zabrzmiał jak trzask pękających kości w przestronnym grobowcu. Jakby zmurszała czaszka rozpryskiwała się po posadzce pod zmiażdżona ciężkim buciorem. Nie było w tych dźwiękach nic, zupełnie nic ludzkiego.

Stalówka przymknął oczy, po czym westchnął i otworzył je, potrząsając głową, jakby właśnie się obudził.

– Daj mi dziesięć minut – powiedział. – I zawołaj Szkica, Śrubę i Maślaka. Jeżeli maszyna Piotrusia jest w lepszym stanie…

– NIE MÓW DO MNIE, DZIAŁAJ. NIE PSUJE SIĘ ZABAWY WIECZNEGO CHŁOPCA, JASNE?

– Jasne – mruknął Stalówka i zabrał się do roboty.

Siedem minut później wznowiono grę.

Zakończyła się po kolejnych trzech kwadransach wynikiem siedem do pięciu dla drużyny Piotrusia – ku jego niezmierzonej uciesze – i jednym motocyklem do całkowitej kasacji. Mimo tej straty i konieczności wprowadzenia kilku poprawek do planu, Cień uznał, że są gotowi, a Stalówka niechętnie przyznał mu rację.

* * *

Równo z końcem meczu Dzwoneczek i Paragon skończyli pakować do samochodu wszystkie niezbędne rekwizyty. Ruszyli drogą na północ. Chwilę wcześniej wróżka wyjaśniła swojemu towarzyszowi szczegóły planu i teraz po prostu jechali w milczeniu.

Dochodziła siedemnasta trzydzieści.

SZEŚĆ

Małgorzata Krasowska zatrzymała samochód na podjeździe, wyłączyła silnik i sięgnęła po zakupy leżące na siedzeniu pasażera. Pojazd zaczął się staczać, więc gwałtownie wcisnęła hamulec, a potem zaciągnęła ręczny. Ciągle zapominała, by go zaciągnąć lub zwolnić – raz zdarzyło się nawet, że dojechała na nim aż do pobliskiego sklepu znajdującego się niemal kilometr dalej. Samochód spędził tydzień w warsztacie. Jej Papug się trochę zezłościł, musiał codziennie wstawać wcześniej, by ją odwozić do pracy, ale wynagrodziła mu to tak dobrze, jak mogła. Ostatecznie chyba był zadowolony.

Zakupy z trudem mieściły się w trzech pękatych reklamówkach, ale mimo to postanowiła zabrać je wszystkie naraz. Nie chciało jej się zamykać i otwierać samochodu, a wychowawszy się w nieszczególnie ciekawej dzielnicy, ani myślała zostawiać wozu otwartego bez opieki choćby na minutę. A przynajmniej nie intencjonalnie.

Drogę do drzwi pokonała, sapiąc i dysząc, po czym i tak musiała postawić reklamówki, by otworzyć zamek. Teraz czekało ją zebranie ich znowu palcami błyskawicznie zesztywniałymi i poczerwieniałymi od wpijających się uchwytów, zamknięcie drzwi biodrem i odniesienie siatek do kuchni. Niby nic, ale gdy skończyła, ciekło z niej bardziej niż po porannym joggingu. Dlatego zanim zabrała się do robienia obiadu, skoczyła pod szybki prysznic.

Planowała na ten dzień zapiekankę ziemniaczaną, którą Papug bezgranicznie uwielbiał, z szynką, bekonem, cebulą, serem i jajkami. Według wielkiego ściennego zegara była siedemnasta trzydzieści, miała więc na przyrządzenie potrawy mniej więcej godzinę

i piętnaście minut, zanim jej mąż wróci z gabinetu. Według rozkładu dnia pana Krasowskiego można było regulować zegarki.

Powoli wzięła się do pracy. Obrała ziemniaki i nastawiła je do gotowania. Pokroiła szynkę w kostkę i podsmażyła z cieniutkimi plastrami boczku. Zezłociła cebulę na maśle, przygotowała jajka, rozgrzała piekarnik. Potem na szybko przyrządziła swój tajny składnik – sos serowo-śmietanowy według receptury matki. To on sprawiał, że zapiekanka nigdy nie była sucha, a dodatkowo wiązał ją, by się nie rozłaziła przy nakładaniu.

Gotując, słuchała radia. Miała nadzieję na jakieś miłe przeboje, ale zamiast tego szły albo głupawe amerykańskie rapy, albo wiadomości.

Wypadek na stacji benzynowej, trzyosobowa rodzina cudem ocalała.

Związek kombatantów wyraża sprzeciw wobec nowej wojennej superprodukcji.

Strzelanina pod centrum handlowym. Pewnie sprawka mafii – tak spekulował dziennikarz – bo każdy, kto mógł cokolwiek widzieć albo nie żył, albo nic nie pamiętał.

Pogoda.

Świsnął szybkowar, więc Krasowska wyłączyła gaz, a po chwili, parząc sobie przy tym palce, pokroiła ziemniaki w talarki i wyłożyła nimi naczynie żaroodporne. Potem szynka, bekon, cebula… Przypomniała sobie, że w lodówce są jeszcze zielone szparagi i zerknęła na zegarek. Wciąż miała czas, więc wyciągnęła je, odłamała końcówki i nastawiła do gotowania.

Nalała sobie wody i przekartkowała gazetę telewizyjną. W zasadzie odkąd mieli internet podpięty pod telewizor, korzystała już tylko z elektronicznej wersji programu, ale kupowała papierową z przyzwyczajenia i dla plotek o gwiazdach. Kiedyś marzyła o byciu aktorką, ale teraz wcale nie wydawało jej się to tak pociągające. Z tego samego powodu przestała czytać romanse. Swojego księcia z bajki, młodego, umiarkowanie bogatego, cudownego w łóżku i na dodatek całkowicie oddanego już miała. Marzenia – jak zawsze mawiała jej mama, krawcowa – powinny być skrojone na miarę danej osoby. Gdy za bardzo zaczniesz wydziwiać, będzie cię to

drogo kosztować, ludzie wyśmieją, a ty i tak nie będziesz szczęśliwa. Marzenia Małgorzaty Krasowskiej skrojone były idealnie na jej miarę.

Gdy szparagi były gotowe, dołożyła je do zapiekanki, przełożyła warstwą ziemniaków, a potem wbiła na nie dwa surowe jajka. Kolejna warstwa ziemniaków, sos, który wypełnił wszystkie szczeliny, ziemniaki, plastry sera i gęsta kremowa śmietana na górę. Włożyła rękawicę i ostrożnie wsunęła naczynie żaroodporne do rozgrzanego pieca. Nastawiła minutnik.

W radiu spiker mówił coś o zbliżającym się procesie Tańczących Bliźniaków – byli przestępcami napadającymi na banki, ale i bohaterami internetu. Nie dalej jak wczoraj rozmawiała o tym z Papugiem, który naprawdę martwił się tą łatwością, z jaką sieć kreowała swoich nowych idoli. Gdyby mogła kochać go bardziej, kochałaby właśnie za tę pasję, za to cudowne poczucie misji, sprawiające, że jego praca nie była tylko pracą.

W końcu usłyszała odgłos samochodu parkującego na podjeździe. Zdziwiona zerknęła na zegarek – na Papuga było jeszcze za wcześnie. Podeszła do okna i odchyliła firankę. Dostrzegła wysokiego, brodatego mężczyznę, eleganckiego i zadbanego. Czasem widywała takich jak on podczas przyjęć, na których bywała z mężem. Pewnie jakiś znajomy, pomyślała.

W głowie szybko dokonała niezbędnych obliczeń i wyszło jej, że bez trudu najedzą się zapiekanką we trójkę, jeśli nieznajomy postanowi zostać na kolacji. Oczywiście Krasowska miała nadzieję, że jeśli nawet to zrobi, to zbierze się zaraz później. Miała dla swojego Papuga parę innych niespodzianek przygotowanych na ten wieczór.

Wymyła ręce nad zlewem i wytarła je w świeżą ścierkę, a potem ruszyła w stronę drzwi, jeszcze zanim rozległ się dzwonek. Otworzyła prawie równo z jego dźwiękiem, czym nieco zaskoczyła stojącego w progu mężczyznę.

Sama jednak również dała się zaskoczyć, bo obok brodacza stała pacjentka jej Papuga, Matylda Blaszka. Biedaczka, która straciła pamięć i zastąpiła ją ciągiem dziwacznych urojeń. Mąż nie mówił jej o tym za wiele, ale czasem, w tajemnicy przed nim, zaglądała do teczek z szafki stojącej w jego gabinecie – wiedziała,

że to złe, ale nie potrafiła się powstrzymać, bo to było o tyle lepsze niż gazetowe plotki – i co nieco o tej kobiecie wiedziała. Miała ją zresztą okazję poznać kiedyś w ośrodku. Wtedy Blaszka nazwała ją jakoś dziwacznie i powiedziała coś niezrozumiałego o tym, że wreszcie jej się udało. Co się miało udać? I jakiego imienia wtedy użyła?

Uśmiechnęła się.

– Witaj, Matyldo – przywitała ją. – Pana nie znam, ale również miło mi, że się pan zjawił. Z przykrością jednak muszę powiedzieć, że męża nie ma, a poza tym mamy dzisiaj zaplanowany…

Blaszka nie dała jej dokończyć. Postąpiła krok do przodu i docisnęła jej do twarzy trzymaną w ręku szmatkę.

– To mnie jest przykro, Róziu – powiedziała, łapiąc ją jednocześnie za kark. – Naprawdę bardzo przykro.

Małgorzata Krasowska osunęła się na ziemię nieprzytomna. Tego, jak brodacz wniósł ją do domu, podczas gdy Blaszka poszła po rzeczy z bagażnika, już nie poczuła ani nie zobaczyła.

Kilka minut później Paragon wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał, by zaraz wrócić na piechotę. Wszedł bez pukania akurat w chwili, gdy w kuchni rozdzwonił się minutnik.

* * *

Doktor Krasowski wjechał na swój podjazd o godzinie osiemnastej dziewiętnaście, ale nie wyłączył silnika, póki nie wybrzmiała lecąca w radiu piosenka. To chyba była jedyna przewaga samochodu nad stojącym obecnie w garażu motocyklem – możliwość porządnego słuchania muzyki. Akurat śpiewał Billy Joel i utwór sprawił, że Krasowski postanowił jeszcze dziś wieczór zamówić bilety lotnicze do Wiednia. Zrobi rezerwację w najlepszym hotelu, jaki przyjmie jego kartę kredytową, bo zdecydowanie zasłużyli na wakacje. Ostatnie pół roku, choć zawodowo satysfakcjonujące, było dla nich ciężką próbą i tym bardziej napawało go dumą, że wyszli z niej zwycięsko.

Gdy skończył się utwór, Krasowski wyłączył silnik i światła, wziął z siedzenia obok kwiaty i papierową torbę z butelką czerwonego

wina i wysiadł. Wcisnął przycisk na breloku przy kluczykach. Samochód pożegnał go miauknięciem i błyśnięciem świateł. Rozbawiło go to bardziej, niż powinno.

Kilka metrów dzielących go od drzwi pokonał, podśpiewując *Vienna*, nieco nieudolnie, bo ani nie miał specjalnie głosu, ani prawie nie znał słów. Idąc, przełożył torbę z butelką pod lewą pachę, tak by mieć wolną prawą rękę. Uśmiechnął się, gdy poczuł zza drzwi jedyny w swoim rodzaju zapach swojej ulubionej zapiekanki ziemniaczanej. Położył rękę na klamce… i w tym momencie drzwi do mieszkania otworzyły się gwałtownie. Ogromny, brodaty facet zmiażdżył jego ramię w żelaznym uścisku, a zaciśnięta w pięść prawica wystrzeliła w stronę jego twarzy niemal w tym samym momencie.

Poczuł, że robi mu się słabo. Butelka wyśliznęła się spod pachy i uderzyła o drewniany próg. Nie stłukła się, a papier sprawił, że i nie potoczyła się za daleko. Brodacz, który wciągnął doktora do domu i cisnął na podłogę niczym szmacianą lalkę, schylił się po torbę, po czym rozejrzał po ulicy za ewentualnymi świadkami i zamknął drzwi.

Doktor spróbował się podnieść na kolana. Widział jak przez mgłę, nos płonął żywym ogniem, gardło zalewała krew. Splunął nią i rozkasłał się.

– Małgosia… Gdzie jest Małgosia? Co…

Ktoś doskoczył do niego i złapał go za włosy, odciągając głowę do tyłu. Kobieta, tyle mógł zobaczyć przez łzy. Kobieta albo bardzo drobny chłopak. Krótkie, rude włosy…

Zamrugał parę razy i wtedy ją rozpoznał.

– Ma… Matylda? Ale dla… – Splunął krwią. – Dlaczego?

Nie odpowiedziała, za to uśmiechnęła się smutno i uniosła drugą rękę, w której trzymała strzykawkę. Wbiła mu igłę w szyję i docisnęła tłok. Odpłynął niemal natychmiast.

* * *

Paragon starannie skrępował Krasowskiego, nastawił mu nos i przeniósł na fotel w uprzednio wyciemnionym salonie. Posadził go naprzeciwko przywiązanej do ciężkiego krzesła Małgorzaty

Krasowskiej, która, choć przytomna, nie ruszała się specjalnie i nie próbowała majstrować przy krępujących ją więzach. Czasem tylko pojękiwała i mówiła coś niezrozumiale przez knebel. Najpewniej prosiła, by darowano jej chociaż założony na głowę worek.

Brodacz skończył z doktorem i cofnął się o krok. Pokręcił głową.

– Nie mogę mu założyć knebla, bo się jeszcze udławi krwią albo co…

Dzwoneczek, która właśnie weszła do pokoju, niosąc pięciolitrowy kanister i lejek, prychnęła tylko.

– Czym? Krwią? Bo to pierwszy raz, jak któryś z moich Chłopców ma złamaną kichawę? Weź nie żartuj, Paragon!

Odwrócił się gwałtownie na dźwięk swojej ksywy i pokazał palcem na Krasowską. Dzwoneczek spojrzała na niego z pobłażaniem, ale sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła maleńką buteleczkę z przezroczystym płynem. Zrozumiał.

– Co chcesz z tym zrobić? – pokazał na kanister.

Wtedy zobaczył lejek.

– Ej, żartujesz, nie? On jest nieprzytomny, a to…

– Nie bądź babą, Paragon, i nie świruj. Nic mu nie będzie.

Podeszła do doktora i siłą otworzyła mu usta. Wsadziła do środka lejek, a kanister podała towarzyszowi.

– Lej powoli, powiem ci, kiedy wystarczy.

Widziała po nim, że chce coś dodać, ale ostatecznie nie odezwał się słowem, tylko wziął do ręki naczynie, otworzył i powoli zaczął wlewać zawartość do lejka. Przerwał, gdy Krasowski zakrztusił się po raz pierwszy, ale Dzwoneczek poprawiła ułożenie lejka, pomasowała gardło doktora i kazała lać dalej.

– Powiesz mi, po co to wszystko? – zapytał Paragon.

Machnęła ręką. *Później.*

Rzeczywiście, gdy skończyli, a ona wyjęła już lejek i zastąpiła go kneblem ze skarpety i srebrnej taśmy, powiedziała mu, by poszedł za nią do kuchni. Tam zaproponowała sok pomarańczowy z lodówki gospodarzy.

Chciał odmówić, ale ta robota była naprawdę wykańczająca, więc ostatecznie poprosił o szklankę.

– Co do tego, co tam w niego wlewaliśmy… – zaczęła.

Obróciła się do niego tyłem i otworzyła szafkę. Gdy stanęła na palcach, by sięgnąć po dwie szklanki, dostrzegł, jak napięły się mięśnie jej nóg. Gdy patrzyło się tylko na nie, wyglądało, że naprawdę wróciła do formy.

– … to już ci tłumaczyłam, tam, na parkingu – dokończyła.

– *Nope* – zaprzeczył. – Zapytałaś tylko, czy pamiętam jeziorko wypierające łzy. I pamiętam, ale nie wiem, jak to się ma do Milczka i…

Odwróciła się trzymając szklanki z sokiem. Jedną podała jemu, sama upiła łyk z drugiej.

– To syntetyczno-magiczny odpowiednik tamtej wody właśnie. Jeżeli moja wiedza na ten temat jest kompletna, powinna wyprzeć z jego organizmu łzy, które wciąż tam są, które osiadły na jego wspomnieniach i spowiły je mgłą. Teraz musi je tylko wypłakać, jak kiedyś syreny. Pozbyć się tej trucizny.

Paragon wypił sok i odstawił szklankę na blat. Otarł usta rękawem.

– Wypłakać? – zapytał.

Skinęła głową.

– Tak właśnie, wypłakać. Musi mieć traumę, której będzie się chciał gwałtownie pozbyć z organizmu, tak jak syreny robiły to z bólem morza. Ból musi być tak nieznośny, by miał ochotę…

Przerwała na moment i uśmiechnęła się smutno.

– Przepraszam, Paragon.

Nie zrozumiał.

– Za co?

– Za wszystko – rozłożyła ręce. – Za to, że cię w to wmieszałam, że oderwałam cię od twojego życia, byś pomógł w tym bałaganie, który nazywam swoim. Nade wszystko jednak przepraszam za to.

Pokazała brodą na szklankę.

Westchnął i przejechał ręką po twarzy. Naprawdę? Naprawdę dał się tak łatwo wykiwać, jak pierwszy lepszy gówniarz?

– Nigdy mnie tu nie było, co? Nie spotkaliśmy się w kawiarni, nie pojechaliśmy do garażu, nie…

– Akurat w kawiarni się widzieliśmy – przerwała mu. – Przyjechałeś na moją nagłą prośbę, a ja próbowałam cię namówić,

byś wszedł z nami w biznes i rzucił Monikę. Byłam bardzo melodramatyczna.

Zaśmiał się. Słabo, ale na więcej nie miał już siły. Czuł, że łzy zaczynają działać. Odpływał.

– Odmówiłem i teraz wracam?

– Tak.

Podeszła do niego i wygrzebała z kieszeni kilka wymiętych stówek.

– A tu masz zwrot za zakupy, które dla mnie zrobiłeś. Utrata takiej sumy mogłaby wywołać pytania, a tych nie chcemy. Płaciłeś gotówką, prawda?

Skinął głową. Myślał już z prawdziwym wysiłkiem, ale mimo to powiedział:

– Wiesz, że mimo tego, co powiedziałem ci ostatnim razem, teraz poszedłbym za tobą dalej, prawda… mamo?

Uśmiechnęła się, po czym ujęła jego twarz w dłonie. Pocałowała go w czubek nosa.

– Wiem, wiem, kochanie. Ale stąd już nie musisz. Mama chce tylko, żebyś był szczęśliwy. A teraz chodź, zaprowadzę cię do samochodu i opowiem, co masz zapamiętać.

Wstał z trudem i ruszył w stronę drzwi wejściowych, udając, że wspiera się na jej podsuniętym ramieniu.

Pokonanie tych nieco ponad stu metrów było prawdziwym wyzwaniem, podobnie jak wsadzenie go do środka, ale ledwie minutę później – zaraz po tym, jak Dzwoneczek zniknęła za najbliższym drzewem – Paragon ocknął się na siedzeniu kierowcy, przetarł oczy i wydobył z kieszeni telefon. Wybrał numer Moniki.

– Hej, mała – powiedział, gdy odebrała. – Tak, już wracam… Nie, nic ważnego… Nie, naprawdę. Trochę to smutne, ale niestety Dzwoneczek nie umie przestać żyć przeszłością… Tak, tak właśnie… To co, zjemy jakąś kolację na mieście…? A, to nawet lepiej.

* * *

Dzwoneczek stała za drzewem i patrzyła, jak Paragon najpierw rozmawia przez telefon, a potem uruchamia silnik i rusza przed siebie. Było jej smutno, ale jednocześnie cieszyła się, bo to, co właśnie zrobiła, było dobre. Nie równoważyło krzywdy, jaką wyrządzała obecnie innej parze, ale w złym, mrocznym świecie każde małe światełko warte jest choć uśmiechu.

Odsunęła się od drzewa, po czym spokojnym krokiem wróciła do domu Krasowskich. Zerknęła do salonu i zobaczyła, że jej terapeuta już się ocknął i teraz patrzy z przerażeniem na siedzącą przed nim żonę. Widziała, jak się szamocze, jak szarpie, próbując poluzować więzy, ale była pewna, że to bezcelowy wysiłek. Paragon był w te klocki naprawdę, naprawdę dobry.

Teraz przyszedł czas na szok numer dwa, uznała i weszła do salonu. Jego oczy rozszerzyły się na jej widok, a potem zwęziły w maluteńkie szparki. Minęła sekunda, może mniej, między szokiem a nienawiścią i odpowiednią dla niej reakcją – tego nie dało się udawać. Na fotelu siedział jej Chłopiec, nieważne, co sam o tym sądził.

Podeszła do Krasowskiej i zdjęła jej z głowy worek. Widziała, jak kobieta marszczy czoło, jak mruży oczy, a potem próbuje zawołać coś na widok męża. Dostrzegła łzę w kąciku oka Krasowskiego, ale to było za mało. Jedna mała łezka niczego nie zmieniała.

Och, kochanie, pomyślała, czując, że jej serce krwawi. Och, mój słodki głuptasie, dlaczego wy, faceci, tak bardzo chcecie zawsze trzymać fason? Dlaczego wydaje się wam, że musicie być tymi silnymi, kiedy wcale tacy nie jesteście? Dlaczego?

Wyszła do kuchni, opłukała twarz nad zlewem, wytarła ręcznikiem papierowym, sprzątnęła cały zrobiony do tej pory bałagan. Wreszcie przeszukała szuflady, aż znalazła wszystko, czego jeszcze potrzebowała.

Wróciła do salonu i ponownie spojrzała najpierw na Małgorzatę Krasowską, a następnie na jej męża, a swojego syna. Jaka szkoda, że nie mógł być jednocześnie jednym i drugim. Rózia byłaby dla niego bardzo dobra, kochała go, a on kochał ją. Tylko że… to nie był on. A skoro on sam był iluzją, projekcją na powierzchni mgły fałszywych wspomnień, to czym wobec tego były jego uczucia?

Westchnęła. Stanęła między nimi i wzięła kilka głębokich wdechów, po czym zwróciła się w stronę Krasowskiego:

– Nie wiem, czy mi to kiedykolwiek wybaczysz, kochanie, nie wiem, czy zrozumiesz – powiedziała. – Ale zrozumienie czy jego brak, wybaczenie czy nienawiść… Chcę, żebyś to był naprawdę ty. Mój Chłopiec.

To powiedziawszy, dobyła trzymany z tyłu za paskiem długi, szeroki nóż kuchenny. Doskoczyła do Małgorzaty Krasowskiej i jednym, płynnym ruchem rozpłatała jej gardło.

* * *

Minuty wlekły się jak godziny, a rzężenie zrozpaczonego małżonka przedzierało się przez knebel, rozlewało po pokoju i wyciekało do przedpokoju i kuchni jeszcze długo po tym, jak za oknem zapadł zmrok. Dzwoneczek stała przy kuchennym oknie i paliła papierosa za papierosem. Łzy nieprzerwanie ciekły jej po twarzy, raz za razem wstrząsał nią nieprzyjemny dreszcz, ale poza tym stała nieruchomo niczym rzeźba spowita szarym dymem.

Wreszcie jęki i rzężenie ucichły. Nagła cisza sprawiła, że Dzwoneczek obróciła głowę, ale poza tym nie poruszyła się. Jeszcze chwila, myślała. To jeszcze nic nie znaczy. Może po prostu usnął.

Ale gdy milczenie się przedłużało, w końcu zgasiła papierosa w donniczce i ruszyła w stronę salonu.

Krasowski wciąż siedział w fotelu, ale jego twarz nie była już maską rozpaczy. Wyrażała raczej zdziwienie, zdumienie i… złość. Podbiegła do niego i zdjęła mu knebel.

– Milczek, kochanie. To ty?

Popatrzył na nią jak na idiotkę. Spojrzał na knebel, na nią, znowu na knebel.

I w czym to niby, do chuja, miało nam pomóc?

Zaśmiała się nieco histerycznie. Podniosła z podłogi zakrwawiony nóż, po czym porozcinała więzy Milczka i cofnęła się o krok. Chłopiec rozmasował nadgarstki, a potem wstał powoli. Dostrzegł trupa na krześle naprzeciw. Zamigał.

– Tak, to Rózia – odpowiedziała Dzwoneczek.

Skrzywił się i raz jeszcze zamachał rękami.

– Nie żaden chuj, tylko ja – wyjaśniła Wróżka. – Wyjaśnię ci później. A teraz chodź, nie mamy wiele czasu. Musimy spadać.

Milczek skinął głową, ale zaraz zamigał po raz trzeci. Dzwoneczek westchnęła i pokręciła głową.

– Po pierwsze, nie nazywaj brata „tym tępym brodatym skurwielem”, a po drugie, tak, to też jest rzecz, którą muszę ci wyjaśnić. Czy możemy już iść?

Zamigał.

– A, no tak. Łazienka w przedpokoju, trzecie drzwi po lewej. Pośpiesz się.

EPILOG

Kubuś podniósł głowę znad teczki z komiksem i spojrzał na siedzącego obok ojca.

– No dobra – powiedział. – Teraz to już poważnie, jak długo jeszcze będziemy tu siedzieć?

Marek Kędzierski wzruszył potężnymi ramionami, nie przestając się wgapiać w posterunkowego siedzącego wewnątrz dyżurki. Wkurzanie w ten sposób tego podstarzałego jegomościa z posiwiałym wąsem było jedyną rzeczą, jaka zapewniała mu rozrywkę w ciągu ostatniej godziny.

– Nie wiem, młody – odparł. – Może zapytasz tego pana z pierdolnikiem w papierkach, co? Ale dopiero wtedy, jak już wyciągnie rączki na stół, bo kto go tam wie, czy pałka, której właśnie dotyka, jest aby na pewno służbowa…

Kubuś zachichotał. Policjant spojrzał na nich obu z wyraźną przyganą, ale nie odezwał się ani słowem. Podniósł słuchawkę i udał, że się z kimś łączy. Z kimś groźnym, kimś z władzą, kto zaraz tu przyjdzie i zrobi z niesfornym obywatelem porządek. Kędzierski nie udawał, że ma to w dupie.

– Tato? – zapytał Kubuś. – Ale ty nie jesteś o nic oskarżony ani nic, nie?

Olbrzym wzruszył ramionami.

– Chuja tam wiesz, młody. Myślałem, że nie, bo nic nie zrobiłem, ale przyjdziesz na taką policję, to nigdy nie wiesz, co ci znajdą albo… – spojrzał wymownie na wąsacza w dyżurce. – Albo do czego cię, kurwa, sprowokują.

– Czy mógłby pan tak nie kląć przy dziecku? I to swoim na dodatek? No doprawdy…

Kędzierski odwrócił się i zobaczył siedzącą kilka krzeseł dalej paniusię, na oko może czterdziestoletnią, ubraną w garsonkę i trzymającą na kolanach elegancką kopertówkę. Wcześniej jej tu nie

było, musiała przyjść niedawno i tak sobie przycupnąć po cichu jak mysz pod jebaną miotłą. Olbrzym wiele poznał takich – osobliwie często były to koleżanki jego żony – i nauczył się ignorować ich uwagi na temat jego metod wychowawczych. Teraz jednak ani myślał ignorować cokolwiek.

– Dzieciak z pierdolenia powstał, więc mu jedno czy drugie „pierdolę” krzywdy nie zrobi. To co, dołączy pani do zabawy i popierdoli jeszcze trochę?

Kubuś, nauczony, jak reagować w sytuacjach, gdy tata trochę się denerwuje, pochylił głowę nad komiksem i tylko chichotał z cicha. Wąsaty policjant aż spurpurowiał, dusząc się słowami, których bał się teraz użyć. Słowami nagany, słowami stróża prawa, którym być powinien, ale może niekoniecznie przy wielkich na dwa metry, wkurwionych kolesiach. Kobieta natomiast prychnęła tylko i odwróciła głowę.

– Tak myślałem – powiedział Kędzierski.

Przez moment siedział, bębniąc palcami po kolanie, po czym wreszcie nie wytrzymał, wstał i podszedł do okienka.

– Proszę usiąść i zaczekać – powiedział wąsacz.

– Proszę się łaskawie jebać – odparł Kędzierski. – Mam dzisiaj popołudnie z synem, syn siedzi od godziny i czyta komiks zdecydowanie nie dla niego w waszej zjebanej poczekalni tylko dlatego, że nie możecie mi tu dać jednego matoła, który spisze moje zeznania jako świadka, kurwa, świadka jebanego wypadku?!

Wąsacz poprawił się na krześle i wziął w rękę duży czarny segregator, chwytając go w taki sposób, jakby miał go zaraz użyć jako tarczy. Chrząknął, by dodać sobie powagi, ale najwyraźniej zakrztusił się śliną.

– Prosz… khe, khe, khe… Przepraszam… Proszę usiąść na miejsce, zaraz ktoś się panem zajmie.

– Już pan to mówił. A ja naprawdę nie mam, kurwa, całego dnia! W ogóle nie miałem zamiaru tu przyjeżdżać, ale…

… ale chciałem się dowiedzieć, czy wasi specjaliści nie wykryli czegoś, co zdecydowanie przeczyłoby wersji ze zwykłym wypadkiem, pomyślał. Czegoś, co zawierało w sobie dziwnych ludzi wypełnionych szczurami, rozbite głowy, plamy krwi i ognisko

niekoniecznie na bazie drewna. Chciałem sprawdzić, czy nie zdziwiła was bzdurna informacja o nienagrywaniu taśm z monitoringu, czy ten geniusz Krzysio nie wyrwał się ze swego dziwnego stanu z jakąś rewelacją i czy nie udało wam się aby złamać Tinki. Choć nie, w dziwny sposób co do tego ostatniego Kędzierski nie miał wątpliwości. Dziewczyna była twarda, niegłupia i… też czuła się, jakby to nie był jej pierwszy raz z czymś takim. Łączyło ich, Olbrzyma i Tinkę, więcej, niż mógł i chciał zakładać.

– … ale czuję się przykładnym, kurwa, obywatelem i…

Nie dokończył, bo nagle drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do środka wpadł zdyszany policjant. Krągła twarz porośnięta puchem zarostu była teraz barwy żółtawo-czerwonej i przypominała bardziej brzoskwinię z oczami i nosem niż poważne oblicze stróża prawa. Była to jednak naprawdę wściekła brzoskwinia i lepiej było zejść jej z drogi.

Kędzierski cofnął się więc o krok, robiąc miejsce przy wąskim kontuarze. Brzoskwinia dopadł okienka, wsunął głowę i głośniej, niż pewnie zamierzał, powiedział:

– Dawaj tu zaraz kogoś z góry i przygotujcie podwójną celę.

Wąsacz posłusznie złapał za telefon i teraz już nie udawał. Rzeczywiście wybrał jakiś numer.

– Co mam przekazać? – zapytał.

Brzoskwinka przejechał ręką po twarzy i spojrzał w stronę Kędzierskiego. Ten rozłożył ręce w geście: „Co poradzisz, że debil?”.

– Przekaż, że potrzebujemy celi. Natychmiast. Konwojowaliśmy samochód SW, ale to lubelskie gówno znowu miało pierdoloną awarię i teraz musimy zrobić przymusowy post… A zresztą chuj z tym, dawaj słuchawkę!

Wsunął rękę w okienko. Wąsacz podał mu telefon.

Kędzierski przyglądał się tej scence chwilę, po czym wrócił na swoje krzesło i trącił Kubusia łokciem.

– Może jeszcze będzie z tego dnia coś fajnego, młody, nie? – powiedział szeptem. – Ale tylko ich zobaczymy i spadamy, dobra? Widziałeś *Atak na posterunek 13*, nie?

Kubuś pokręcił głową.

– Leciał w telewizji, ale mama nie pozwoliła.

Kędzierski spojrzał na syna z wyrzutem.

– To po cholerę ja ci dawałem hasło do internetu, co?

Kubuś tylko wzruszył ramionami, a tymczasem konwojent już wyraźnie skończył uzgodnienia, bo odsunął się od okienka i wyciągnął komórkę. Wybrał szybko numer.

– Posterunek numer dwa, Szymańskiego siedem. Duży, szary budynek. Wjeżdżajcie od frontu.

Rozłączył się i spojrzał na Kędzierskiego i Kubusia, a potem na paniusię z kopertówką.

– Niestety będą musieli państwo na chwilę opuścić posterunek, bo…

Przerwał na moment, bo przez drzwi wahadłowe z wnętrza posterunku wypadło czterech mundurowych dopinających pasy. Ustawił ich szybko wzdłuż korytarza i ponownie zwrócił się do siedzącej trójki:

– Za chwilę wprowadzą tutaj dwóch groźnych przestępców i w tym czasie nikt nieuprawniony…

Kędzierski wstał.

– Dobra, jasne, zaczekamy na zewnątrz. Chodź, młody.

Kubuś też wstał, ale źle uchwycona teczka z ojcowskim komiksem sprawiła, że nagle znajdujące się w niej kartki wysypały się, rozścielając na całej podłodze. Brzoskwinia zaklął, czym zasłużył sobie na gniewne spojrzenie Kędzierskiego.

– Ej no, kurwa, nie przy dziecku!

Dwóch mundurowych rzuciło się, by pomóc pozbierać kartki. Szybko, niemal bez patrzenia na nie, ułożyli je w stosiki i podali chłopcu. Brzoskwinia spojrzał jednak na leżącą na samej górze planszę przedstawiającą dwóch identycznych motocyklistów uwięzionych w klatkach. Dyndając nad płomieniami, śmiali się w twarz piekielnemu, rogatemu gwardziście w policyjnym mundurze, a jeden z nich nawet mu groził, mówiąc: „ Już po ciebie jadą, stary. Jebaną, kurwa, autostradą!”.

Brzoskwiniowy policjant już prawie skomentował treść komiksu tak bardzo nieprzystającą dla dziecka, gdy nagle zmrużył oczy i ściągnął usta. Motocykliści z komiksu mieli bowiem twarze eskortowanych przez niego więźniów.

– Skąd to masz, mały? – zapytał, biorąc od chłopczyka komiks.

– Mój tata rysował – powiedział Kubuś z nieukrywaną dumą.

Brzoskwinia przeniósł wzrok na stojącego obok olbrzyma.

– Zna pan tych ludzi? – pokazał na narysowane postacie.

Kędzierski nie zrozumiał.

– Jak to czy znam? Ja ich narysowałem!

Brzoskwinia kiwnął głową.

– Tak, ale czy wzorował się pan na kimś, kogo pan osobiście zna?

– Nie wydaje mi się, może gdzieś w telewizji widziałem albo…

– A, no tak.

Policjant wyraźnie odetchnął z ulgą. W nerwach zapomina się czasem o najprostszych rozwiązaniach, a tutaj mieli wszak do czynienia z prawdziwymi celebrytami przestępczego świata. Po chwili jednak przyszła mu do głowy jeszcze jedna wątpliwość.

– A może mi pan powiedzieć, co pan tu właściwie dzisiaj robi, panie…

– Kędzierski – olbrzym wyciągnął rękę, która jednak zawisła w powietrzu nieuściśnięta. – Siedzę i się wkurwiam na pana kolegę od jakiejś godziny.

Spojrzał wymownie w stronę wąsacza za szybą. Ten udał, że nie słyszy, iż o nim mowa.

– No dobra – drążył dalej Brzoskwinia, z każdą chwilą coraz bardziej dojrzały i soczysty. – Ale co pan miał tu robić?

– Złożyć zeznania. Byłem świadkiem wypadku.

– Aaa.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i do środka weszło najpierw dwóch policjantów, a potem czterech pracowników służby więziennej eskortujących dwóch niemal identycznych więźniów. Widząc to, Brzoskwinia grzecznie, acz stanowczo kazał Kędzierskiemu i Kubusiowi usiąść i się nie ruszać.

Więźniowie szli posłusznie, a ich rozpromienione twarze świadczyły, że świetnie się właśnie bawią.

– Dajcie mi kwadrans, to wam naprawię tego rupiecia – powiedział jeden. – To wstyd, żeby…

– … takim gruchotem wozić sławy – dokończył za niego drugi, po czym nagle zauważył wpatrzonego w siebie Kędzierskiego.

– No i co się gapisz, jebany rudzielcu? – warknął. – Tatuś nie oliwił czy mamusia ciągle mokrą miała i podrdzewiała?

Kubuś przyłożył rękę do twarzy, jednocześnie wciągając powietrze, jak dziecko, które właśnie usłyszało coś nieodpowiedniego. Kędzierski natomiast wstał.

– Proszę usiąść! – krzyknął do niego Brzoskwinia, ale było już za późno.

Olbrzym w jednej chwili stał w miejscu, a w drugiej już doskakiwał do bliźniaka, odtrącając na boki strażników. Jedną ręką uniósł go za szyję, a drugą, zaciśniętą w pięść wycelował mu w twarz. Uderzył precyzyjnie, prosto w nos, a potem natychmiast, nim wybrzmiało obrzydliwe chrupnięcie, puścił i cofnął się o krok. Był tak szybki, że uwinął się z tym wszystkim, zanim którykolwiek z policjantów czy strażników zdążył zareagować. Teraz powoli, ostrożnie uniósł ręce i spojrzał na Kubusia.

– Zapamiętaj, mały…

– Tak, wiem. Mama to świętość.

Kubuś wyciągnął z kieszeni telefon.

– To co, dzwonić, żeby po mnie przyjechała, co?

Kędzierski zerknął w stronę Brzoskwini, który w zasadzie bardziej dojrzały już być nie mógł – czerwień jego twarzy sugerowała, że w policzkach i na czole zebrała mu się teraz cała krew. To nie wróżyło za dobrze.

– Wiesz co, młody? Chyba tak.

Kubuś wcisnął dwójkę z szybkiego wybierania i odczekał dwa sygnały.

– Cześć, mama – powiedział, gdy usłyszał jej głos. – Nie zgadniesz co się stało…

POLICJA
SW
SW

POSŁOWIE

To posłowie miało się zacząć inaczej, ale czasem rzeczywistość pokazuje pisarzowi, gdzie jest jego miejsce. Brutalnie przypomina, że to całe nazywanie się twórcą, kreatorem światów, to tylko pic na wodę, że naprawdę jesteśmy tylko pre-nośnikami opowieści. Zanim takowa trafi na kartki, zanim zostanie wydana na papierze, potem zrealizowana w formie e-booka, audiobooka, filmu, gry czy czegokolwiek innego, musi obowiązkowo zaliczyć swój czyściec w głowie jednego z nas.

W nocy, gdy skończyłem pisać trzeci tom *Chłopców*, prawdziwy Piotruś Pan powiesił się na pasku. Choroba – czy też raczej choroby, bo życie dopierdoliło mu solidnym combo depresji i alzhaimera – zrewidowała cuda, jakie stały się jego udziałem, przygody, których był inicjatorem i przewodnikiem. Uznała, że wystarczy. Że najwyższa pora na tę „największą z przygód” – śmierć.

Czuję się dziwnie. Nie tylko smutno, ale dziwnie właśnie, bo – jak pewnie zauważyliście – ten tom *Chłopców* jest inny niż poprzednie. Mniej w nim zgrywy, mniej żartów i bon motów. To była tylko podszewka, która teraz niemal całkowicie się przetarła i chyba widać, że to, co napisałem, od początku nie było specjalnie wesołe. Teraz nie jest wesołe zupełnie, jak cała ta pieprzona dorosłość. I kiedy o tym napisałem, życie niemal natychmiast powiedziało mi: „Żebyś, kurwa, wiedział, że dorosłość jest chujowa, Ćwieku!”. Wykrzyknik w tym zdaniu to dyndający na pasku Robin Williams – mój idol, a jednocześnie inkarnacja najważniejszej dla mnie postaci literackiej. Umarł Piotruś Pan.

Mógłbym teraz godzinami przytaczać zasłyszane anegdoty o tym, jak za życia dawał ludziom radość, dzieląc się każdym uśmiechem, choć miał ich przecież tak mało. Robił to w swoich filmach, robił to w swoim życiu… Teraz już go nie ma, straciliśmy

przewodnika i chyba wszyscy czujemy się fatalnie, nie? Podróż, jeśli zdecydujemy się ją podjąć sami, już nigdy nie będzie taka sama. Bo, jak po pierwszym wypadku za kółkiem, zdaliśmy sobie sprawę, że ta przygoda bywa też niebezpieczna, że istnieje ryzyko. Umarł Piotruś, więc my też możemy. Do tej pieprzonej drugiej gwiazdki po prawej jest przecież kawał drogi…

Słucham teraz piosenki o Nowym Jorku w czerwcu. Nigdy nie byłem tam w tym miesiącu, ale wierzę, że i wtedy to miasto da się lubić. Kiedyś w parku leżeli tam wariat i radiowy DJ i gapili się w gwiazdy. Czy szukali tej konkretnej? Nie mam pojęcia, ale myślę, że czegokolwiek szukali, to, co znaleźli, było dobre. I może właśnie o to chodzi. Może to jest nasza nadzieja w tym świecie bez Piotrusia. Czasem wystarczy wierzyć, że będzie dobrze. Czasem wystarczy uwierzyć we wróżki, nawet gdy one tracą wiarę w siebie. Nawet gdy Piotruś Pan wiesza się na pasku, pokazując faka depresji i – błagam, niech to będzie prawda – mówiąc jej wtedy: „Pierdol się, głupia kurwo, wracam do domu”.

Dzięki, że przeczytaliście tę książkę, obiecuję, że będzie następna i że nie każę wam na nią czekać dłużej, niż na tę. Na razie jednak obejrzyjcie *Hooka*, co? A gdy Julia Roberts leżąca w domku dla lalek powie, byście zaklaskali w dłonie, klaszczcie. Klaszczcie do połamania paluchów! Tak, możecie przy tym wleźć na stół. Piotruś z pewnością to doceni.

Jakub Ćwiek
Bytom, sierpień 2014

CHŁOPCY 3. ZGUBA

Copyright © Jakub Ćwiek 2014
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014

Redakcja – Tomasz Hoga
Korekta – Joanna Mika-Orządała
Skład i łamanie – Joanna Pelc
Przygotowanie okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce i wszystkie rysunki w książce – Iwo Strzelecki

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014
ISBN EPUB: 978-83-7924-280-1
ISBN MOBI: 978-83-7924-279-5

www.jakubcwiek.pl
www.facebook.com/JakubCwiekOfficial

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Raz
Dwa
Trzy
Cztery
Pięć
Sześć
Epilog
Posłowie
Strona redakcyjna

Książka, gra, miliardy graczy.

No i 3 000 000 $ nagrody!

Multimedialne doświadczenie i przyszłość rozrywki.
Czytaj książkę. Szukaj wskazówek. Rozwiązuj łamigłówki.

Zwycięzca może być tylko jeden!

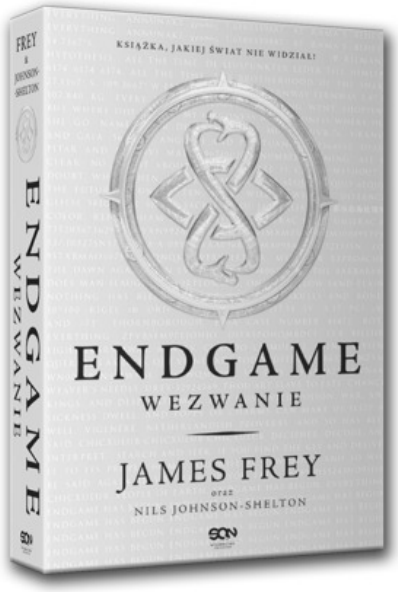

Szukaj w dobrych księgarniach i na
www.labotiga.pl

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

Fenomenalny powrót Kłamcy!

Dowiedz się, co robił, gdy byłeś przekonany, że odpoczywał na plaży z drinkiem…

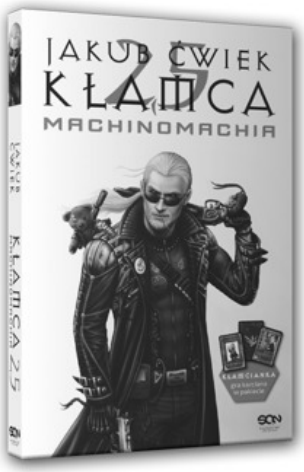

Chłopcy nie odpuszczają!

Przekonajcie się, co wyjdzie z połączenia ciężkiego klimatu rodem z popularnego serialu *Sons of Anarchy* z bajkowymi postaciami z klasycznej powieści Jamesa M. Barriego *Piotruś Pan*

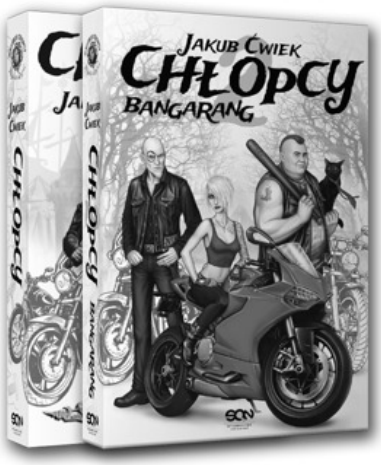

Szukaj w dobrych księgarniach i na www.labotiga.pl

WYDAWNICTWO SINE QUA NON

www.wsqn.pl

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
/WydawnictwoSQN
/SQNPublishing
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

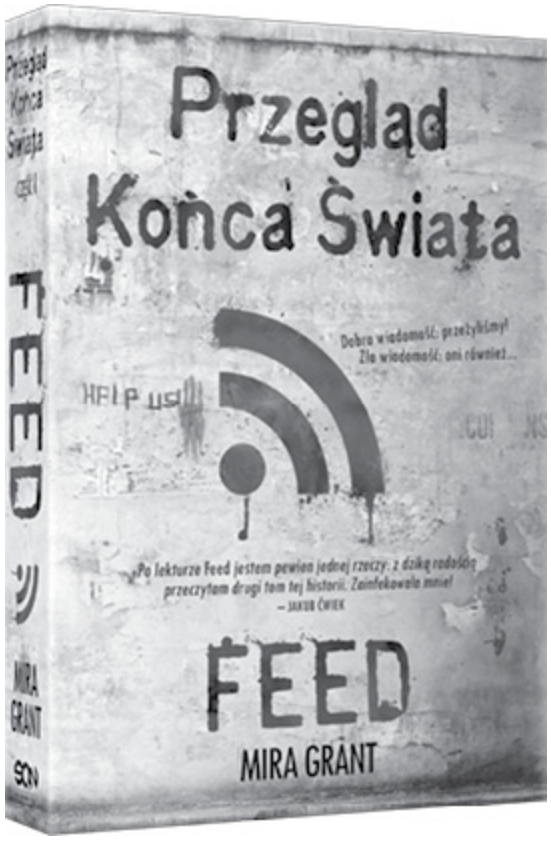
Przegląd Końca Świata
część I
FEED
MIRA GRANT
Przegląd Końca Świata
Dobra wiadomość: przeżyliśmy!
Zła wiadomość: oni również...
„Po lekturze Feed jestem pewien jednej rzeczy: z dziką radością przeczytam drugi tom tej historii. Zainfekowała mnie!
– JAKUB ĆWIEK
FEED
MIRA GRANT

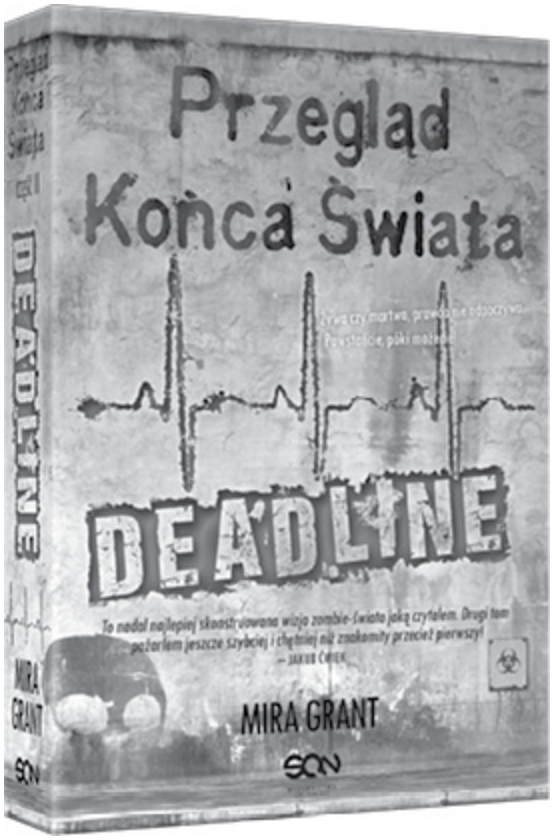
Przegląd Końca Świata
część II
DEADLINE
MIRA GRANT
Przegląd Końca Świata
DEADLINE
To nadal najlepiej skonstruowana wizja zombie-świata jaką czytałem. Drugi tom pochłaniałem jeszcze szybciej i chętniej niż znakomity przecież pierwszy!
– JAKUB ĆWIEK
MIRA GRANT

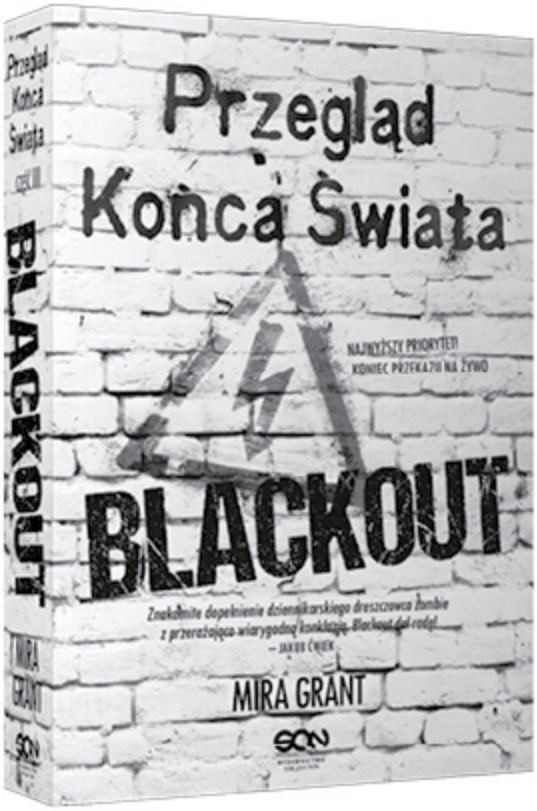
Przegląd Końca Świata
BLACKOUT
MIRA GRANT
NAJWYŻSZY PRIORYTET!
KONIEC PRZEKAZU NA ŻYWO
BLACKOUT
MIRA GRANT

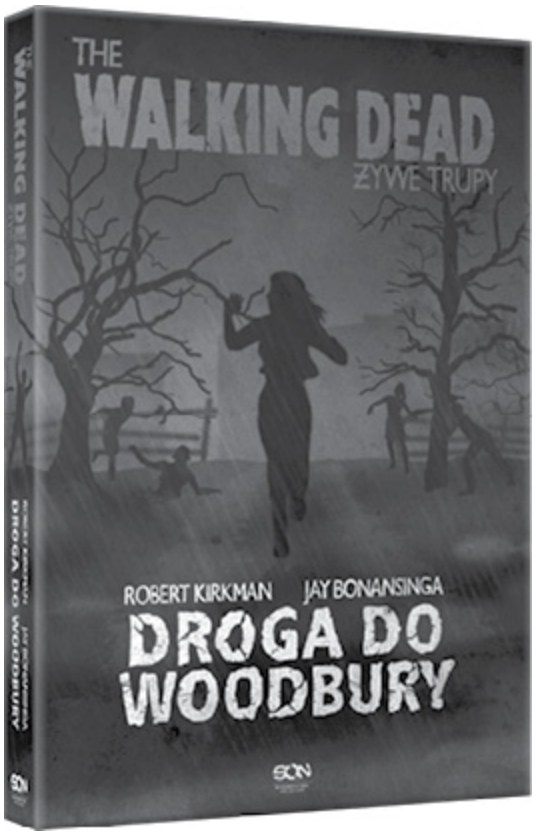
THE WALKING DEAD
ŻYWE TRUPY
ROBERT KIRKMAN
JAY BONANSINGA
DROGA DO WOODBURY

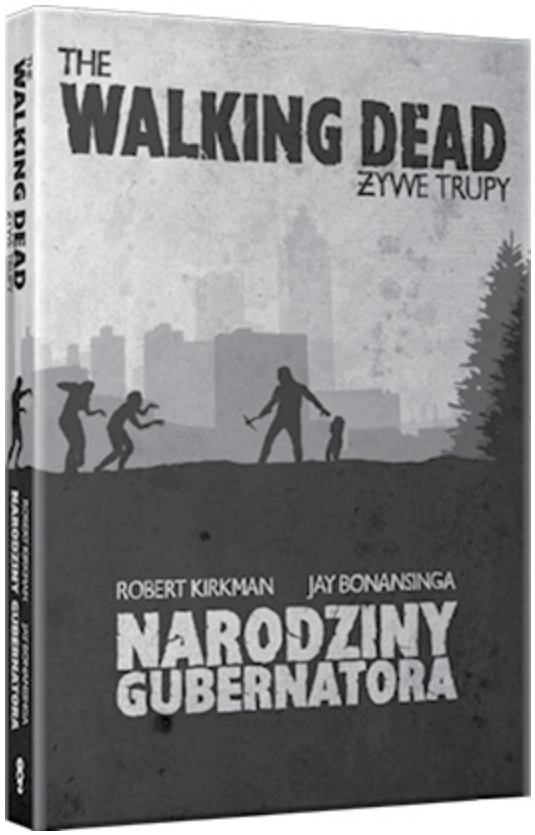
THE
WALKING DEAD
ŻYWE TRUPY
ROBERT KIRKMAN
JAY BONANSINGA
NARODZINY GUBERNATORA

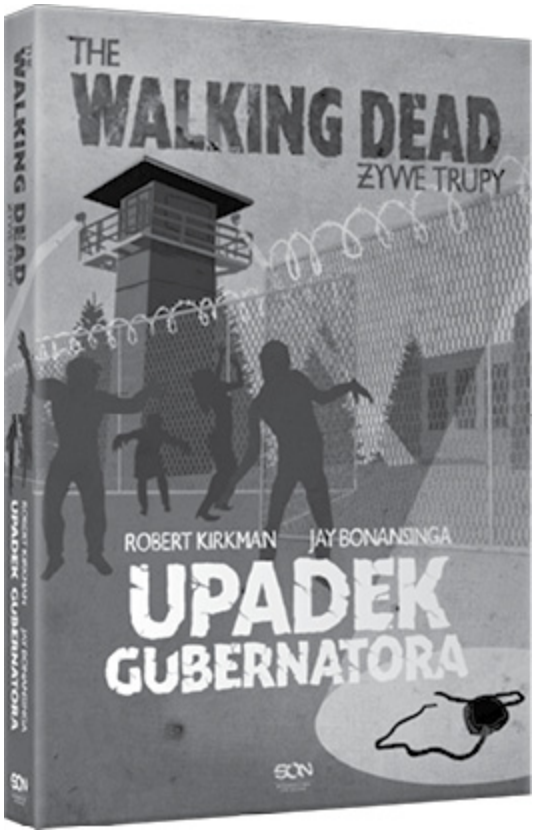
THE
WALKING DEAD
ŻYWE TRUPY
ROBERT KIRKMAN
JAY BONANSINGA
UPADEK GUBERNATORA

CZAS ŻNIW
THE BONE SEASON
SAMANTHA SHANNON
SQN

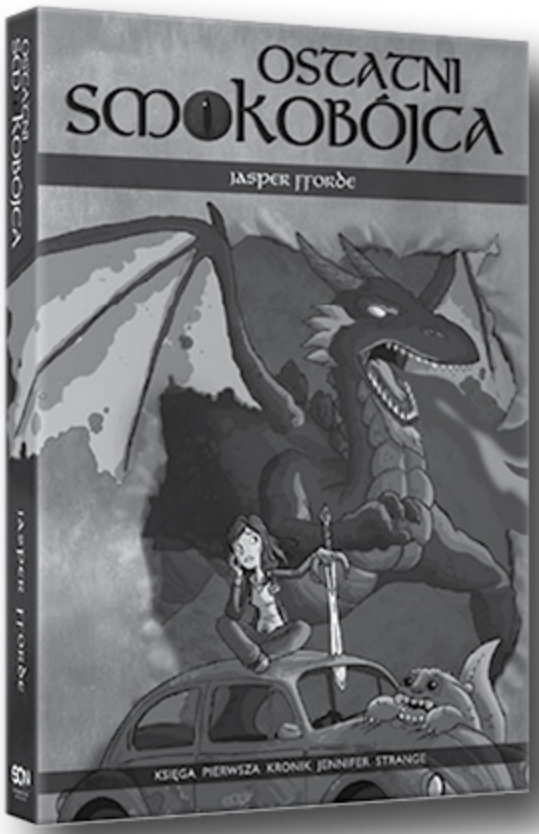
OSTATNI
SMOKOBÓJCA
JASPER FFORDE
KSIĘGA PIERWSZA KRONIK JENNIFER STRANGE

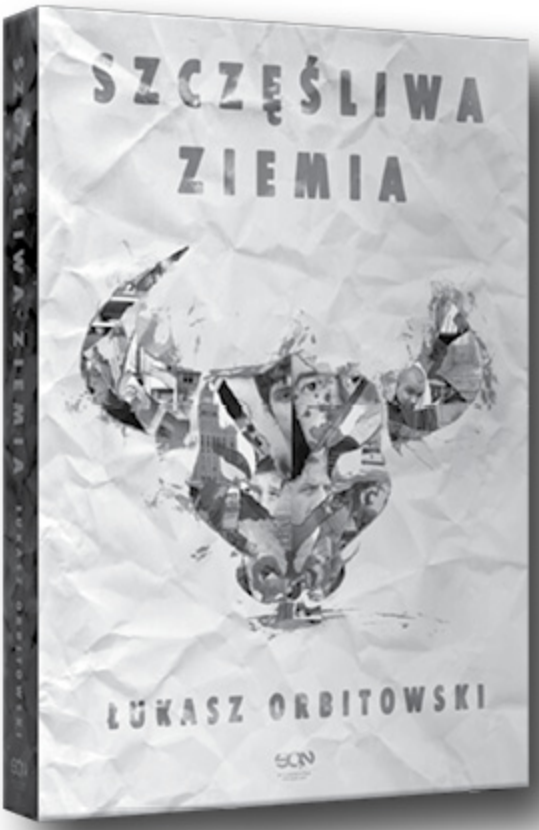
SZCZĘŚLIWA ZIEMIA
ŁUKASZ ORBITOWSKI